



Carte Postale  
CORRESPONDANCE

*Małgorzata Hayles*

ADRESSE

# *Sekretne życie Roberty*



  
**PAR AVION**



Małgorzata Hayles  
Sekretne życie Roberty



Wołowiec 2015

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Projekt okładki Magdalena Palej

Fotografie na okładce © by Nataly Karol / Shutterstock, Galyna Andrushko / Shutterstock, Claudio Divizia / Shutterstock, Neirfy / Shutterstock, Mark Carrel / Shutterstock, lynea / Shutterstock

Fotografia rzeźby na s. 19 © by Thibswab / Wikipedia, CC

Copyright © by Małgorzata Hayles, 2015

Redakcja Anna Gancarczyk / d2d.pl

Korekta Gabriela Niemiec / d2d.pl, Bernadeta Stępień / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej Janusz Oleś / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-198-4

Black Publishing jest marką wydawniczą Wydawnictwa Czarne sp. z o.o.

Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

## SPIS TREŚCI

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Dedykacja*

CZEŚĆ 1 Kanapa

CZEŚĆ 2 Rower

CZEŚĆ 3 Matka

CZEŚĆ 4 Wiek dojrzały

*Kolofon*



**Pielgrzym** – człowiek odbywający wędrówkę do miejsca kultu, uczestnik pielgrzymki.

Słowo pochodzi od łacińskiego peregrinus – cudzoziemiec. W przenośni: osoba wiele podróżująca po świecie. Etymologia pojęcia „pielgrzym” sięga starożytnej Grecji. Termin „per-epi-demos” oznaczał cudzoziemca, nierezydenta, czy też przygodnego podróżnego.

Wikipedia

Więc jeśli będzie podróż niech będzie to podróż długa

powtórka świata elementarna podróż

rozmowa z żywiołami pytanie bez odpowiedzi

pakt wymuszony po walce

wielkie pojednanie

Zbigniew Herbert, Podróż

*Kanapa*

Mężczyzna, który siedział na ławce obok trzepaka i karmił wróble, otaksował ją uważnym spojrzeniem spod daszka zielonej bejsbolówki. Patrzył nie tak, jak mężczyzna zwykle patrzy na kobietę, ale jakby mieli się wdać w bójkę i jakby oceniał swoje szanse. Wydawało się, że jest zbyt lekko ubrany jak na tę porę roku: w dzinsy, T-shirt z wyblakłym cudzym wspomnieniem koncertu rockowego i rozpiętą koszulę w kratę. Był chłodny marcowy wieczór. Roberta miała nadzieję, że nie spadnie deszcz, bo jej płaszcz nie miał kaptura.

– No więc? – powtórzyła głosem jeszcze cichszym niż zwykle. – Pomoże mi pan? Spotkajmy się tu o północy. Nie chcę, by nas ktoś zobaczył.

– Dobrze – odpowiedział krótko, zdjął czapkę i włożył ją ponownie, jakby w ten sposób przypieczętował umowę. – Przeniesiemy ją.

Włosy miał mocno przerzedzone, ale wyglądały na umyte. Roberta zwracała uwagę na takie szczegóły. Zauważyła też twardy kilkudniowy zarost, z pewnością trudny. Najpierw dobrze by go zmiękczyła, później krem do golenia i ostra brzytwa. Jej klienci nie bali się brzytwy. Można powiedzieć, że było im wszystko jedno.

Poprawiła dwie ciężkie torby z zakupami przewieszane przez kierownicę i poprowadziła rower w kierunku swojej ulicy. Rower kupiła kilka lat wcześniej, ale dbała o niego od samego początku i nadal pięknie się prezentował. Miał lśniące błotniki i szprychy błyszczące jak koła zębate dekoracyjnego zegara. Czuła się nieswojo, niczym przestępca, który właśnie zaplanował skok na bank, ale jednocześnie ogarnęło ją radosne podniecenie. Szła teraz zwawszym krokiem i wyżej podniosła głowę. Kanapę zauważyła dwa dni temu w drodze do pracy. Ktoś postawił ją obok śmietnika pod śmiesznym kątem, jakby kierował się tym, by osoba, która na niej usiądzie, miała jak najlepszy widok na pobliską pocztę i sklep spożywczy, a w dalszej perspektywie na cmentarz i dom pogrzebowy o mało oryginalnej nazwie Hades, z krzykliwym napisem: „Tanie trumny!” przecinającym okno wystawowe. Jak gdyby ktokolwiek miał kupić trumnę tylko dlatego, że jest tania.

Jak wszystkie niepotrzebne i zużyte meble wyrzucane przez ludzi kanapa wyglądała dziwnie nie na miejscu na chropawym szarym chodniku. Roberta pomyślała, że tak samo wyglądałby kawał bruku rzucony na środek pokoju. W dodatku sofa nie wyglądała na starą czy brudną. Od razu wpadła jej w oko, choć sama nigdy by takiej nie wybrała. Niewielka, dwuosobowa, w kolorze ciemnego beżu, który kiedyś musiał być jaśniejszy, kremowy, w gęsty kwiecisty wzór. Coś w jej staroświeckim kształcie sprawiało, że Roberta od razu chciała na niej usiąść, przeciągnąć zachłannie dłonią po jej miękkich liniach.

Tamtej nocy nie mogła spać. Około czwartej nad ranem wreszcie wstała, włożyła zimową kurtkę, starą czapkę z pomponem i postanowiła pójść na krótki spacer. Bezwiednie ruszyła w kierunku sklepów, śmietnika i kanapy. Dawno nie była na dworze tak wcześnie. Czwarta nad ranem. Przypomniała sobie czyjeś słowa, że to godzina samobójców, kiedy najzdrowszy psychicznie człowiek potrafi przewracać się z boku na bok, zadając sobie pytanie o sens tego wszystkiego. Czy nie tak napisała też Szymborska? W głowie zakołatał jej cytat: „I niech przyjdzie piąta, o ile mamy dalej żyć”.

Wokół nie było żywego ducha. Pomyślała, że świat zamiera w ten sposób przed brzaskiem. Powietrze zimne i wilgotne, okna pobliskich domów całkiem ciemne. Rozproszone uliczne lampy rzucały lekko oranżowy cień pod jaśniejącym niebem, a neonowy szyld brzęczący nad sklepem spożywczym wypluwał niebieskawe światło na wszystko w promieniu kilku metrów. Przetarła obicie kanapy zmarzniętą ręką i przysiadła na samym brzegu. Tak jak myślała, widok na okolicę był wprost doskonały. Usadowiła się głębiej, wygodniej, aż plecami nieśmiało dotknęła oparcia. Kiedy nagle coś brzdęknięło wśród śmietników, gwałtownie podskoczyła. „Stara wariatko”, pomyślała. Gdyby ktoś zobaczył, ktokolwiek z sąsiadów lub, co gorsza, matka, jak z lubością rozsiada się po ciemku na cudzej i pewnie wypchanej robakami kanapie, co by sobie pomyślał? Zaraz po ostrym dźwięku rzuconej metalowej pokrywy rozległ się głośny zwierzęcy lament i ze śmietnika umknęły dwa spłoszone dzikie koty. Roberta wróciła na swoje miejsce na poduchach w kwiaty i głośno westchnęła.

To wtedy postanowiła, że wracając z pracy, poprosi o pomoc w przeniesieniu kanapy mężczyznę, który zdaje się miał dużo czasu, bo go w młodości beztrósco nie roztrwonil, i spędza go teraz, karmiąc wróble. Jej matka, gdy jeszcze wychodziła z domu na codzienny rytualny spacer po osiedlu, na jego widok stękała, trzeszczała i fukała, że to wstyd, by dorosły mężczyzna, zdaje się zdrowy na ciele i umyśle, w ten sposób marnował godziny. Roberta, choć kiwała potakująco głową, myślała wtedy, że przecież nie ma różnicy, czy ktoś łowi ryby, ogląda telewizję, uprawia jogging, czy karmi wróble.

We dwoje z mężczyzną, stwierdziła, dadzą sobie radę. W końcu sama jest rosłą kobietą, której nigdy nie brakowało sił. Kiedy była bardzo młodą dziewczyną, wstydziła się swojego metra osiemdziesięciu wzrostu, sylwetki jak grubo ciosany pień drzewa zwieńczonej barczystymi ramionami. „Gruba kość po ojcu. Co robić?”, powtarzała niemal z lubością matka, jakby to była jakaś intrygująca choroba genetyczna. W miarę jak Roberta dorastała, matka brała brzemię tej sylwetki częściowo na siebie i mówiąc o niej, zawsze operowała zaimkiem „my”. Robertcie wydawało się, że matka traktuje jej obfitą cielesność jak dopust boży, który dotyka całą rodzinę, niczym mrówki faraona czy kredyt hipoteczny, i z samą Robertą ma niewiele wspólnego.

– Będziemy zakrywać ramiona – dyrygowała matka – żadnych małych wzorków, a najlepiej w ogóle żadnych wzorów, no chyba że geometryczne, duże kwadraty czy, dajmy na to, rozdęte trapezy. Jeśli już ramiączka, to koniecznie grube, szerokie, i będziemy poszerzać dół, no wiesz, żeby wyrównać nasze proporcje.

Sukienki w kształcie trapezu, tuniki w kształcie trapezu, trapezowe spódniczki. Drapowano na niej trapezy, wkładano ją w trapezy, nie pytając o zdanie. Trapez stał się motywem przewodnim jej życia, jakby na co dzień wykonywała podniebne akrobacje w cyrku. Gdy skończyła szesnaście lat, a jej ciało zostało jako tako ujarzmione, matka nadal z zawodem patrzyła na jej stopy o rozmiarze czterdzieści trzy.

– Gdyby nie te stopy! Na te stopy tak trudno coś dostać – skarżyła się swoim siostram. – Nawet na zamówienie. Szewc powiedział, że nie ma tak wielkiego damskiego kopyta. Jedyłą możliwością są zwyczajne płaskie męskie buty. No tak, w zasadzie to nawet pasuje do Roberty. Staramy się utrzymać wszystko w prostym, klasycznym stylu, żadnych frywolności, kwiatuszków, falbanek, zaszeweczek, kokardek.

„Tak, tak”, kiwały głowami siostry. To by tylko podkreślało te duże gabaryty. Hamowało życiodajną rzekę, która jedynie w ten sposób mogła popychać siostrzenicę do przodu.



Roberta rosła więc w przekonaniu, że wielu rzeczy jej nie wolno, i nie chodziło tylko o hałasowanie, jedzenie dużych porcji czy przeszkadzanie, gdy mówią dorośli. Zakazywano jej groszków, kwiatków, paseczków czy kokardek. Proste linie, jednolite materiały, ustalone długości, nigdy jedna, ale trzy, a najlepiej cztery, tak by pociąć Robertę na kilka kawałków jak kobietę w skrzyni, którą przepiłowuje iluzjonista w popularnej magicznej sztuczce. Jej rozczłonkowana postać miała się już tak bardzo nie rzucać w oczy. Wysoko podciągnięte podkolanówki, krótka spódnica, bluzka do połowy spódnicy, sweter do połowy bluzki. Tak ubrana szła do Pierwszej Komunii, a choć marzyła o lokach, matka upięła jej ciemnobrązowe włosy w gładki koczek nad karkiem, więc na zdjęciach jej blada twarz wydawała się bezkresna, wtopiona w tło jak obraz pozbawiony ram.

– Nigdy na czubku głowy – pouczyła ją dobitnie matka, przypinając niesforne włosy wsuwkami. – To nam doda centymetrów, a tego przecież nie chcemy.

„Nie mów tak głośno”. „Nie mów tak dużo”. „Nie gestykuluj”. „Nie zwracaj na siebie uwagi. Wystarczająco dobrze widać cię w tłumie, córeczko”.

W koczku nad karkiem czy na czubku głowy Roberta i tak górowała nad resztą dziewcząt i chłopców, ale nic nie odpowiadała. Przezywano ją wieżą lub żyrafą. Wiedziała, że może być co najwyżej wieżą w kwiatki lub wieżą w trapezy, ewentualnie gładką wieżą. Gdyby ktoś zapytał ją o zdanie, wolałaby być wieżą w kwiatki. Zmyliło ją jednak matczyne „my”. Skoro to wszystko nie dotyczyło jej bezpośrednio, lecz było sprawą całej rodziny, nie śmiała protestować.

Może stąd się wziął ten nagły i niespodziewany zachwyt nad kanapą. Małą i delikatną sofą w drobny kwiecisty deseń, którą Roberta postanowiła zatańczyć do domu pod osłoną nocy wraz z dziwacznym mężczyzną w bejsbolówce. Kiedy wnosili mebel do salonu, było po północy i matka już dawno spała. Miała siedemdziesiąt dwa lata i rzadko kładła się później niż o dwudziestej pierwszej. Zwykle o dwudziestej oglądała wiadomości i zaraz potem wracała do łóżka, z którego w ostatnich latach wychodziła w zasadzie tylko rano po to, by się umyć, ubrać i zjeść śniadanie z Robertą przed jej wyjściem do pracy, następnie w porze obiadowej, zaraz po powrocie córki z pracy, i wreszcie wieczorem, by się umyć, włożyć tę samą flanelową koszulę nocną i położyć się spać. Czynności związane z potrzebami ciała, jego metodycznym myciem, karmieniem i wypróżnianiem, zajmowały jej wystarczająco dużo czasu, by się nie nudziła. Godziny pomiędzy nimi przeznaczala na słuchanie telewizji, którą traktowała jak radio, odkąd pogorszył się jej wzrok po udarze kilka lat wcześniej, jeszcze przed śmiercią ojca. Czasem czytała książki, ale to również zajmowało jej o wiele więcej czasu niż kiedyś. Najbardziej lubiła, gdy córka czytała jej na głos.

Bywało, że Roberta zastanawiała się nad tym, co jeszcze trzyma matkę tak mocno przy życiu. Po śmierci ojca jakby straciła zaufanie do swojego ciała, które bez niego zdawało jej się niekompletne i nikomu niepotrzebne. Owszem, po udarze nigdy nie odzyskała pełni sił, niemniej nadal była sprawna jak na swój wiek i to brak zaufania sprawiał, że nie lubiła oddalać się od domu.

Czasem patrzyła na Robertę z mieszaniną miłości i odrazy.

– Ty masz zmarszczki na twarzy, dziecko – powiedziała kiedyś, przyglądając się córce z bliska.

– Trudno, mam, żeby nie miała w wieku czterdziestu lat. Jestem starą kobietą.

– A tam. – Matka machnęła ręką. Nie lubiła, gdy Roberta mówiła o sobie w ten sposób. – W tym domu mieszka tylko jedna stara kobieta i jestem nią ja, moja droga.

Być może było to naturalne. Rodzic nie powinien przeżyć śmierci swojego dziecka. Coraz bardziej widoczne oznaki starości u najmłodszej córki, jej starzejące się ciało, były jasnym komunikatem, że jeśli córka ma przeżyć matkę, to najwyższy czas pomyśleć o umieraniu i ustąpić jej miejsca. Matka jednak nie była jeszcze na to gotowa. Trzymała się kurczowo regularnych pór posiłków, łóżka, telewizora, książek, Roberty. Zawsze najmocniej Roberty.

– Dlaczego daliście mi na imię Roberta? – zapytała ją kiedyś. Zaczęła właśnie pierwszą klasę w podstawówce i szybko zauważyła, że w szkole jest sporo Anek, Kaś i Magd, ale Roberty nie ma ani jednej.

– Ach tak. Za swoje imię możesz podziękować ojcu. Miał już Anię i Iwonkę i marzył mu się chłopiec. Miałś mieć na imię Robert. Twój ojciec jest przecież wielbicielem Roberta Mitchuma. Nie wiesz, kim jest Robert Mitchum? Wielkim amerykańskim aktorem. Nie płacz mi się po kuchni, bo pobrudzisz sobie sukienkę. Sama idź i zapytaj ojca.

Podeszła do zwalistej sylwetki siedzącej przy biurku tyłem do pokoju. Mężczyzna usiłował pracować, co nie mogło być łatwe, zważywszy na niewielki metraż ich dwupokojowego mieszkania, stukanie garnków dochodzące z kuchni i hałaśliwość trzech dziewcząt w wieku od siedmiu do siedemnastu lat. Już chciała go poklepać po ramieniu, ale zmieniła zdanie. Ojciec nie lubił, gdy mu przeszkadzano. Właśnie sprawdzał kartkówki piątoklasistów i każdy błąd w równaniu traktował jak osobistą zniewagę.

– Co za głąb, co za bałwan, co za matoł – szeptał do siebie, napotkawszy jakiś szczególnie dotkliwy brak logiki.

Zamiast więc pytać, zdjęła skakanę z przybitego w tym celu w przedpokoju gwoździka i wybiegła na podwórko.

Mimo wysiłków matki, by wmieszać córkę w tłum, umniejszyć ją, skrócić i podzielić, wyróżniało ją to nieszczęsne imię. Koleżanki wołały na nią „Robcia”, co średnio jej się podobało, bo zdawało się pochodzić od ropy, takiej, jaka zbiera się w bolącej ranie lub zębie. Nauczyciele, a później wykładowcy, a także urzędnicy każdego stopnia omyłkowo wpisywali przed jej nazwiskiem „Robert”. Bywało, że czuła, jakby mieszkał w niej ktoś inny, rosły mężczyzna w kapeluszu kowbojskim o zawadiackim spojrzeniu hollywoodzkiego aktora ze starego westernu.

Z nieukrywanym zadowoleniem spozrzała na zatarganą do pokoju kanapę. Dała mężczyźnie dwadzieścia złotych i pośpiesznie zamknęła za nim drzwi, jakby nie mogła się doczekać, aż zostanie z meblem sam na sam.

Usiadła, zdjęła buty i położyła się wygodnie, rozprostowując nogi. Kostki i spora część łydek wystawały poza kanapę, ale to nie było ważne. Przecież i tak zawsze czyta z nogami zgiętymi w kolanach. Tak jest doskonale. Pomyślała o tysiącach mikrobow, o kocich i szczurzych odchodach, które mogły opanować kanapę, odkąd stanęła na ich osiedlu pod gołym niebem, ale to jej nie zraziło. Jutro zamówi kärcher i dokładnie wypierze tapicerkę w wysokiej temperaturze, ale dziś jeszcze przez chwilę się nią nacieszy. Wypróbowała wszystkie możliwe pozycje, radując się sprężystością mebla, i wreszcie wstała. Wydawało jej się, że usłyszała ciche jęknięcie, i obejrzała się z przestraciem. Jakby coś siedziało w środku, może kot lub, co gorsza, szczur. Kanapa była rozkładana i miała pojemnik na pościel, więc cokolwiek to było, mogło się ukrywać właśnie tam. W pojemniku znalazła książkę, stare wydanie Obsługiwałem angielskiego króla Hrabala w charakterystycznej okładce serii KIK. W zamyśleniu wzięła

ją do ręki i otworzyła. Nie była nawet zawilgocona, schronienie w kanapie okazało się skuteczne. Między ostatnie strony ktoś włożył pocztówkę jako zakładkę. Pocztówka nie miała tyle szczęścia, zdaje się, że dawno temu, być może nawet kilka razy, zamokła i wyschła, przez co była pofałdowana. Roberta z zaciekawieniem obróciła ją w palcach. Przedstawiała wykutego w brązie mężczyznę w objęciach starszej i dość przerażającej kobiety z czymś w rodzaju skrzydeł, a może peleryny powiewającej demonicznie nad tą parą. Za nimi klęczała postać młodej kobiety z wyciągniętymi błagalnie rękami, z których mężczyzna, jak się zdawało, dopiero co uwolnił dłoni. Jeszcze chwila i odejdzie. Na odwrocie przeczytała: „L'Âge mûr, Camille Claudel, Musée Rodin, Paris”. Jeszcze raz odwróciła pocztówkę. Nigdy wcześniej nie zachwycała jej tak żadna rzeźba. Wydała się liryczna, zmysłowa i smutna. Chciała jej dotknąć, wyobrażała sobie chłodną śliskość pod palcami.



Na odwrocie nieregularne plamy, stare, sepiowe, może po kawie. Atrament się rozmazał, więc w niektórych miejscach tekst był całkiem nieczytelny. Kilka słów skreślonych delikatnym kobiecym pismem, lekko pochylonym w prawą stronę. Dało się go odczytać, domyślając się niektórych liter: „Będę tu na Ciebie czekała dokładnie za dwadzieścia lat. Obok tej rzeźby, w samo południe. Roberta”.

Jakie to niewiarygodne, pomyślała, że kobieta, która napisała te słowa, nosi to samo dziwaczne i niepopularne imię. Nigdy nie spotkała żadnej Roberty. Wyobraziła sobie jej głos. Melodyjny,

z intonacją lekko wznoszącą, jakby słowa frunęły w stronę rozmówcy.

Od wylanej kawy najbardziej ucierpiały linie z imieniem i nazwiskiem adresata oraz adresem. Zostały w zasadzie nieczytelne plamy. Po pierwszej literze na samym dole można się było tylko domyślić, że wysłano ją do Poznania. Na górze cztery odrapane zagraniczne znaczki w aureolach stempli pocztowych. Próbowwała odczytać datę na pieczętce. Chyba maj, dzień piąty, co do roku nie miała wątpliwości – dwie dziewiątki i piątka wskazywały na tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty rok. Wyjęła z szuflady lupę i jeszcze raz uważnie przyjrzała się dacie na stemplu. Pocztówkę z pewnością wysłano 5 maja 1995 roku. Ktokolwiek otrzymał czy znalazł kartkę, wykorzystywał ją do odmierzania upływu stron w czytanych książkach. A może odmierzał też czas do wyznaczonego spotkania? Zagadka.

Ponownie wzięła książkę do ręki i przekartkowała ją w zamyśleniu. Na tylnej okładce zauważyła tym razem niewielką pieczętkę z adresem, jaką niektórzy ludzie znakowali swoje księgozbiory z nadzieją, że pożyczane przyjaciółom egzemplarze do nich wrócą. Adres wskazywał na pobliską ulicę i był to najprawdopodobniej adres poprzedniego właściciela kanapy, któremu już się znudziła. Być może mieszkał tam tajemniczy adresat kartki, a może nawet ta druga Roberta. Dziwna sprawa. Spojrzała jeszcze raz na datę: 5 maja 1995 roku. Była końcówka marca 2015 roku, co oznaczało, że termin spotkania tej pary niebezpiecznie się zbliżał. Jakże nieznośnie romantyczny, wręcz filmowy pomysł, no i dlaczego ta inna Roberta postanowiła czekać aż dwadzieścia lat na kolejne spotkanie z tajemniczym adresatem? W zamyśleniu odłożyła pocztówkę na półkę i jeszcze raz popatrzyła z przyjemnością na kanapę, która w złotawym świetle lampy nabrała słomkowego odcienia słabej herbaty. Róże w tym świetle zdawały się bardziej brązowe, zieleń poszarzała. Wreszcie zgasła światło i poszła do swojego pokoju.

Tej nocy budziła się częściej niż zwykle. W końcu wstała i zeszła na dół, do sypialni matki, ale wyjątkowo nie zatrzymała się przy łóżku, by posłuchać jej oddechu, sprawdzić, czy jest spokojny i miarowy. Zamiast tego sięgnęła do dobrze wyposażonej apteczki obok łóżka i wyjęła z niej przepisaną przez lekarza białą tabletkę, która pomagała matce spać. Po namyśle wzięła jeszcze jedną i obie popiła wodą z kranu w kuchni.

Kiedy wreszcie zasnęła nad ranem, przyśniła jej się oszklona winda wczepiona w wieżowiec z zewnętrznej strony. Roberta była w niej zamknięta z dwiema starszymi siostrami, które przecież doskonale zdawały sobie sprawę z jej lęku wysokości, ale winda wzbijała się coraz wyżej i wyżej, wydawało się, że pokonywała setki kondygnacji. Siostry kazały jej patrzeć przez szybę, ale strach był silniejszy. Nie mogła podnieść głowy, uparcie wpatrywała się w posadzkę.

– No popatrz wreszcie, zobacz, co się dzieje z mamą. Chyba jej nie upilnowałaś. Chyba nie żyje – powiedział ktoś obcym głosem Anny, jej najstarszej siostry, na sekundę zanim Roberta się obudziła, mokra od potu.

Na drugą stronę zabrała ze sobą skrawek tego snu, przecucie nadchodzącej kłęski. Kiedy wreszcie podniosła głowę i spojrzała w szybę, zobaczyła tylko odbicie swojej mokrej twarzy z odciskami poduszki.

Zeszła do sypialni matki przestraszona bardziej niż zwykle. Każdego ranka bała się, że jej nie będzie, że w łóżku zostanie tylko puste ciało.

– Dzień dobry, mamó – powiedziała sztucznie radosnym głosem, odsłaniając rolety.

– Jak mogłaś wnieść do mieszkania używaną kanapę? – burknęła matka. Kościste ręce, ledwo obciążone cienką żółtawą skórą, oparła na biodrach w swoim ulubionym geście.

– Oczywiście miałam pomoc. Sama nie dałabym rady.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Ile tam musi być różnych zarazków, jeden Pan Bóg wie, a ty to przytargałaś do naszego domu.

– Nie martw się, mamo, dziś zostanie dokładnie wyprana, a wszystkie zarazki zabite w wysokiej temperaturze, obiecuję.

Matka nie dawała za wygraną.

– Poza tym przecież do niczego nam tutaj nie pasuje. Tylko zagraca pokój.

– Niczego nie zagraca. Sama kiedyś mówiłaś, że przydałby się wygodny fotel w salonie, a ona nie jest dużo większa. Postawiłam ją pod oknem, będziesz miała bardzo dobre światło do czytania.

– Nawet sobie nie myśl, że będę na niej siedzieć. Nie wiadomo, do jakich ludzi należała.

– Takich jak ty i ja, mamo, jestem tego pewna. No, popatrz tylko, idealnie tam pasuje.

– Ale ten wzór? Kwiatki? Nie mamy tu niczego w kwiatki.

– Przyniosę dziś trochę z pracy, powkładam do wazonów i będą kwiatki pasujące do kwiatków. No już, mamo, uśmiechnij się.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje, dziecko. – Matka zaszurała stopami w wełnianych kapciach i zaczęła przestawiać krzesła przy stole jadalnym, jakby stukwała berłem, stuk-puk, stuk-puk.

Dlaczego, pomyślała Roberta, nasze relacje muszą być tak nieznośnie feudalne? Jedna z nas musi być królową, druga następczynią tronu. Dlaczego nie mogą przypominać bardziej nowoczesnego i demokratycznego modelu, dajmy na to urzędniczego, w którym matka pełniłaby funkcję doradczą i nie musiała wcale umierać, by córka mogła zostać ministrem?

Wreszcie matka siadła przy stole i czekała, aż Roberta przyniesie jej śniadanie. Zwykle jadła dwie kromki chleba z twarogiem. Czasem miała ochotę na jajecznicę, choć narzekała na zapach jajek.

– Masz za długie włosy, dziecko. Powinnaś pójść do fryzjera – rzuciła po chwili.

Włosy kontra kanapa. Jak w starej dziecięcej zabawie „papier, kamień, nożyce”. Włosami można owinąć kanapę. Kanapą można przytrzasnąć włosy. Na kanapę nie było rady. Kanapa musiała zostać i matka była bezsilna wobec jej maleńkich różowych kwiatków, zielonych listków i zaokrąglonych kształtów.

Roberta przypomniała sobie krótki czas, kiedy nie mieszkała w domu rodziców. Wyprowadziła się jako ostatnia z córek, mając prawie trzydzieści pięć lat. Ojciec jeszcze żył. Choć formalnie przeszedł na emeryturę, nie umiał przestać być nauczycielem i przygotowywał okoliczną młodzież do egzaminów i matur z matematyki. Zawód był jak mundur, którego ani na chwilę nie potrafił zrzucić. Mieszkali więc dłuży czas we troje, rodzice z wiekiem coraz bardziej wyschnięci, pokurczeni, a na ich coraz słabszym tle Roberta rosła w siłę. Jej ciało, które nigdy nie miało dziewczęcej wiotkości, z wiekiem stawało się atletyczne. Doskonale proporcjonalne było piękne w niemal zwierzęcy sposób, ale Roberta nie dostrzegała jego urody. W lustrze odbijała się nieforemna dziewczyna z dzieciństwa, tylko starsza.

Od czasu do czasu wpadały siostry ze swoimi pierwszymi mężami, mężami starterami, i dziećmi, które uwielbiały Robertę, bo jak każda niezamężna i bezdzietna kobieta była ciotką idealną. Obsypywała swoich siostrzeńców i siostrzenice drobiazgami, które chowała w różnych kryjówkach, tak by to ich

tropienie było prezentem, a sam podarunek, zwyczajna drobnostka spakowana naprędce w zwykły papier śniadaniowy, stanowił jedynie dodatek do zabawy. Była niestrudzona w urządzaniu teatrzyków kukielkowych, gonitw po parku i zabaw w chowanego po całym domu, podczas gdy rodzice, siostry i pierwsi – a z biegiem lat okazywało się, że jednak nie tylko początkowi, ale też ostatni – mężowie sączyli kawę i rozmawiali o pieniądzach, ubezpieczeniach i uchwałach sejmu, narzekali na rwetes, który dzieciaki robiły przy ciotce, bo tak bardzo czuły się przy niej bezkarne.

Mniej więcej w czasie, gdy Roberta skończyła trzydzieści pięć lat, postanowiła wyprowadzić się z domu. Wcześniej być może czekała na mężczyznę, który jej powie, gdzie i jak będą mieszkać. Wydawało się jednak, że nie zdała jakiegoś testu, z którym tak łatwo poradziły sobie jej starsze siostry, mniej przecież pilne w szkole.

Od momentu gdy uświadomiła sobie, że jest dziewczynką, czas beztroski przeminął bezpowrotnie. Zrozumiała, że w jej życiu pojawiła się jeszcze jedna tajemnica do zgłębienia. Nagle było wiadomo, że chłopcy podobają się dziewczynkom, a dziewczynki chłopcom, i nic się na to nie poradzi. Przez wszystkie lata szkolne Roberta codziennie stawała do sprawdzianu i codziennie go oblewała. Chłopcy umawiali się z nią tylko po to, by rozmawiać o jej koleżankach. Na dyskotekach była jedyną dziewczynką w grupie, której nikt nigdy nie prosił do tańca, więc w końcu przestała na nie chodzić, choć jako małe dziecko uwielbiała tańczyć. Wołali na nią „wieża” lub „żyrafa”, a ona garbiła się coraz bardziej, bo wiedziała już, że zdanie owego testu, testu urody i popularności, testu na bycie dziewczynką, jest w tym momencie zadaniem ponad jej siły, zupełnie jakby ktoś kazał jej w podstawówce zdawać maturę. Wiedziała także to, że do testu nie ma zamiaru podchodzić. Marzyła jej się nie tyle czapka niewidka, ile fosforyzująca naklejka informująca wszem wobec, że nie chodzi na te przedmioty, nie podchodzi do egzaminu i w związku z tym nie może go oblać.

Od początku nie czuła się dobrze w towarzystwie chłopców. Nie była przecież jednym z nich, choć czasem tak ją traktowali. Nie była też tak naprawdę jedną z dziewcząt, istot, które chłopcy odprowadzali do domu, do których pisali liściki, którym wrzucali chrabąszcze za bluzkę, wprost pomiędzy pączkujące piersi, i które zapraszali do kina, gdzie podobno kładli im ręce na kolanach. Dziewczyny chętnie dzieliły się tymi opowieściami, choć nie traktowały tych doświadczeń jako części miłosnej intymności, tylko punkty, którymi karmiła się ich popularność. Nie kochały się w tych chłopcach, ale w sobie, w nowej tożsamości ukształtowanej na zainteresowaniu kolegów. Roberta słuchała ich z poczuciem zafascynowania i goryczy. Nie miała sprzyjających warunków, by rozwinąć swoją kobiecość. Chłopcy jej nie adorowali, nie rumienili się, mówiąc do niej, nie przepychali, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. Nie było więc żadnego napięcia, drażnienia mogącego ją oszlifować, tak by była dziewczęcą gładką jak wypolerowany kamyk.

Kiedy zdawała maturę, nadal porastał ją mech niezdarnej dziewczęcości. Wszelkie cechy męskie, nawet te pozytywne, które być może pomogłyby jej zbudować własną tożsamość, na przykład w sporcie, prawdopodobnie w pływaniu, co zawsze lubiła, od dziecka była nauczona tłumić. Matka powtarzała jej, że ma być subtelna, delikatna, dziewczęca, ma nie śmiać się rubasznie, a raczej figlarnie, ma nie tupać i nie wymachiwać rękami. Nie pochwałała pływania w obawie, że sylwetka Roberty stanie się atletyczna i wszyscy będą wytykać ją palcami jako pływaczkę z twarzą szeroką i bladą niczym księżyc w pełni, męską już bezpowrotnie, bez włosów, schowanych pod czepkiem pływackim, i bez piersi,

obandażowanych ciasno sportowym kostiumem kąpielowym.

Roberta czuła się pozbawiona ochrony płci w czasie, kiedy ta ochrona zdawała się mieć największe znaczenie, w okresie dojrzewania. Nie rozumiała wtedy, dlaczego czuje się niezręcznie jako świadek damsko-męskich gier i manewrów w szkole podstawowej, w liceum, a nawet na studiach, których zresztą nie skończyła ku ubolewaniu rodziców. Nigdy nie powiedzieli wprost, że ponieważ nie ma łatwej urody, ratunku powinna szukać w edukacji i w samostanowieniu, ale to właśnie mieli na myśli. To chcieli jej powiedzieć, kiedy gniewnie odburknęła, że jej siostry nawet nie poszły na studia. Nie, że siostrom brakuje jej zdolności, ale że są giętkie i kształtne jak skrzypce, wiotkie i niewielkie, o profilach tak delikatnych, jakby skreślonych na piasku, i stopach wyglądających tak seksownie w czółenkach na wysokich obcasach, że szybko znajdą mężów, którym urodzą dzieci. Wydawało się im więc, że ostatecznie odrzucając studia (i to nie były jakie studia – odeszła z medycyny pod koniec drugiego roku), ich najmłodsza córka odrzuciła możliwość ratunku. Tylko przed kim i przed czym miała się ratować? Tego nikt nie powiedział. Być może przed domem rodzinnym. Przed nimi samymi.

Roberta miała więc trzydzieści pięć lat, kiedy kupiła kawalerkę na pobliskim osiedlu. Pracowała od wielu lat, a ponieważ prowadziła skromne i spokojne życie, nie miała dużych wydatków i większość pensji udawało jej się odłożyć. Dojazd autobusem z nowego lokum do rodziców zajmował jej piętnaście minut. Spokojnie mogła też przychodzić pieszo. Ojcu ta nagła – choć dziwne, jak mogła mu się wydać nagłą opóźniona o co najmniej dziesięć lat – decyzja w ogóle się nie spodobała. Zdawała mu się logiczną aberracją, aktem tak śmiałym jak postawienie nowej tezy w świecie, w którym wszystkie tezy dawno już udowodniono i winno się ten świat odbierać niemal aksjomatycznie. Skoro córka miała mieszkać tak niedaleko, całkiem sama, w pokoju z niewielką kuchnią i jeszcze mniejszą łazienką, z balkonem metr na metr pokrytym dywanem gołębich odchodów i donicami uschniętych pelargonii, czy nie lepiej byłoby dla wszystkich, by została z nimi w domu? Niemal taki sam pokój z kuchnią i prysznicem za znacznie mniejsze pieniądze mogliby przecież odtworzyć dla niej w garażu. Swój stary samochód mogliby trzymać na chodniku przed domem. W dodatku miałyby oddzielne wejście i bezpośredni dostęp do ogrodu. To wszystko wydawało się ojcu rozsądne i oczywiste. Roberta się jednak uparła, bo choć część jej istoty, być może nawet większa część, pragmatyczna i racjonalna, a co za tym idzie – niechętna, by zaoszczędzone pieniądze wymienić w jednej chwili na dwadzieścia parę metrów kwadratowych, przyznawała ojcu rację, istniała też druga część, choć prawdopodobnie mniejsza, to jednak silniejsza, wysmagana nieustannym poczuciem niedojrzałości. Ta część wiedziała, że jeśli nie oddali się od rodziców choćby o kilka kilometrów, na zawsze pozostanie dzieckiem, coraz starszym, coraz dziwniejszym, przerośniętym dzieckiem.

Roberta sprzątnęła ze stołu i spojrzała przez okno. W ciemnej szybie dostrzegła swoje blade, rozlane odbicie i na chwilę wrócił do niej sen. Padało zbyt mocno, by jechać do pracy rowerem, więc jeśli miała zdążyć, powinna była już szykować się do wyjścia.

– Chyba musisz już iść – stwierdziła w tym momencie matka, patrząc na kuchenny zegar. – Przecież nie chcesz się spóźnić.

Praca Roberty była dla matki filarem ich wspólnego życia. Z jej punktu widzenia prawdziwym wynagrodzeniem za tę pracę było nadawanie ich wspólnemu życiu kształtu. Dla Roberty praca była sensem życia. Sensem życia matki było czekanie, aż córka wyjdzie do pracy, a później z niej wróci.

– Po południu przyjedzie pan Rafał z kärcherem i porządnie wyczyści kanapę. – Nie wiedziała, czy będzie to akurat pan Rafał, ale postanowiła wymienić imię, które połączy się w głowie matki z obrazem konkretnej osoby, bo matka nie lubiła, gdy Roberta wpuszczała do domu obcych.

– Nie wiem, po co mi to mówisz. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Nie mam zamiaru w ogóle się do niej zbliżyć i na pewno na niej nie usiądę. No, idź już, dziecko, bo się spóźnisz. Leje tak strasznie, nie zapomnij parasola.

Roberta miała wrażenie, że czas się zatrzymał, że matka pogania ją jak kiedyś, gdy wszystkie wychodziły rano do szkoły. Kiedy rozłożyła czarny parasol, w pobliskim kościele odezwały się dzwony. Biły jak na alarm. Świat nigdy nie był bardziej na zewnątrz niż w takich momentach. Czekał na nią pod domem i pukał do okien i drzwi raz grzecznie, raz niecierpliwie i gniewnie. Łatwo było się od niego odgradzić, nie tak jak od letniego skwaru, który przypomina niesfornego gościa nieszanującego żadnych granic i sączy się przez wszystkie szczeliny. Przez chwilę żałowała, że nie pojechała samochodem, ale nie chciała już wracać.

Okazało się, że zabrała kanapę do domu w ostatniej chwili przed ulewą. Lubiła deszcz. Wszyscy narzekali, że jest szary i smutny, ale to przecież wyłącznie wina tła, zachmurzonego ciemnego nieba. Jak piękny byłby deszcz, gdyby padał wprost z błękitu. Nikt nie powiedziałby o nim wtedy, że jest szary i smutny. Migotałby przezroczysty w słońcu, a każda kropla przypominałaby te z reklam wody mineralnej.

Pośpiesznie złożyła parasol i poszukała w torebce kluczy, by otworzyć zakład pogrzebowy Hades. Weszła, wytrząsając ostatnie krople z parasola, i włączyła światło. Zakład został urządzony przez właściciela w przytulnym, choć nieco kiczowatym stylu, który miał uspokajać zdenerwowanych, zrozpaczonych klientów. Wizyta w tym miejscu niejednokrotnie była dla nich pierwszym realnym zetknięciem ze śmiercią. Ściany niewielkiej recepcji, w której mieściło się biurko, stolik i kilka biedermeierowskich krzeseł, obito do połowy pluszem wykończonym złotymi listwami. Biurko znajdowało się nie naprzeciwko drzwi wejściowych, ale po lewej stronie, tak by klienci mogli swobodnie wejść, a witający ich wzrok był dyskretny, a nie lustrujący.

Nad biurkiem na lewej ścianie widniał napis wygrawerowany na ozdobnej płycie: „Pokaż mi sposób, w jaki nacja troszczy się o jej zmarłego, a ja z dokładnością matematyczną zmierzę czułe miłosierdzie jej ludzi, ich szacunek dla praw ojczystej ziemi i ich lojalność wobec wyższych ideałów”. Był to cytat z Williama Gladstone’a, o czym Roberta chętnie informowała tych, którzy pytali. Rzadko zdarzali się klienci, którym to nazwisko coś mówiło, kiwali więc tylko głowami. To było jak rozmowa o pogodzie. Na przeciwległej ścianie, w miejscu dokładnie wymierzonym w tym celu, wisiało duże lustro odbijające cytat, tak że słowa czterokrotnego premiera Wielkiej Brytanii rezonowały w pokoju echem, zapadając Robercie w pamięć jak żadne inne, bardziej niż Ojciec nasz czy Mazurek Dąbrowskiego. Wszelkie zdobienia w niewielkim pokoju, w tym rama lustra, lampy, wisząca i stojąca na biurku, połyskiwały w świetle różnorodnymi odcieniami złota, a samo biurko z dębowego drewna, duże i solidne, budziło zaufanie. Naprzeciwko drzwi wejściowych znajdowały się kolejne drzwi. Nad nimi wisiał stary zegar, którego tykanie podkreślało ciszę i powagę miejsca. Roberta rzadko włączała w pracy muzykę. Jeśli już, wybierała coś klasycznego, Bacha lub Beethovena, czasem Brahmsa. Sama po tylu latach nie słyszała już tykania zegara. Czasami klienci pytali, czy to tykanie nie doprowadza jej do szału, choć tak naprawdę chcieli zapytać, czy nie kojarzy jej się ze stagnacją, poczuciem daremności, śmiercią. Odpowiadała



niezmiennie, że to jak mieszkanie przy torach kolejowych, jakby mówiła, że śmierć także można oswoić, wystarczy zamieszkać w pobliżu, tak jak się mieszka obok ogrodu zoologicznego pełnego drapieżników.

Kiedy trzy lata temu zadzwonił telefon na tym właśnie biurku i matka powiedziała słabym głosem, że wydaje jej się, że ojciec nie oddycha, okazało się, że śmierć jest zwierzęciem dzikim i kapryśnym. Niczym tresowany tygrys może latami chodzić za tobą krok w krok, ale pewnego dnia przegryzie ci szyję.

Wystrój zakładu niewiele się zmienił od czasu, gdy zaczęła tu pracować. Jej pierwsze wrażenie było takie, że sama recepcja przypomina wyściełane wewnątrz trumny, takiej jak te z ekspozycji w pomieszczeniu za drzwiami pod tykającym zegarem. Z czasem przyzwyczaiła się do pluszu i złocień. Polubiła bluszcz porastający prostokąt peerelowskiego pawilonu, którego wszędobylskie języki zaciemniały witrynę. Hades, jakkolwiek by to brzmiało, stał się jej drugim domem. Początkowo składał się tylko z dwóch pomieszczeń, recepcji i pokoju z ekspozycją różnych, jak mawiał właściciel, parafernaliów związanych ze śmiercią. Bardzo lubił to słowo. Za każdym razem robił przed nim pauzę, jakby dopiero szukał odpowiedniego wyrazu. Lubiał też nazywać ją młodą damą, nawet po latach, gdy jej młodość przeminęła. Zresztą zwracał się w ten sposób do wszystkich młodszych od siebie kobiet. Niektóre uznawały to za seksistowskie, inne za dziwaczne, a pozostałe, w tym Roberta, za urocze.

Początkowo odpowiadała tylko za biuro. Drukowała klepsydry, odbierała telefony, przyjmowała i wysyłała faksy i maile. Jakkolwiek dziwnie to brzmiało, była twarzą domu pogrzebowego, osobą pierwszego kontaktu dla ludzi znajdujących się w jednym z najboleśniejszych momentów w życiu. Nagle jej pozbawiony wszelkich ozdób rozsądny i prosty strój, szczerą dużą twarz i wielkie, ciepłe brązowe oczy stały się atutami. Jej cichy chód, oszczędna gestykulacja i spokojny niski głos podobno działały na ludzi kojąco. Przedstawiała im ofertę zakładu, zapisywała szczegóły zlecenia; nic nigdy nie umknęło jej uwadze, bo wewnętrzny spokój pozwalał jej się maksymalnie skoncentrować na zadaniu, które w danym momencie wykonywała. Potrafiła stanąć na głowie, by zmarły miał na pogrzebie muzykę czy kwiaty, jakich zażyczył sobie przed śmiercią. Szef śmiał się, że nie należy to przecież do jej obowiązków i nie podniesie jej wynagrodzenia tylko dlatego, że znalazła pod Poznaniem ogrodnika, który sprzedał jej kwitnącą na żółto zimową odmianę jaśminu.

Szybko stała się prawą ręką Filipa i miała coraz więcej pracy. Był taki moment, że prowadziła praktycznie całą firmę, zajmowała się wszystkim: od przyjęcia zlecenia, przez wybór trumny lub urny, muzyki i kwiatów, aż po przygotowanie nekrologu i zlecenie usługi sprzątania pomnika, która z czasem stała się coraz popularniejsza. Usługi funeralne, jak mawiał szef, niezbyt biegły w językach obcych i być może dlatego lubujący się w obco brzmiących słowach, stawały się coraz bardziej kompleksowe i poszukiwane na rynku.

– To jest, młoda damo, ałtsorsing – pouczał ją z zadowoleniem. – Nowocześni ludzie nie chcą wpuszczać śmierci ani o krok dalej, niż absolutnie muszą, nie chcą się z nią zaprzyjaźniać. Kiedyś to rodziny, choć rzecz jasna niewolne od przesądów, myły, czesały i podmalowywały swoich zmarłych. Obcinały im paznokcie i zakładały wcześniej przygotowane na tę okazję najlepsze ubrania. Wystawiały ich stężale ciała na widok publiczny i czuwały przy nich nawet trzy dni, jeśli pogoda pozwoliła, żegnając się z nimi i modląc. Potrzebny był tylko ksiądz, kamieniarz i grabarz. Ty już tych czasów, młoda damo, pewnie nie pamiętasz. Obecnie wszystkie rytuały ars moriendi – ciągnął z dumą – najchętniej zlecają nam.

Włączyła komputer i ekspres do kawy. Coraz głośniejsze pomruki urządzeń mieszały się z szelestem deszczu za oknem. Torebkę jak zawsze powiesiła na oparciu krzesła i gdy tylko usiadła przy biurku, o czymś sobie przypomniała. Z czeluści torebki wydobyła paryską pocztówkę. Oparła ją o lampkę, jakby to było zdjęcie męża lub dzieci, zwykle stawiane na firmowych biurkach przez pracowników. Coraz częściej myślała o postaciach Claudel jak o Robercie i jej kochanku. Nie była tylko pewna, czy Roberta jest młodą, czy starą kobietą w tym trójkącie.

– O cholera, jak leje! – Jej współpracownica Marzena przypominała żywioł szalejący za oknem. Prychała i potrząsała wilgotnymi rudymi włosami.

Roberta ze zdziwieniem zauważyła kalosze na jej nogach. Jakoś nie pasowały do temperamentu Marzeny – naturalniejsze wydawałoby się, gdyby przyszła boso. Właściciel zatrudnił ją kilka lat temu, chyba jako przeciwieństwo Roberty. Roberta była powolna i dokładna, Marzena szybka i chaotyczna. Niska i drobna, chuda, wręcz jak dorastający chłopak, przypominała chochlika. Stanowiły przedziwną parę, co czasem komentowali ludzie z osiedla. Mówili o nich, że są jak karlica i Wyrwidąbka.

Robercie to nie przeszkadzało. Firma się rozwijała i sama nie dawała sobie ze wszystkim rady. Poza tym okazało się, że ma naturalny talent do tego, co robi Tomek. Zaczęła się szkolić pod jego okiem, później skończyła odpowiednie kursy i otrzymała uprawnienia. Została balsamistą i specjalistką w dziedzinie tanatokosmetyki. Siostry, którym się to nie podobało, mówiły między sobą, że ich dziwaczna najmłodsza siostra maluje trupy. Śmierć była dla nich tematem tabu. Żadna z nich nie odwiedziła Roberty w miejscu pracy poza tym jednym razem – kiedy umarł ojciec.

– Ale w oczy nieboszczykom nie patrzysz? – pytała średnia siostra, Iwona, która była przesądna. – Bo wiesz, że to pech? Mówią, że spojrzysz w oczy zmarłemu i bach, jesteś następna w kolejce.

Roberta tylko się uśmiechała.

Marzena przejęła większość pracy związanej z obsługą biura. Dbały o to, by żadna nie została z nieboszczykiem sama, szczególnie wieczorem. Nie był to żaden zabobon, tylko zwykła zasada bezpieczeństwa. Mówiono jej o tym na szkoleniach. Zdarzyło się, że technikowi w prosektorium upadło narzędzie i narobiło hałasu, a on tak się wystraszył, że dostał zawału i znaleziono go dopiero rano. W jesienne popołudnia, kiedy zmrok nadchodził wcześniej i przyciemniał szyby, a wiatr nosił liście od strony cmentarza jak złe wieści, człowiekowi czasem przychodziły do głowy dziwne myśli. Można było się poczuć nieswojo, nawet mając największy dystans do tego rodzaju pracy.

– Jak tam nasza Janeczka? – spytała, nalewając do kubka kawy i chwytając go mocno oburącz. Mówiła do zmarłych po imieniu i tłumaczyła, że wcale ich w ten sposób nie ucłowiecza, bo to przecież nadal ludzie, choć zmarli, więc żadne ucłowieczenie nie jest im potrzebne.

Janeczka była pięćdziesięcioletnią kobietą, którą przywieziono poprzedniego wieczoru i która noc spędziła w chłodni. Pogrzeb zaplanowano na jutro, więc dziś Marzena miała się zająć wszystkimi formalnościami, a Roberta przygotować ciało, bo rodzina życzyła sobie ceremonii z otwartą trumną. Zajrzała do aktu zgonu. Rak płuc z przerzutami, przy czym za bezpośrednią przyczynę śmierci uznano niewydolność oddechowo-kръżeniową. Kobieta była w wieku jej najstarszej siostry, ale Roberta starała się o tym nie myśleć. Wyglądała na o wiele starszą, na osiemdziesięciolatkę, i może dożyłaby takiego wieku, gdyby nie rak. Cierpienie postarza. Choroba dodaje lat, jakby ciało musiało w zawrotnym tempie dojrzeć do przedwczesnej śmierci.

Roberta wzięła do ręki kilka zdjęć, które zostawił im syn. Zdawało się, że pochodzą sprzed wieków; przedstawiały uśmiechniętą, elegancką kobietę. W przypadku starszych osób rzadko dostawała aktualne zdjęcia, jakby w życiu był moment, po którym ludzie niechętnie dają się fotografować, a może przestają uczestniczyć w sytuacjach, kiedy zwykle robi się zdjęcia. Nie wyrabiają sobie nowych dokumentów, nie jeżdżą na wakacje, nie chodzą na imprezy. Kobieta na fotografii miała na sobie grafitowy, stonowany strój, podobny do granatowego kostiumu, który przyniósł syn. O mężu, ojcu mężczyzny, nie było mowy. Być może była wdową, może się rozwiodła. Czasem Roberta myślała o zakończonym życiu, którego nie znała, z którym mijała się wcale nie inaczej niż lekarz czy położna, odbierający nowego człowieka jak przesyłkę z innego wymiaru. Nie interesowały ją jednak plotki, które przynosiła Marzena, nie znosiła sensacji. Wolała swoje wyobrażenia, choć z pewnością nie były prawdziwe, bo prawda pozostawała na zawsze zamknięta w ciele zmarłej osoby. Spojrzała na makijaż kobiety ze zdjęcia, ładną szminkę w jasnoróżowym kolorze, lekko opalony odcień skóry. Delikatnie odcięła nożyczkami metki – ubranie było nowe. Z torby, w której znalazła jeszcze buty na niewielkim obcasie, czarne bezpretensjonalne czółenka w rozmiarze trzydzieści siedem, wyjęła pognieciony paragon.

– Wiesz co? Bo ja mam taką plamkę na paznokciu serdecznego palca. Wiesz może, co to znaczy? – Marzena była hipochondryczką i nigdy nie omieszkała zapytać Robertę o swoje mniej czy bardziej wyimaginowane dolegliwości, jakby to, że Roberta skończyła dwa lata medycyny i zna anatomię oraz rozumie, co jest napisane w akcie zgonu, stawiało ją w jednym rzędzie z lekarzami.

Kiedyś Roberta zastanawiała się, czy Marzena podjęła tę pracę jako hipochondryczka, by stawić czoła swoim demonom i oswoić się z tematem śmierci, czy też odwrotnie, dopiero na skutek tej pracy, gdy miała okazję się przekonać, jak łatwo w gruncie rzeczy umierają ludzie, wykształciła w sobie radar, który miał wyłapywać wszelkie sygnały wysyłane przez jej organizm. Zapytana o to wprost, parsknęła śmiechem, przesłaniając usta małą upierścienioną ręką. Taki gest kosztował mniej niż wstawienie prawej górnej piątki.

– Ty to masz pomysły. Potrzebowaliśmy kasy. Mój znowu stracił pracę. Taka była, to taką wzięłam.

Robertcie zdawało się, że ich wzajemne relacje były podobne do tych między dziewiętnastowieczną hrabianką i jej garderobianą. Jakby Marzena zakrzyknęła: „Ale co też panienka wygaduje?” i klasnęła w dłonie. Marzena nie analizowała swojego życia, jak gdyby należało do kogoś innego. Dla niej życie nie było zbiorem symptomów do interpretacji, inaczej niż zdrowie. Roberta czasem myślała, że obie są hipochondryczkami, tylko obawy Marzeny dotyczą chorób, a lęki Roberty własnych myśli.

– Nie mam pojęcia, co to oznacza. Zdaje się, że plamki na paznokciach są skutkiem braku witamin lub minerałów.

Marzena już jej nie słuchała, bo wytrwale wstukiwała pojedyncze słowa w wyszukiwarkę internetową. Bransoletka na jej przegubie wydawała przy tym ciche hinduskie brzdęki. Z niesłychaną determinacją detektywa tropiła swoje podejrzenia. Ku zdziwieniu Roberty po wpisaniu w okno wyszukiwarki „biała plamka paznokciec serdecznego palca jaka choroba” Marzena wydestylowała z mętnej internetowej cieczy kilkaset wyników. Świat za oknem wyszukiwarki był, jak widać, pełen Marzen.

– A to dopiero! – rzuciła jakby do siebie, nie odrywając wzroku od ekranu. – Paznokciec kciuka odpowiada głowie, palca wskazującego płucom, środkowego jelitom, serdecznego... serdecznego... No, jak myślisz? – Klepnęła dłonią w kolano. – Nerkom! A małego sercu. Biała plamka może świadczyć

o zaburzeniach wchłaniania. Na paznokciu serdecznego palca może oznaczać odkładanie się wapnia w nerkach. I co ty na to? Może mi się wapń w nerkach odkłada?

Całe szczęście zadzwonił telefon i Marzena, chcąc nie chcąc, musiała skierować swoją nieokiełznaną poranną energię, zwiększoną dużą porcją kofeiny, na klienta.

Roberta podeszła do stołu, na którym leżała zmarła. Nie myślała o niej jako o pani Jance. Myślała o pracy do wykonania, o poszczególnych etapach i zadaniach. Tak było łatwiej. Musiała zacząć od wprowadzenia płynów odkażająco-konserwujących. Umyła i przygotowała ciało. Dobrała mieszankę do wieku i odcienia skóry. Później masaż – chodziło o to, by równomiernie rozprowadzić płyn. Po pomieszczeniu rozszedł się lekko malinowy zapach płynu konserwującego, który wybrała. Starannie przycięła włosy, paznokcie i brwi. Krzątała się cicho przy zmarłej w swoich dużych białych butach na grubej gumowej podeszwie.

Włączyła płytę i z głośników popłynęło Gnossienne No. 4 Erika Satiego. Lubiła słuchać jego nieśpiesznej muzyki, w której w zależności od nastroju za każdym razem słyszała coś innego. Tym razem zamiast melancholii na pierwszy plan wybijało się oczekiwanie. Pomyślała, że być może sama na coś czeka. W kontraście między uczuciowymi nutami a zgrzytliwymi akordami, które zdawały się prowadzić wprost przed siebie, bez planu i celu, jakim byłoby harmonijne rozładowanie muzycznego napięcia, dziś słyszała zapowiedź przygody.

Włożyła nową parę rękawiczek. Pracowała długo, w skupieniu, nie czując bólu pleców. Spojrzała na twarz zmarłej. Za każdym razem, kiedy kończyła pracę, dziwiła ją przemiana. Zmarli nie wydawali się żywi, bez przesady. Ale w ubraniu i makijażu wyglądali bezpiecznie.

Roberta na kilkanaście godzin tworzyła iluzję, cofała wskazówki zegara, by pomóc bliskim uwierzyć, że dla zmarłego nic więcej nie dało się już zrobić.

– Co to za pocztówka? Ta na twoim biurku? – spytała Marzena, gdy popijały drugie śniadanie zimną herbatą.

– Znalazłam w kanapie.

– Jakaś stara pamiątka? Dostałaś od przyjaciółki? – Widocznie Marzena nie zakładała, by Roberta mogła mieć romantyczną przeszłość.

W ciągu ostatnich pięciu lat, odkąd rozpoczęła pracę w Hadesie, nigdy nie widziała jej z żadnym mężczyzną. Roberta nigdy też nie opowiadała o mężu ani chłopaku.

– To w zasadzie... nie moja pocztówka.

Marzena śmiała się czasem, że rozmowa z Robertą przypomina wyciąganie informacji od podejrzanego.

– A czyja? Chyba że nie chcesz o tym mówić. Jak nie chcesz, to wiesz, nie ma sprawy.

– Widzisz, to taka dziwna historia. Kupiłam ostatnio używaną sofę. – Przypomniała sobie nieodparty pociąg, który poczuła do kanapy. Pożądliwość, którą nauczyła się w sobie tłumić, jeśli chodzi o przedmioty. Nie chciała nikomu opowiadać o tej nocy, o tym, jak siedziała nad ranem na kanapie i jak ją niosła z pomocą mężczyzny w bejsbolówce, robiąc niezręczne przerwy na złapanie oddechu, otarcie potu i potarcie o siebie zdrętwiałych rąk. – Pocztówka była schowana w środku. Spodobała mi się ta rzeźba. Widzisz? – Ponownie wzięła kartkę do ręki i jak za każdym razem, gdy na nią patrzyła lub ją

trzymała, ogarnęło ją dziwne uczucie.

– To rzeźba? – Marzena wyciągnęła dłoń, którą najpierw wytarła w papierowy ręcznik.

Chyba coś w minie Roberty sprawiło, że kartka przestała być zwykłą pocztówką i stała się zdjęciem kogoś bardzo ważnego i utraconego, dziadka, matki, która przedwcześnie zmarła, ukochanego męża. Marzena dobrze znała tę minę, bo widziała ją na twarzach klientów, kiedy podawali zdjęcia swoich najbliższych.

Roberta z ociąganiem podała jej kartkę.

– Tak, to rzeźba. Można ją zobaczyć w Muzeum Rodina w Paryżu. Byłaś kiedyś w Paryżu?

– No coś ty?! – Marzena znowu jakby klasnęła w ręce. – W jakim Paryżu? Mój Marek kiedyś obiecywał mi wycieczkę zagraniczną, ale skończyło się jak zawsze, na kilku dniach nad Bałtykiem.

– Nad Bałtykiem nie jest źle.

– Pewnie, że nie jest – zgodziła się Marzena – ale miło byłoby zobaczyć coś jeszcze, zanim człowiek...

– Chyba nie martwisz się wciąż tą plamką na paznokciu?

– No pewnie, że nie, sama popatrz. – Przełożyła pocztówkę do lewej ręki, a prawą podsunęła Robertce pod nos.

Roześmiały się głośno. Paznokcie Marzeny były dokładnie pokryte lakierem w kolorze niedojrzałych jeżyn.

– Dziwna ta rzeźba. To jakiś demon czy diabeł?

– Starsza kobieta. Podobno symbolizuje starość. Może nawet śmierć.

Roberta zdążyła poczytać o rzeźbie Claudel. Wiek dojrzały, przez wielu uznawany za największe osiągnięcie rzeźbiarki, miał przedstawiać starzenie się mężczyzny, odchodzenie od młodości reprezentowanej przez zostawioną z tyłu kobietę do nieustępliwej i zadziwiająco silnej starości. Była jednak jeszcze jedna, późniejsza interpretacja, autobiograficzna i przez to być może bardziej przekonująca. Mężczyzną był starszy od Claudel o dwadzieścia cztery lata kochanek i mistrz Rodin, młodą kobietą sama rzeźbiarka, starszą natomiast matka syna Rodina – Rose Beuret, dla której ostatecznie opuścił Paryż, a przede wszystkim swoją żonę, uczennicę i kochankę Camille Claudel. Ona sama pogrążyła się później w chorobie psychicznej i zniszczyła większość swoich prac.

Rzeźba nie zrobiła na Marzenie większego wrażenia, ale zaraz dociekliwie odwróciła kartkę.

– Czytałaś?

– Czytałam.

– Ale zaraz, przecież kartka jest podpisana przez ciebie. Czyli nie wysłana do ciebie, ale przez ciebie?

– No właśnie wyobraź sobie, że nie. To jakaś całkiem inna Roberta.

– Jak to całkiem inna? – Twarz Marzeny rozciągnęła się w przesadnym zdziwieniu, jakby wykonywała ćwiczenie aktorskie.

Przejrzystość i szczerść jej emocji nie przestawały zadziwiać Roberty, która z natury była skryta, a matka i doświadczenie nauczyły ją pokrywać mimikę filtrem ochronnym.

– Jak to całkiem inna? – powtórzyła Marzena, nie spodziewając się tym razem odpowiedzi. Powoli docierało do niej, że gdzieś po świecie, może po Paryżu, a może gdzieś blisko, chodzi jeszcze jedna Roberta.

– No po prostu inna. – Głos Roberty zadrgał z poirytowania. Przecież w końcu nie jest przedstawicielką jakiejś zupełnie innej rasy czy przybyszem z obcej planety i oto teraz wreszcie dowiedziały się ku swojemu zdziwieniu, że istnieje jeszcze jedna reprezentantka tego rzadkiego gatunku.

– Nieczytelny adresat. Dziwne.

– Dziwne – powtórzyła Roberta łagodniej, zawstydzona. Wiedziała, co ją tak zirytowało: to, że w pierwszym momencie pomyślała tak samo. Poczowała przebłysk radości, jakby natrafiła na ślad kogoś znajomego.

Marzena nie zwróciła uwagi ani na lekką irytację, ani na późniejszą łagodność Roberty. Nie analizowała ludzkich zachowań z taką drobiazgowością. Miała córkę nastolatkę, więc zmienność kobiecych nastrojów, by mogła ją dostrzec, musiała się przejawiać w o wiele dramatyczniejszy sposób. W zachowaniu Roberty pojawiały się niuanse, niby malutkie kółka rozchodzące się po tafli spokojnej wody pod wpływem uderzenia zaledwie kilku kropel deszczu. W przypadku córki czy nawet jej samej emocje przetaczały się na kształt letnich nawałnic.

Oddała koleżance kartkę i wróciła do swojej kanapki.

– Ciekawe, prawda? Taki romantyczny pomysł, bardzo filmowy. Spotkanie po dwudziestu latach. W Paryżu.

– Czy ja wiem? – odpowiedziała Roberta z przekorą. Zaczynała denerwować sama siebie. Teraz żałowała, że przyniosła pocztówkę do pracy i nie myśląc o tym zbyt wiele, postawiła ją na swoim biurku. Ponieważ nigdy nie kładła tam niczego osobistego, mogła się spodziewać pytań Marzeny. Tymczasem okazało się, że nie chce rozmawiać o pocztówce. Nie chciała się nią z nikim dzielić.

– No wiesz, ciekawe, czy się spotkają i kim jest ta twoja imienniczka, co to za historia. Poza tym to wyjątkowy zbieg okoliczności, że trafiła do ciebie kanapa z tą pocztówką.

– Może – odpowiedziała Roberta nadal dość krnąbrnie i odłożyła kartkę na biurko, ale tym razem położyła ją płasko. Otworzyła drzwi na zewnątrz, wpuszczając do środka szum deszczu.

– Która to godzina? Dzieciaki mi zmokną. Młoda sobie poradzi, choć, wiesz, parasola nie nosi, podobno to obciach, ale o małego się martwię. Może zadzwonię do Marka, niech po niego podjedzie. Dziś kończy lekcje o drugiej. – Już zaczęła szurać stopami, wyciągać telefon, dzwonić, ustalać.

Roberta jeszcze chwilę stała w milczeniu i patrzyła na deszcz, który zostawiał setki pozornie jednakowych, zlewających się srebrzystych kręgów w kałużach na parkingu.

\* \* \*

Jak w zasadzie mogła się spodziewać, gdy wróciła z pracy do domu, czekały na nią obie siostry.

– Co ty wymyśliłaś z tą kanapą? Mama się zdenerwowała – przywitała ją w progu Anna z nieodłącznym kieliszkiem białego wina w dłoni.

Od kilku, a może kilkunastu miesięcy – trudno było dokładnie stwierdzić, bo nie widywały się zbyt często – jej najstarsza siostra zdawała się funkcjonować na rauszu o zróżnicowanym stopniu nasilenia. W najgorszym wypadku przedzierała się mozolnie przez rzeczywistość wypełnioną za sprawą alkoholu gąszczem fizycznych przeszkód, w najlepszym, jak obecnie, sunęła przez nią gładko jak po tafli lodu, odważniejsza i skora do wygłaszania opinii. Być może przyczyną coraz silniejszych więzi Anny z winem była pustka, jaką odkryła w swoim dużym i pięknie urządzonym domu, w miejscu, gdzie miało się kryć

poczucie satysfakcji i zadowolenie z życia. Czyż nie było to wpisane w projekt budynku, który wybrali z mężem przed laty? Satysfakcja wkomponowana w tę ogromną przeszkloną przestrzeń pod antresolą, wypełniająca ją niczym ciepłe rodzinne westchnienie. Jednak po sześciu tysiącach dwustu pięciu ugotowanych obiadach i po dwunastu tysiącach czterystu dziesięciu rozdzielonych, wypranych, strzepniętych, ponownie połączonych w pary i rozwieszonych skarpetach, a także piętnastu tysiącach godzin wyczekiwania w samochodzie pod drzwiami różnego rodzaju instytucji edukacyjno-wychowawczych dzieci przestały jej potrzebować, a mąż tak bardzo przywykł do spędzania czasu poza domem w celu zarobienia pieniędzy „na ten cały kram”, wymownie wskazywany przez niego płynnym ruchem ręki, że nadal wracał późno, tylko czasem sprężystym krokiem z wymówką, której w zasadzie już nie chciała słyszeć.

– Po prostu kupiłam kanapę. Używaną. Co w tym takiego dziwnego? – Siostróm tym bardziej nie chciała zdradzać prawdziwego pochodzenia mebla.

– Mama się zdenerwowała. Zadzwoniła do nas, co, jak wiesz, robi bardzo rzadko.

Roberta już miała powiedzieć, że zgadza się: mama robi to zbyt rzadko, a one odwiedzają ją jeszcze rzadziej, choć mieszkają w tym samym mieście i nie pracują, ale tylko rozłożyła mokry parasol na werandzie i odwiesiła wilgotny płaszcz.

– Ale zaszalałaś, siostra.

Iwonę zastała w kuchni. Właśnie parzyła kawę w wysłużonej kawiarence z przybrudzonym napisem „Bialetti”. Wspięła się na palce i lekko cmoknęła Robertę w policzek. Firma transportowa jej męża, najnowszy pomysł na biznes, najwyraźniej wreszcie zaczęła przynosić dochody, bo jej sylwetka delikatnie się zaokrągliła, jak zawsze, gdy przez jakiś czas nie musiała się martwić o pieniądze. Żyłka przedsiębiorcza Mateusza była nierozzerwalnie związana z jego żyłką ryzykanta i czasem dochodziło do ich splątania w nierozwiązywalny węzeł długów, łez i chudnięcia Iwony.

– Co cię naszło z tą kanapą? Przecież do niczego wam nie pasuje. Te kwiatki, ten kształt. No i podniosłaś mamie ciśnienie. Wiesz przecież, że nie lubi zmian.

– To tylko kanapa. Naprawdę nie rozumiem, o co wam wszystkim chodzi. – Roberta spojrzała na zegarek. – Za dwie godziny przyjedzie facet z kärcherem i porządnie ją wyczyści. Używana, ale naprawdę w dobrym stanie, nie sądzisz? – Przetarła przykurzone filiżanki zarezerwowane dla gości i nalała do nich kawę.

– No może. – Iwona pojednawczo kiwnęła głową, patrząc na siostrę przenikliwie.

\* \* \*

Robercie przypomniał się dzień, kiedy zmarł ojciec i siostry pierwszy i ostatni raz odwiedziły ją w pracy. Było to, zanim właściciel przyjął Marzenę, więc nie mogła tak po prostu wszystkiego zostawić. Siedziała w biurze, odbierała telefony i nerwowo przerzucała dokumenty.

– Chyba nie powinnaś tu być. – Iwona popatrzyła wtedy na nią w podobny sposób, jakby Roberta była wybrakowana.

– A gdzie twoim zdaniem powinnam być? Chcę wszystko przygotować, tak by ojciec miał piękny pogrzeb.

– Naprawdę w tej sytuacji... Nie ma tu nikogo innego, kto mógłby się tym zająć?

– Poza tym możemy to przecież zlecić innemu zakładowi pogrzebowemu – wtrąciła Anna.

– Pogrzeb taty? Ale ja chcę, ja muszę się nim zająć.

Przez chwilę milczały.

– Pokryję wszystkie koszty – odezwała się wreszcie Anna, której wydawało się, że jeśli tylko uda się pokryć wszystkie koszty, życie będzie mniej skomplikowane.

– Na mnie nie liczcie. Mateusz znowu utopił nasze oszczędności w jakimś szemranym interesie. Daję słowo, ten pacan mnie kiedyś wykończy.

– Jeśli brakuje wam kasy, to przecież sama możesz poszukać zajęcia. Masz dwie zdrowe ręce? – Anna uwielbiała udzielać rad swoim młodszym siostram. Zdawało jej się, że nie mają prawa do narzekania, bo jakkolwiek był ich los, same sobie na niego zapracowały.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Nie przepracowałaś ani dnia w swoim życiu.

– Przecież mówię: „jeśli wam brakuje”. Mnie nie brakuje. Gdyby tak było, poszukałabym pracy o tak. – Pstryknęła palcami.

– Akurat. Po prostu miałaś szczęście.

Roberta wstała i wyszła na dwór, tak jak się wychodzi na papierosa.

– Chodź tu. – Iwona wystawiła zza drzwi kawałek jasnej grzywki. Miała piękne gęste, naturalne blond włosy. – Przecież mamy wszystko ustalić. Tata umarł, a ty sobie znikasz. Z ciebie jest taki dziwoląg.

– Chciałyśmy z tobą porozmawiać – zaczęła Anna, gdy Roberta wróciła do środka i z powrotem usiadła za swoim biurkiem. – Ktoś musi się zająć mamą. Zamieszkać z nią. Jest w złym stanie, szczególnie teraz, gdy zabrakło ojca, sama wiesz. – Oczy Anny zaszyły lekko łzami.

Roberta pomyślała, że przypominają dwa okrągłe, szafirowe jeziora. Takie, jakie widziała w telewizji w programach o Kanadzie. Jeziora położone wśród górskich szczytów, ocienione rżesami pierwotnych lasów, miały właśnie taki odcień.

– Dopiero niedawno się wyprowadziłam. Niecałe dwa lata temu.

– No właśnie – podjęła szybko Iwona – tym bardziej nie będzie to dla ciebie jakiś duży szok. Mieszkałaś już z nimi jako dorosła osoba. Ja sobie nie wyobrażam powrotu do mieszkania z mamą. Pozabijałybyśmy się. Poza tym jest Mateusz i dzieci. Potrzebują mnie.

– Ewentualnie można sprzedać dom rodziców, a mamę weźmiesz do siebie – rzuciła Anna w stronę sióstr, nie wskazując na żadną z nich.

– Do mojej kawalerki? Jaki miałoby to sens? – Roberta zamrugała oczami.

– Jak to do siebie? Chyba zwariowałaś. – Iwona podniosła głos o kilka decybeli. – Przecież wiesz, że mamy mało miejsca. Wy macie dużo większy dom. Dlaczego w takim razie nie weźmiesz mamy do siebie?

– Bo mieszkamy za miastem. Daleko za miastem – podkreśliła Anna. W duchu pogratulowała sobie i swojemu mężowi decyzji o wybudowaniu willi w stylu włoskim trzydzieści kilometrów za Poznaniem. Tyle razy przeklinała ją w duchu, stercząc w korkach i pokonując kolejne kilometry w drodze do szkoły dzieci, kosmetyczki czy supermarketu, tymczasem spotkała ją taka niespodziewana premia.

– A co ma, kurwa, piernik do wiatraka?

Mąż Iwony Mateusz nie miał doktoratu jak Adam, mąż Anny, ale miał sporo życiowego sprytu i Iwona posługiwała się jego językiem pełnym przekleństw, gdy chciała o coś dla siebie zawalczyć.



– Możesz nie przeklinać? Ojciec dopiero zmarł. Jesteśmy w domu pogrzebowym, na miłość boską – przypomniała Anna z namaszczaniem, jakby to był kościół.

– A ty przywołujesz imię pańskie nadaremno, też mi coś. – Iwona gwałtownie podniosła się z krzesła.

– Czyli sprzedamy dom rodziców, a mama zamieszka u mnie, w kawalerce? – zapytała ponownie Roberta. – Pytałyście ją o zdanie? Co ja mówię, na pewno nie, nie w takiej chwili.

Anna i Iwona szybko wymieniły spojrzenia, jakby ciągnęły losy. W końcu odezwała się Anna.

– No właśnie... Mama nie chce się nigdzie wyprowadzać. Wiesz, jaka jest uparta. Z wiekiem coraz bardziej. Ty jedna potrafisz z nią wytrzymać dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

– Czyli miałabym się z powrotem wprowadzić do domu rodziców? To jedyne wyjście?

– Niestety tak. – Iwona usiadła z westchnieniem i chwyciła sypki łań włosów, które sięgały wtedy, kilka lat temu, niemal do pasa, wiążąc je w gruby supeł nad karkiem.

– Tak byłoby na pewno lepiej i wygodniej. W końcu twoja kawalerka jest za ciasna dla was dwóch. No i trzecie piętro bez windy to trochę za wysoko dla mamy. – Anna uśmiechnęła się zadowolona, że Roberta wreszcie podejmuje decyzję, którą od początku miała podjąć, a w dodatku widzi ją jako jedyną rozsądną i podjętą samodzielnie.

– A nie mogłoby zostać tak, jak jest? No, wiecie. Ustaliłybyśmy dyżury i spędzałybyśmy z mamą czas na zmianę. Przecież nie pracujecie, to byłoby do zrobienia.

– Najwyraźniej nie masz pojęcia, ile czasu zajmuje prowadzenie domu i zajmowanie się mężem i dziećmi. – Anna podniosła głos, jakby Roberta oskarżyła ją o coś brzydkiego. Jej niebieskie oczy pociemniały. Zmrużone już nie przypominały kanadyjskich jezior, tylko zimne studnie, w których odbija się zachmurzone niebo.

Były już tak blisko podjęcia właściwej decyzji, tymczasem Roberta miała jakieś dziwne pomysły, które doprowadzą tylko do skłócenia ich wszystkich ze sobą, bo przecież to niemożliwe, by zgrać grafiki opieki nad mamą, gdy jeszcze są grafiki dzieci i grafiki mężów, i grafiki teściów do uwzględnienia.

– No właśnie – włączyła się Iwona. – Tobie się chyba wydaje, że nic nie robimy. Nic, tylko kawka, ciastka, plotki i telewizja śniadaniowa. – Zaśmiała się z przekąsem.

– Słuchajcie, nie mówmy już o tym. Nie tutaj, nie teraz. Dobrze, wynajmę komuś kawalerkę i wprowadzę się z powrotem do domu, jeśli będzie taka potrzeba. A teraz już sobie idźcie. Jest tyle rzeczy do załatwienia, tyle osób trzeba powiadomić, muszę jeszcze wezwać Tomka.

Nie chciała wypominać siostrze, że zawsze są znakomicie zorientowane w wątkach aktualnie nadawanych seriali telewizyjnych, plotkach na temat uczestników wszelkich tańców z gwiazdami czy śpiewów z gwiazdami i innych. Nie chciała już o tym rozmawiać. Chciała się skupić na zorganizowaniu pogrzebu ojca, nie myśleć o nim jeszcze, jakby go nie było.

Po raz pierwszy zachciało jej się płakać, ale teraz nie mogła sobie na to pozwolić. Trzeba było załatwić formalności, wybrać muzykę, ulubioną melodię ojca z westernu El Dorado z Mitchumem. Mamie się to nie spodoba, ale co tam, puszcza to przecież dopiero na stypie, nie podczas ceremonii. Na sam pogrzeb Roberta wybrała Requiem Mozarta, tak będzie pięknie i dostojnie. Na pewno przyjdzie wielu byłych uczniów ojca i nauczyciele z jego szkoły. Poza tym kwiaty, trzeba jeszcze wybrać kwiaty.

– No chodź już, idziemy. – Anna zaszurała butami obok Iwony w nagłym pośpiechu, by uciec z tego okropnego, przygnębiającego miejsca.

Grunt, że bezboleśnie osiągnęły cel. Roberta zgodziła się sama i nie będzie uważać, że ją do czegokolwiek zmusiły. Przez chwilę zrobiło jej się żal siostry. Spojrzała w jej duże, brązowe oczy, niemal krowie. Tak łatwo się na wszystko zgadzała i zawsze tak bardzo chciała wszystkich zadowolić. Czy nie rozumiała, że to droga donikąd? Ich najmłodsza siostra, którą kiedyś nazywały swoim wielkoludem. Musiało jej być nieraz przykro. Może mogła zostać pływaczką lub koszykarką? Czy to nie byłoby dla niej najlepsze? Anna nigdy nie pojęła, dlaczego mama była tak bardzo przeciwna temu, by Roberta rozwijała jakiegokolwiek sportowe pasje. Zamiast tego zapisała ją na lekcje baletu i tańca towarzyskiego, nie rozumiejąc, że na sali tanecznej Roberta tylko utrwała swoje kompleksy. Na zajęciach z tańca towarzyskiego nigdy nie znaleźli dla niej partnera, bo wszyscy chłopcy w danej grupie wiekowej sięgali jej do pasa. Lepiej nie myśleć, jak się czuła na zajęciach baletowych. Czy mama naprawdę tego nie rozumiała? Raz Anna podsłuchiwała, jak mama tłumaczyła ojcu, że dzięki temu Roberta nabierze dziewczęcej gracji. Jak mogła nie widzieć, że Roberta odbija się w lustrze wśród innych dziewczynek niezgrabna jak przerośnięty łabędź? Tego dnia, kiedy Anna znalazła ją zapłakaną i brudną w łazience, zgodziła się powiedzieć, co się stało, dopiero gdy wymogła na najstarszej siostrze obietnicę, że zatrzyma to dla siebie i sama nie kiwnie palcem w tej sprawie. Podobno szły za nią i ją wyzywały. Trzy dziewczynki z tej samej klasy baletu, rzecz jasna o wiele od niej mniejsze. Może nie szły z widłami i grabiami, jakby polowały na ogra, ale skończyło się na kilku kopniakach. Kopnęły ją. Małe i delikatne baletnice wyzywały ją i kopnęły swoimi małymi stopami. Anna zdawała sobie sprawę z tego, jak poniżające musiało to być dla siostry. Roberta wyszłochała, że nie mogła im nawet oddać, bo od razu wszyscy by mówili, że taka wielka rzuciła się na takie małe.

– No chodź – powtórzyła Anna do siostry i wyszły w pośpiechu, stukając obcasami, jakby się bały, że Roberta zmieni zdanie.

Te odwiedziny przypomniały się teraz Robercie. Teraz, gdy raz po raz pytano ją o kanapę, rzecz, zdawałoby się, błahą i niewartą wzmianki, zwykłą fanaberię w kwiatki. Siostry patrzyły na nią zaniepokojone, jakby miała zamiar spłatać im figła.

Postawiła przed nimi kawę na stole kuchennym i wreszcie usiadła. Dopiero teraz poczuła ból pleców. Rozmasowała sobie kręgosłup kłykciem prawego kciuka.

– Byłyście u mamy?

– Oczywiście, że byłyśmy u mamy. Leży. Czy ona aby nie dostanie odleżyn? Jest jeszcze wcześniej, a ona nawet się nie ubrała. Leży w łóżku w koszuli nocnej i podomce. – W głosie Iwony pobrzmiwała lekka nagana.

– Wstaje na posiłki. Kręci się trochę po domu, tylko nie lubi wychodzić na dwór. No chyba że na chwilę do ogrodu, by powiedzieć mi, co powinnam już posadzić, a co podlać. – Roberta się uśmiechnęła.

– Cała mama. Powinna chodzić na spacer. – Anna odstawiła kieliszek i siorbnęła jeszcze gorącej kawy. Macie ochotę na wino? Przyniosłam białe. Jest w lodówce.

– A jak wrócisz do domu? – zainteresowała się Iwona.

Srebrny mercedes Anny stał na chodniku przed domem.

Anna nauczyła się zbywać tego rodzaju niewygodne pytania milczeniem.

– A ty uparcie jeździsz wszędzie rowerem? Pewnie dziś zmokłaś. – Zamiast odpowiedzieć,

postanowiła ponownie zwrócić uwagę na Robertę. W końcu to z jej powodu tu dziś przyjechały. – Przecież samochód ojca stoi na podjeździe. Używasz go w ogóle? Przydałby się Teodorowi.

– Chyba bardziej Tosi. Teodorowi przecież kupiliście samochód – wtrąciła Iwona.

Obie siostry od dawna czyhały na toyotę ojca. Miała piętnaście lat i czterdzieści tysięcy kilometrów przebiegu. Rodzice rzadko nią jeździli, większość części ani razu nie była wymieniana. Ojciec chuchał na nią i dmuchał, a gdy tylko świeciło słońce, polerował, tak by błyszczała z każdej strony.

– Czasem trzeba zawieźć mamę na badania czy zrobić większe zakupy. Wtedy jadę samochodem. – Roberta miała prawo jazdy od dwudziestu lat, ale nie była dobrym kierowcą i nie znosiła jazdy po mieście, całego tego zamieszania z parkowaniem i innymi kierowcami, którzy trąbili na nią niecierpliwie, aż podskakiwała w fotelu.

Iwona od razu się nastroszyła nad swoją filiżanką.

– Przecież jak powiesz, to ją zawiozę, ale wiecie, jak to jest. Mateusza często nie ma i jestem z dziećmi sama. Tego trzeba podwieźć tu, tę odebrać od przyjaciółki. Jestem jakby rodzinnym kierowcą, kolejny, kurde, etat. Ty, Anno, masz już duże dzieci, na studiach, więc na pewno jest łatwiej.

– Tak ci się tylko wydaje. Wiecznie im czegoś trzeba, a najbardziej pieniędzy.

– To akurat nigdy nie było twoim zmartwieniem.

– Zjecie coś? – Roberta zaczęła się niespokojnie krzątać. Poczła się jak Kopciuszek w otoczeniu przybranych sióstr. Może były przybrane? A może to ją adoptowano? Tylko po co rodzice adoptowaliby trzecią z kolei córkę? Miała być przecież chłopcem o imieniu Robert.

– No i masz. Nasza Roberta znowu w swoim świecie. Halo, Ziemia do Roberty. – Iwona otworzyła lodówkę i wprawnie zaczęła wyjmować składniki na kanapki.

– Pójdę zawołać mamę. Na pewno też coś z nami zje. Zawsze się tak cieszy, kiedy przyjeżdżacie – odparła Roberta.

Złapała się na tym, że coraz częściej myśli o nadawcy pocztówki. Być może imię jest jak perfumy, które na każdej skórze pachną trochę inaczej. Zastanawiała się, jak jeszcze można nosić to brzydkie męskie imię i czy tej drugiej udaje się to robić z większym wdziękiem. Rozmyślała, ile ta kobieta ma lat. Może jest w podobnym wieku i ten paryski romans przytrafił jej się jako dwudziestolatce? To by nawet pasowało – czy nie w takim wieku miewa się tak filmowe pomysły jak wyznaczanie spotkania w Paryżu za dwadzieścia lat? Była młodą kobietą, którą starsza, może żona, pozbawiła kochanka. A może jest starsza i była to jakaś spóźniona miłość? Zastanawiała się nad zagadką romansu pocztówkowej Roberty. Wpisany tam tekst sugerował zaburzenie ciągłości. Czy jedno z nich (a może oboje) było w związku, dlatego romans musiał się zakończyć? Po co w takim razie spotykać się za dwadzieścia lat? Czy jej tajemnicza imienniczka miała nadzieję, że po tak długim czasie coś w jej lub jego sytuacji się zmieni? Może chciała tylko to sprawdzić, a pocztówka miała być furtką do przyszłości, a jednocześnie do przeszłości?

\* \* \*

Kanapa po wyczyszczeniu prezentowała się jeszcze ładniej. Nawet mama musiała to wreszcie przyznać i wieczorami siadywała na niej z przyjemnością. Światło lampy ustawionej na parapecie odbijało się w szybie tak, że zdawało się, iż w pokoju biją dwa ciepłe źródła. Czasem sama czytała książkę, a czasem

prosiła o to Robertę. Dla Roberty kanapa stała się ulubionym miejscem w domu. Nie tylko była niezwykle wygodna i łatwo można się było na niej umościć nawet z tak długimi kończynami, lecz także podobnie jak pocztówka przypominała jej o innym, tajemniczym życiu, którego stała się jakby częścią od momentu znalezienia mebla obok śmietnika.

– Jak się sprawuje kanapa? – Głos mężczyzny karmiącego wróble, który tym razem tylko siedział na ławce i niczego nie karmił, wyrwał ją z zamyślenia.

Właśnie wracała z pracy. W niedawno zamontowanym przy kierownicy roweru koszyku wiozła trochę podstawowych zakupów. Obok mężczyzny na ławce leżała książka przykryta czapką, a on uśmiechał się do Roberty przyjaźnie.

– Bardzo dobrze, dziękuję. – Wahala się, czy jechać dalej, czy zatrzymać się na chwilę. Przystanęła i mocno przytrzymała rower, bo niebezpiecznie się zatoczył pod ciężarem zakupów.

– Tak pani odpowiedziała, jakby chodziło o czyjeś zdrowie – stwierdził w zamyśleniu.

– A tak. Chyba tak.

Już dawno żaden mężczyzna jej tak po prostu przyjaźnie nie zaczepił. Owszem, rozmawiała ze swoimi szwagrami, którzy mieli ją za ekscentryczkę i tolerowali, ale jej nie lubili. Nie przepadał za nią ani doktor chemii Adam, ani właściciel firmy transportowej Mateusz, szczególnie podczas cyklów spadkowych w małżeństwach z jej siostrami, kiedy to Roberta zdawała się kwintesencją osoby, jaką mogłyby się stać ich żony, gdyby im tylko na to pozwolili. Byli też klienci domu pogrzebowego, synowie, mężowie, ojcowie, wujowie zmarłych. Rozmowy z nimi przepełniał jednak żal. Czasem, w przedziwnych chwilach zwierzęcej żądzy obudzonej bliskością śmierci, kładli jej rękę na kolanie, zapraszali na kawę. Zdejmowała te ręce bez komentarza, grzecznie odrzucała zaproszenia.

Postanowiła poprawić to dziwne wrażenie, które mężczyzna mógł odnieść.

– Pozostając więc jeszcze na moment w konwencji, odpowiem, że kanapa ma się dobrze. Nie kicha, nie prycha. Cokolwiek w niej mieszkało, zostało wytępione, a sam mebel doszorowany i przywrócony na łono społeczeństwa.

– Można zatem pokusić się o stwierdzenie, że uratowała ją pani od życia na ulicy niczym bezdomnego.

– Właśnie tak pomyślałam tej nocy, kiedy ją nieśliśmy. – Ta forma czasownika, „my” na końcu zdania, i to, że się tak nagle rozgadała, zawstydziło ją trochę, jakby mieli ze sobą coś wspólnego, jakiś sekret. Jednocześnie jednak była podekscytowana. Z mężczyzną potrafiła rozmawiać o kanapie i wcale nie czuła zaborczości ani niechęci do dzielenia się przyjemnym uczuciem przygody, jak na początku długiej podróży pociągiem, zanim przyjdzie zmęczenie i znużenie monotonią krajobrazu za oknem.

– Śpieszy się pani? Może usiądzie pani na chwilę? – Przełożył książkę i czapkę na drugą stronę ławki, na sam jej brzeg, a Roberta, działając jak w transie, oparła rower na nóżce i usiadła obok, jednak na tyle daleko, że książka i czapka spokojnie mogły pozostać na środku, między nimi.

Przez chwilę milczeli i patrzyli, jak jej koszyk z zakupami przechyla się lekko w prawą stronę, ale nie na tyle mocno, by coś mogło z niego wypaść. Niebo było niebieskie, bez jednej chmury, i gdyby nie zimny marcowy wiatr, który szczypał w policzki, dzień wydawałby się letni.

– Co pan czyta?

Bez słowa podał jej książkę. Zwróciła uwagę na jego długie palce w czerwonych rękawiczkach z palcami odciętymi jakby specjalnie po to, by łatwiej mu było przewracać kartki.

– Udręka i ekstaza Irvinga Stone’a – odczytała Roberta z okładki. – To książka o Michale Aniele, prawda?

– Tak. Czytam ją kolejny raz, z coraz większą przyjemnością. Dość rzadko się to zdarza. Przynajmniej mnie. Zna ją pani?

– Tej książki nie, ale cenię Stone’a. I Stone’a pisarza, i Stone’a reżysera – dodała z uśmiechem. – „Kamień” to, jak widać, dobre nazwisko dla artysty.

– Ciekawe. Nie pomyślałem o tym. Kamienie mnie fascynują, a raczej to, co można z nich zrobić.

– Ma pan na myśli rzeźby? Takie jak ta na okładce?

– Tak, ale też prymitywne konstrukcje typu Stonehenge i rzecz jasna biżuterię.

– Głupio się przyznać, ale nie wiem, co przedstawia okładka. Nigdy nie interesowałam się rzeźbą.

– To Pieta florencka Michała Anioła. Piękna, prawda? I pomyśleć, że ten człowiek był także malarzem i poetą.

Roberta popatrzyła jeszcze raz na okładkę i z ociąganiem oddała mu książkę.

– Czytałam Pasję życia Stone’a, o van Goghu. Trzeba mu przyznać, że świetnie dobierał bohaterów swoich biografii.

– Jeśli pani chce, mogę ją pani pożyczyć. Zostało mi tylko kilkadziesiąt stron. Jutro ją pani dam – powiedział zadowolony, jakby znowu coś zostało między nimi ustalone. – Będę tu około siedemnastej.

– Chętnie. – Roberta znowu zaskoczyła samą siebie. Zwykle czułaby się w takiej sytuacji niezręcznie. Tym razem jednak nawet przez myśl jej nie przeszło, by się krygować.

– A ja chętnie zmienię swoje imię.

Odwróciła się wreszcie całkowicie w jego stronę, bo do tej pory siedzieli obok siebie i mówili jakby w przestrzeń. Na filmach w ten sposób rozmawiali szpiegowie, którzy wymieniali się tajnymi informacjami, spotykając się na ławce w parku.

– Swoje imię? Chyba nie rozumiem. A jak ma pan na imię?

– Kiedy nieśliśmy kanapę, powiedziała pani, że gdy mnie pani widzi, zawsze karmię wróble, że w pani głowie jestem Mężczyzną Karmiącym Wróble. Wolę być Mężczyzną od Książki niż Mężczyzną Karmiącym Wróble.

– A nie Mężczyzną od Udręki i ekstazy? – Prawie zachichotała. – Czy ja w takim razie jestem Kobieta od Kanapy?

– Zdaje się, że tak. Nie dało się inaczej.

Przez chwilę milczeli, jakby oboje wzięli oddech i na moment wypłynęli na powierzchnię. Rozmowa była zajęciem, któremu Roberta nie oddawała się zbyt często. Dopiero teraz dotarły do niej odgłosy późnego marcowego popołudnia, szczekanie psa, odległe krzyki dzieci, dźwięczny szelest opon na wilgotnej jezdni. Niedaleko przejechał brudny van, który zwoził robotników z pobliskiego placu budowy. Napotkała spojrzenie jednego z nich i wyczytała w nim marzenie o zimnym piwie i kiepskiej telewizji, podczas gdy dzieci już śpią, a żona krząta się w kuchni.

– Czas na mnie – powiedziała, gwałtownie wstając z ławki. Nagle znowu wróciła jej świadomość własnego ciała, poczuła się duża i niezgrabna. Szybko podeszła do roweru, jakby chciała się za nim schować. Z impetem nacisnęła czubkiem stopy nóżkę roweru, aż zabolowało.

– Proszę nie zapomnieć o książce. Jutro.

Pan od Wróbli, bo na Pana od Książki było jeszcze za wcześnie, szybko odwrócił wzrok. Pomyślała, że może nie chce jej krępować, gdy sadza swoje ciężkie pośladki na siodełku i niezręcznie próbuje podciągnąć stopą prawy pedał, by za chwilę się na nim wybić i odjechać. Prosta, a jednocześnie niezwykła konstrukcja roweru nie przestawała jej zadziwiać.

Oddalając się w kierunku domu, jeszcze chwilę myślała o książce, a w szczególności o rzeźbie na okładce. Najpierw Wiek dojrzały Camille Claudel, a teraz Pieta florencka Michała Anioła. Do jej małego świata nagle wkradła się ludzka anatomia wykuta w kamieniu, jeszcze bardziej martwa od tej, którą codziennie myła, masowała, ubierała, malowała, a jednocześnie tak bardzo dynamiczna, zatrzymana w momencie najintensywniejszego przeżywania, że prawie żywa. Stwierdziła, że jutro pokaże mężczyźnie pocztówkę, którą znalazła w kanapie.

Wchodząc do domu, skrzywiła się na myśl, że tamtej nocy dała mu dwadzieścia złotych za pomoc. Przypomniała sobie jego gest, jak zdjął i włożył czapkę. Wcale nie chodziło o przypieczętowanie umowy – po prostu zabrakło mu słów. Nie spodziewał się, że ktoś może go potraktować w ten sposób, jak osiedlowego pijaczka czy bezdomnego. W środku nocy w niewielkim holu jej domu nie śmiał nie wziąć tych pieniędzy. Gdyby ich nie przyjął, wyszedłby z roli, którą mu od początku narzuciła. Stałby przed nią jako nie wiadomo kto, być może ktoś niebezpieczny, kogo w środku nocy nierozważnie wpuściła do domu i wobec kogo będzie się czuła zobowiązana. Nie chciał jej przestraszyć ani wprowadzić w zakłopotanie. Jutro go za to przeprosi. Na przeprosiny pokaże mu pocztówkę.

\* \* \*

Jednak następnego dnia, kiedy o siedemnastej wracała z pracy, mężczyzny nie było na ławce. Poczekała kwadrans, ale nie przyszedł. Zrobiła zakupy i przechodząc obok ławki, przysiadła na parę minut. W końcu wzruszyła ramionami i odjechała. Przez kilka kolejnych dni rozglądała się za nim mimowolnie, prowadząc rower z zakupami. Dopiero piątego dnia z radością dostrzegła jego przygarbioną sylwetkę. Miał na sobie tę samą co zawsze zieloną czapkę z daszkiem i czerwone rękawiczki bez palców, tylko wydawał się bledszy.

– Przepraszam, ale nie było nikogo, kto mógłby tu przyjść z książką dla pani. Chorowałem.

– Proszę się nie tłumaczyć, nic się nie stało. Szczerze mówiąc, zupełnie o tym zapomniałam – skłamała. – Już lepiej się pan czuje?

– Tak, choć jeszcze nie wróciłem całkiem do formy. – Zakaszłał.

– Może za lekko się pan ubiera? Wciąż jest zimno. – Pożałowała tych słów, zanim jeszcze wybrzmiały. Przecież nie była jego matką.

– Być może. – Uśmiechnął się.

Postawiła rower na nóżce i usiadła obok niego, tak jak poprzednio na drugim końcu ławki. Mimo to poczuła jego zapach, lekko mydlany, jakby wszystko, co miał na sobie, zostało świeżo uprane.

– Zanim zapomnę: proszę, książka dla pani. – Podał jej niewielką reklamówkę.

– Szybko oddam. Obiecuję.

– Proszę się nie śpieszyć. Takie książki dobrze się czyta powoli, jeśli nie chce się zgubić szczegółów. Czasem myślę, wie pani...

– Mam na imię Roberta. – Wyciągnęła do niego po męsku swoją dużą dłoń, która w zetknięciu z jego

okazała się zmarznięta. Nie zabrała rękawiczek. Nie wiedziała, co jest dziwniejsze w tym wszystkim: to, że mu przerwała, choć zwykle była cierpliwym słuchaczem, to, że podała mu rękę, której się wstydziła ze względu na jej wielkość (kiedyś kolega z klasy powiedział, że ma ręce jak łopaty), czy to, że nieproszona podzieliła się swoim imieniem. Zwykle tego nie robiła. Przyzwyczała się do niego, ale nigdy go nie polubiła. Nie zdradzała się z nim szybko.

– Robeeerta. – Wymówił to imię inaczej niż ona, rozciągając przedostatnią sylabę. Zabrzmiało jak imię Włoszki. – Jakie piękne i niespotykane imię. Moje jest banalne: Wojtek. – W zasadzie nie uścisnął jej ręki, tylko chwilę przytrzymał ją w swojej. – Wracając do czytania: nie wydaje ci się, że rzadko czytamy jakąkolwiek książkę w całości? Zawsze jeden aspekt jest ważniejszy od innych. Skupiamy się na fabule i uciekają nam całe akapity, bo chcemy wiedzieć, co będzie dalej. Albo odwrotnie, rozpływamy się nad pięknem języka i uykają nam skutki lub przyczyny. Nie mówiąc już o tym, że od tego, kto opowiada historię, istotniejsze jest ucho, w które ta historia wpada.

Uśmiechnęła się do niego, kierując kolana bardziej w jego stronę.

– Masz na myśli to, że na różnych etapach życia tę samą książkę przeczytamy inaczej, bo sami będziemy trochę inni? Że gdy jesteśmy młodzi, koncentrujemy się, dajmy na to, na wątkach przygodowych, gdy jesteśmy starsi, na wątkach romansowych, a gdy jeszcze starsi, na prostocie historii lub pięknie języka?

– Właśnie tak. – Spojrzał na nią jak nauczyciel, który za chwilę postawi ocenę celującą. – To dlatego wiele książek czytam kilkakrotnie.

– Ja też. – Podała mu pocztówkę.

Nie odwrócił jej, w skupieniu przyglądał się rzeźbie Claudel.

– Znam tę rzeźbę. To Wiek dojrzały Camille Claudel. Można ją zobaczyć w Paryżu, w Muzeum Rodina. Byłaś kiedyś w Paryżu?

– Nie, nigdy.

Roberta wyobraziła sobie Francuzki, dystyngowane i stawiające drobne kroczki na chodnikach. Niemal jak Chinki, gabarytami przystosowane do panującego wokół zgiełku i ścisłu. Pomyślała, że na pewno noszą dopasowane kostiumy w małych rozmiarach, frywolne i zwiewne apaszki na delikatnych szyjach, malutkie pieski w torebkach. Ich uszmińkowane usta rozwierają się jak płatki róż przy wymawianiu francuskich słów, a nylonowe pończochy szeleszczą, gdy zakładają nogę na nogę. Nie była pewna, czy Paryż by jej się spodobał; mało podróżowała i nie wiedziała, jak wygląda świat. Kiedy o tym jednak myślała, wyobrażała sobie siebie raczej w Australii, którą znała z programów podróżniczych. Przemawiał do niej jej pierwotny urok, nieokiełznane połączenie ziemi i mieszkańcy o podobnych do niej gabarytach, przystosowani do życia na nieograniczonych otwartych przestrzeniach, gdzie nie trzeba się nigdzie i w niczym mieścić.

Oddał jej pocztówkę, nie odwracając jej.

– Znalazłam ją w tej kanapie, w schowku na pościel, w książce. Myślę, że może należeć do poprzedniego właściciela i powinnam mu ją oddać. Pozbył się kanapy, ale pocztówkę mógłby chcieć zachować. Wydaje się ważna.

– Dlaczego?

Jeszcze raz podała mu kartkę, tym razem podsuwając tekst pod oczy.

– A to ciekawe. Ty to napisałaś?

Roberta pokręciła głową.

– Niewielkie jest prawdopodobieństwo trafienia na drugą kobietę o tak niezwykłym imieniu.

Przedziwne. – Oddał jej kartkę. – Zamazany adres. Widać tylko, że Poznań.

– Zamazany, ale w książce, gdzie tkwiła chyba w roli zakładki, była pieczętka z adresem. To niedaleko stąd.

– Byłaś tam?

– Jeszcze nie, ale mam zamiar się wybrać. Choć oczywiście nie mogę mieć pewności, że właściciel książki czy kanapy jest adresatem pocztówki. Dużo niewiadomych.

Konkretny plan, by sprawdzić ten adres, pojawił się dopiero w tym momencie. Wcześniej myślała tylko, że powinna tak zrobić choćby po to, by ten, do kogo pocztówka została napisana, nie zapomniał o wyznaczonym spotkaniu. Jednocześnie jednak coś ją powstrzymywało.

– Nie zrobiłam tego do tej pory, bo chciałam się trochę nacieszyć tajemnicą. Głupie, prawda?

– Wcale nie. Zrobiłbym podobnie. Może drzwi otworzy ci sama Roberta, a może jacyś jej przyjaciele czy krewni i nie będzie już tajemnicy. W jednej sekundzie dowiesz się wszystkiego.

– Właśnie.

Włożyła pocztówkę do reklamówki z książką i ułożyła je w koszyku.

– Powiesz mi, jak poszło?

– Oczywiście. Z jednej strony chciałabym poznać tę inną Robertę, a z drugiej wcale nie. Chyba za dużo o niej rozmyślałam.

Mężczyzna patrzył za nią, kiedy odjeżdżała, więc starała się zrobić to z gracją. Nie odwróciła się, ale przez cały czas czuła na sobie jego wzrok, nawet gdy skwer z ławką już dawno zniknął za zakrętem.

Choć nigdy nie robiła z tego tajemnicy, niewiele osób wiedziało, że Roberta przeżyła kiedyś wielką miłość. Po prostu łatwiej było o niej myśleć jak o jakiejś odrębnej rasie, o kimś, kto nie tyle urodził się taki, ile ukształtował z upływem lat. Szwagrowie w stanie upojenia alkoholowego szemrali między sobą, że z pewnością jest dziewczicą, a jej rozkołysane długie, brązowe włosy przypominają welon westalki lub zakonnicy. W odległych czasach siostry próbowały umawiać ją na randki ze swoimi kolegami czy braćmi kolegów, ale randki te zwykle kończyły się rozczarowaniem obu stron. Bez jej wiedzy umieścili też anons na portalu randkowym, a później z dumą przyniosły jej plon w postaci podobnych sucho brzmiących ogłoszeń mężczyzn, którzy w wolnych chwilach jeździli motocyklami, chodzili do kina lub grali w squasha. „Jestem, jaki jestem”, pisali. „Nic o mnie beze mnie”. „Spotkaj się ze mną, a zobaczysz”. Informacje o tym, że są wdowcami lub rozwodnikami, przypominały jej staroświeckie ogłoszenia matrymonialne z gazet, a dołączone zdjęcia dodatkowo wzmagały poczucie obcości. Myśl o tym, że miałyby się z jakimś spotkać, wydawała się jej tak niedorzeczna, jak randka z mężczyzną, który każdego miesiąca przychodził do ich domu spisać stan licznika zużycia prądu. Przypominałoby to zakupy w sklepie z ludźmi. Nie rozumiała, dlaczego miałyby się spotkać z obcym mężczyzną i pozwolić na to, by w milczeniu pochłaniał oczami jej krzepkość, jakby już zdjął ją z półki i postawił przed sobą na ladzie. Wyobrażała sobie niezręczne splatanie rąk przed filiżanką kawy i pytania, które mogłaby mu zadać. Serwis internetowy, w którym zarejestrowały ją siostry, umożliwiał wysyłanie potencjalnym kandydatom



pytań z listy. Można było zapytać: „Jak spędziłbyś wymarzony wieczór?” lub „Jakie masz plany na następne dziesięć lat?”, lub też „Co jest dla Ciebie wyzwaniem?”. Nie sądziła, by odpowiedzi uzyskane na te pytania mogły ją w jakikolwiek sposób przybliżyć do danego człowieka. Mężczyzna planujący spłodzić troje dzieci, wymarzony wieczór spędzić z ukochaną w restauracji i dać się wypchnąć z samolotu ze spadochronem był wyłącznie mężczyzną chcącym być postrzegany jako taki, który chce być ojcem, chodzić po restauracjach i skakać ze spadochronem. Nie było tam tego mężczyzny, tylko jego niejasna wizja, coś w rodzaju hologramu w kształcie znaku zapytania.

Po pewnym czasie siostry dały za wygraną, a choć w przeciwieństwie do swoich mężów nawet w upojeniu alkoholowym nie zastanawiały się głośno nad życiem płciowym najmłodszej siostry, wydawało im się, skrycie i każdej osobno, że być może Roberta jest lesbijką, a jej nieujawnioną partnerką Marzenka z pracy. Annie brak męża wcale nie wydawał się najgorszym rozwiązaniem. W latach, które nastąpiły po zbudowaniu domu i odchowaniu dzieci, kiedy jedyną formą zmiany zdawały się niszczenie i rozpad na skutek powolnej erozji, czasem wyobrażała sobie życie bez Adama i ta myśl wcale nie była dla niej przykra. Znacznie większą trudność sprawiało jej rozmyślanie nad bezdzietnością Roberty. Próbowwała wyobrazić sobie swoje życie bez dzieci i natychmiast ogarniało ją poczucie niedojrzałości. Gdyby nie miała własnych dzieci, na zawsze sama pozostałaby dzieckiem, młodą dziewczyną, której ciało pozbawione rozstępów na piersiach i nadmiaru skóry na brzuchu wtórowałoby brakowi odpowiedzialności za inną istotę ludzką. Trzeba się kimś zaopiekować, by go pokochać. Zastanawiała się, czy wszelkie matczyne uczucia przelewałaby wówczas na Adama. A może na siebie? A może podobnie jak Roberta na resztę rodziny: rodziców, siostrzeńców i siostrzenice? Jakie byłyby jej relacje z matką? Przecież stały się naturalne, dopiero gdy sama została matką i zajęła należne jej miejsce wśród kobiet, które poznały największą tajemnicę życia. Kiedy dzieci były małe, potrzebowała matki jak nigdy wcześniej. Była jednocześnie babcią i matką – matką dla niej i dla jej dzieci, podczas gdy Anna wprawiała się pod jej okiem. Tak jak nikt nie rodzi się kobietą czy mężczyzną, kobieta nie staje się matką w momencie urodzenia dziecka. Rodzi się wtedy potencjalna matka.

Gdyby ktokolwiek zapytał, Roberta opowiedziałaby o swojej miłości. Nikt jednak nie pytał.

Patrzyła na mężczyznę zdezorientowana, jakby się nie spodziewała, że ktoś jednak otworzy. Przycisk domofonu zawibrował pod jej palcem już przy pierwszym nieśmiałym dotknięciu. Zaskoczona dźwiękiem szybko schowała rękę do kieszeni. Po krótkiej chwili, gdy nadal niepewnie stała przed wejściem, z budynku wyszło małe dziecko i uprzejmie przytrzymało dla niej drzwi. Blok był niski, trzy mieszkania na każdym piętrze, a mieszkańcy, jak się zdawało, dobrze zdomowieni. Świadczyły o tym stojące na korytarzu kwiaty doniczkowe, a nawet szafki na buty i stojaki na parasole. Na trzecim piętrze, gdzie być może mieszkał adresat, na ścianie wisiała przykurzona reprodukcja Śniadania wioślarzy Renoira.

Mężczyzna, który otworzył jej drzwi, wyglądał na pięćdziesiąt lat. Był niemal łyсы. Gdy zza okularów żywo błysnęły niebieskie oczy, pomyślała, że wianuszek siwych włosów go postarza. Najbardziej zdradzała go jednak wiotczająca szyja widoczna w zagłębieniu kołnierzyka. Zwraçała uwagę na takie szczegóły. Na ogół bezbłędnie rozpoznawała wiek zmarłych mężczyzn, zanim jeszcze spojrzęła w przekazaną wraz z ciałem dokumentację. Z kobietami był większy problem. Niektóre korzystały ze wszystkiego, co miała do zaoferowania nowoczesna medycyna estetyczna, i doskonale oszukiwały czas.

Inne starzały się przedwcześnie, miały upstrzone plamami zaniedbane ciała i braki w uźbieniu. Bieda dodawała lat. Majętne kobiety oszukiwały czas, tak jak zdjęcia, które przekazywali najbliżsi. Najlepsze z najlepszych, upozowane, wyretuszowane. Zdjęcia mężczyzn były naturalniejsze. Często klasyczne, paszportowe od fotografa, nieładne, z ogromną twarzą przypominającą odwłok owada pod lupą.

– Dzień dobry – powtórzył mężczyzna, tym razem niepewnie.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam.

– O co chodzi? – Nie był nieuprzejmy. Był ostrożny.

„Dorosły”, pomyślała Roberta. Nie wiadomo, dlaczego pomyślała o sobie jak o dziecku. Ach, ta Roberta, co też ona znowu wymyśliła? Takie przygody przydarzają się tylko dzieciom.

– Chodzi o kanapę. Czy niedawno wystawił pan może na dwór kanapę? Taką małą. W kwiatki. – Poczwała, że w ciepłym korytarzu zaczyna się pocić. Zdjęła skórzane rękawiczki.

– Tak, wyniosłem tę kanapę. Ale to chyba nie jest niezgodne z prawem.

– Ależ nie. Dobrze pan zrobił. Nigdy nie wiadomo, czy coś, co jest bezużyteczne dla jednej osoby, nie przyda się innej. Tak się właśnie stało w tym przypadku. Wie pan, wzięłam tę kanapę. – Zaczerwieniła się. – Mieszkam po sąsiedzku. Tu niedaleko. Na Malwowej.

Mężczyzna niespokojnie rozejrzał się po korytarzu. Zza drzwi naprzeciwko dobiegły ich stuki i szurania.

– Proszę, niech pani wejdzie.

Mieszkanie było niewielkie i zagracone, ze śladami może nie tyle dawnej świetności, ile przychylniejszej ręki. Drzwi do pomieszczeń zrobiono z solidnego dębowego drewna, a światło sączyło się z sufitu w ładnej kaskadzie szkła. Ktoś najwyraźniej zadał sobie też trud, by starannie dobrać farby. Ściany pomalowano na kontrastowe intensywne barwy, które teraz były już mocno wyblakłe i przybrudzone. Najwyraźniej mężczyzna wprowadzał się lub wyprowadzał, ewentualnie lubił żyć w stanie tymczasowości. Na wszystkich wolnych powierzchniach leżały kartony i duże, czarne worki foliowe, a na niewielkim stoliku, parapetach i fotelach piętrzyły się książki i gazety. W drzwiach dużej otwartej szafy dostrzegła kilka niedbale powieszonych koszul w różnych odcieniach błękitu.

– Napije się pani czegoś? Kawy? Herbaty?

– Ależ nie. Nie będę panu przeszkadzać. A przynajmniej nie bardziej, niż już przeszkadzam.

Uśmiechnął się. Najwyraźniej robił to rzadko, bo uśmiech nie pasował do jego smutnej twarzy. Wręcz nie mieścił się w okolicach wąskich ust. Przypomniła jej się kanapa obok śmietnika. To samo wrażenie kontrastu.

Szybko pożałowała swojej odmowy. Proponowanie czegoś gorącego do picia w tej sytuacji było nie tyle przejawem zwykłej ludzkiej gościnności, ile pewną umową. Uzgodnieniami dotyczącymi tego, czy kawa, czy herbata, z mlekiem czy bez i być może cukier, wypełnią początkową niezręczność, a on zajmie czymś ręce, dając jej chwilę na szybką aklimatyzację w nowej sytuacji. Będzie też wiadomo, że jej wizyta ma określony czas i jest to dokładnie czas wypicia kawy lub herbaty. Kiedy Roberta przełknie ostatni łyk i odstawi pustą filiżankę, oboje będą widzieli, że czas wizyty minął, a brzdęk talerzyka niby dzwonek stanie się sygnałem dla niej, by wstać i się pożegnać.

– Może jednak napiję się kawy, jeśli to nie problem.

Rozpięła płaszcz i usiadła naprzeciwko niego w fotelu w kolorze brudnego beżu w neutralny wzór.

Pomyślała, że tego typu tkaniny obsługa sklepów meblowych lubi określać mianem niebrudzących się. Na podłodze obok zauważyła jaśniejszy ślad. To tu musiała wcześniej stać jej kanapa w kwiatki.

– Znalazłam ją w kanapie. W książce. Pomyślałam, że może chciałby ją pan zatrzymać. – Podała mu oba przedmioty.

Mężczyzna obejrzał książkę i odłożył ją bez słowa na stół. Potem wziął pocztówkę, patrzył przez chwilę na rzeźbę, a potem odwrócił kartkę i bardzo wolno przeczytał tekst.

– Przepraszam. Przeczytałam. Pomyślałam, że ten termin spotkania jest już tak niedługo, a pan może zapomniał. Jeśli to w ogóle pana kartka.

– Nie, nie należy do mnie. Cóż, wprowadziłem się tu niedawno. Jak pani widzi, w zasadzie jeszcze się wprowadzam. Postanowiłem pozbyć się kilku mebli po poprzednich lokatorach.

Zdjął okulary i potarł oczy. Wydał jej się starszy. Zmarli nie potrafili w taki sposób postarzyć się czy odmłodzić w jednej chwili. Siedzieli w przedłużającym się milczeniu. Roberta poczuła jednocześnie radość i rozczarowanie.

– A mogę spytać, od kogo pan kupił to mieszkanie?

Mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem. Chyba nie spodziewał się takiej dociekliwości.

– Hm. To moje mieszkanie. Wcześniej je wynajmowałem.

– A mieszkała tu może jakaś Roberta?

– Dlaczego tak to panią interesuje?

Poczuła się dziwnie, jak jakaś bezczelna dziennikarka. To, co tu robiła, zadawanie pytań obcemu mężczyźnie, rozsiadanie się w jego mieszkaniu i picie jego kawy, wydawało się tak bardzo nie w jej stylu. Być może siostry i matka miały rację. Coś dziwnego się z nią ostatnio działo. Zdjęła gumkę i jeszcze mocniej zacisnęła ją na kitce. Dłonie jej drżały.

– Nie, nie miała na imię Roberta. Jeśli pani tak bardzo zależy, zaraz zajrzę do ostatniej umowy najmu. – Mężczyzna wyjął teczkę z jednej z przykurzonych szafek. – Miała na imię Marianna. Marianna Pilarczyk, więc nie Roberta, ale przecież to nie Roberta była adresatem tej kartki. Zakładamy raczej, że jakiś mężczyzna.

Roberta pokiwała głową.

– A mógłby mi pan podać jej numer telefonu?

– Cóż, nie wiem, czyby sobie życzyła. – Zawahał się. Sytuacja, która najpierw go zaciekała, teraz zaczęła martwić. Nie potrafił podejmować szybkich decyzji. Odłożył jednak teczkę i sięgnął po telefon. – No dobrze. Może dowie się pani od niej czegoś więcej. Choć wcześniej mieszkanie wynajmowali jacyś studenci. Kto wie, może to oni przywieźli tę kanapę od swoich rodziców czy z pchłego targu. Dlaczego ta historia tak panią interesuje?

Roberta uśmiechnęła się przepaszająco.

– Chyba mam za dużo wolnego czasu.

Po twarzy mężczyzny przebiegł kolejny źle wykończony uśmiech i nagle ogarnęły ją wątpliwości, czy powiedział jej prawdę. Jak mawiał doktor House, wszyscy kłamią. Może to jednak on był adresatem pocztówki, kochankiem tej innej Roberty sprzed lat. Może po prostu uznał, że nie ma to z nią nic wspólnego. Nie musiał się nikomu zwierzać.

Rozejrzała się po mieszkaniu, jakby szukała śladów romansu i klęski, do której doprowadził. Było to

bardzo przeciętnie urządzone i zaniedbane przez lata najmu lokum ze sporą liczbą zakurzonych książek. Być może ich samotne czytanie było jego pokutą.

– Zresztą – dodał – adresatem kartki mogła być też kobieta, prawda? Trudno tu cokolwiek odczytać.

– Cóż... być może.

– Wy, kobiety, zawsze wszędzie węcycie romantyczne historie.

Pośpiesznie dopiła kawę i odstawiła filiżankę, by dotrzymać swojej części umowy.

Odwróciła się w progu, niezgrabnie wkładając rękawiczki. Chciała mu powiedzieć, że ona też ma na imię Roberta, dlatego tak ją zaintrygowała ta kartka. Chciała zapytać, czy nie sądzi, że to niezwykle przypadek, że ta kanapa trafiła właśnie do niej. Powiedziała by zapewne, że życie pisze najdziwniejsze scenariusze, i może by się zaśmiali. Nie chciała, by śmiali się w tej sytuacji.

– Proszę uważać na schodach, są dość śliskie.

Myślała, że doda coś jeszcze, ale tylko bezgłośnie zamknął drzwi.

Dzień był szary i krótki. W takie dni matka źle się czuła. Bolały ją kości, narzekała na stawy i była bardziej niż zwykle gderliwa. Jej siwe, przetłuszczone włosy lepiły się do głowy, odsłaniając gdzieś tam nagą czaszkę.

– Znowu utyłaś, dziecko – powiedziała, gdy tylko Roberta wróciła do domu. Zabrzmiało to tak, jakby utyła w ciągu tego jednego dnia.

– Wydaje ci się, mammo.

– Nie wydaje mi się. Utyłaś. Powinnaś schudnąć, wiesz? W telewizji mówili, żeby nie jeść węglowodanów. Może rzeczywiście za często gotujesz makaron.

Roberta naprawdę utyła, ale przecież nie z dnia na dzień. Po śmierci ojca schudła, jednak zaraz po zamieszkaniu z matką jakby porzuciła wszelką nadzieję na samodzielne życie i popadła w stan przypominający otępienie, w którym jedyną radością było jedzenie. Obecnie wydawało jej się, że naga przypomina duże zwierzę. Biust, brzuch i pośladki wylewały się poza pionową linię ciała niczym dmuchane gumowe przyrządy wspomagające naukę pływania.

– Może staniesz na wadze? – Matka nie dawała za wygraną.

– Jeśli to ci sprawi przyjemność, mogę stanąć, nie widzę w tym jednak większego sensu.

– Bardzo bolą mnie dziś stopy. Ten przeklęty marzec. Artretyzm daje się we znaki.

– Wmasować ci maść?

Bolące stopy prosiły się o wmasowanie specjalnej maści, a nikt nie robił tego tak dobrze jak Roberta. Przecież zajmowała się tym w pracy. Masowała nieboszczyków, rozprawdzając po ich ostygłych ciałach specjalne płyny. Mogła też przy okazji przyciąć paznokcie.

Roberta spojrzała na stopy matki, pokryte gęstą siatką żył stopy starej kobiety. Nie różniły się bardzo od stóp, którymi zajmowała się na co dzień. W sztucznym świetle lampy wydawały się sinoblade, jakby nie było już w nich ani kropli krwi.

Kiedy położyła stopę matki na swoich kolanach i poczuła, jak ciepło wlewa się w jej ręce, a matka zastyga z głową opartą o poduszkę i spokojnie oddycha, już nic nie mówiąc, poddając się jej profesjonalnym i pewnym ruchom, nie bez czułości doszło między nimi do cichego pojednania.

– Chcesz posłuchać płyt, mammo? Włączyć coś?

W kącie pokoju na niskim stoliku stał stary gramofon ojca. Podłączony do wzmacniacza wypluwał przez głośniki dźwięk, który spotkałby się z pogardliwym prychnięciem prawdziwego audiofila, ale one go lubiły. Nad gramofonem wisiała półka na płyty, którą ojciec sam zbił z desek i okleił. Pamiętała, jak pracował nad nią skupiony, a gdy coś mu nie wychodziło, nie klął, tylko cmokał jak na psa. Ojciec nigdy nie klął, co wcale nie znaczyło, że nigdy się nie denerwował. Był zdyscyplinowany wewnętrznie w sposób, o którym obecnie nikt już chyba nie pamięta. Na pewne zachowania zwyczajnie sobie nie pozwalał.

Wśród ciasno zbitych w szeregu krążków stały ulubione płyty ojca i matki. Uwielbiali stare amerykańskie szlagiery, które kupowali na winylach za niemałe pieniądze od znajomej żony marynarza. Później szukali ich na pchlich targach. Większość przedmiotów w domu ojciec zrobił sam lub wyszperali je z matką na jakiejś giełdzie staroci. Rodzice kochali przedmioty, które miały jakąś historię, i za nic w świecie nie zrobiliby zakupów w Ikea.

Matka chyba przysnęła. Roberta przejechała palcem po zakurzonych okładkach. Ella Fitzgerald, Billie Holiday, Bob Crosby, Frank Sinatra, Duke Ellington, ulubione płyty rodziców. Między nimi jej płyty, zdobywane w podobny sposób, bo po rodzicach odziedziczyła miłość do targów staroci. Leonard Cohen, Marillion, błękitna okładka płyty Brothers in Arms, Republika w charakterystyczne czarne i białe pasy. Oprócz tego sporo płyt z muzyką klasyczną. Od pewnego czasu Roberta nie lubiła słuchać muzyki z tekstem. Tekst przeszkadzał jej w słuchaniu. Tak jak muzyka przeszkadzała w czytaniu.

– Włącz Ellę – poprosiła matka. Może dopiero teraz obudziła się z krótkiej drzemki, a może tak długo zastanawiała się nad wyborem. Ostatnio najprostsze decyzje zajmowały jej bardzo dużo czasu. Może dlatego, że czas był towarem, którego miała w nadmiarze, a który jednocześnie szybko się psuł. Trochę tak, jakby przez lata zgromadziła ogromną liczbę jajek. Wiedziała, że musi się ich pozbyć, zanim się zepsują i zaczną śmierdzieć. Na każdą decyzję przypadał karton jaj. Na każdą trudną decyzję kilka - kartonów.

\* \* \*

Tak naprawdę Roberta nie myślała, że kiedyś trzeba będzie się zaopiekować matką, która zawsze sprawiała wrażenie silnej, samowystarczalnej i nieustannie kierowała uwagę wszystkich na ojca. Było wiadomo, że matka zawsze i wszędzie sobie poradzi. To ojciec miał różne dolegliwości, chodził do lekarzy i słuchał ich często przeciwstawnych zaleceń. Brał leki wyszczególnione na długich receptach, które matka wykupywała dla niego w aptece, i przekazywał jej równie długie listy zakupów w sklepie ze zdrową żywnością. Chodził na naświetlania lampą i kąpiele borowinowe. Matka lubiła się nim opiekować, może czuła się przez to bezpieczniejsza. Jakby opieka nad nim miała być tym nadrzędnym celem, którego brakowało jej na emeryturze. Dopóki zdrowie ojca było pod kontrolą, cała reszta musiała się jakoś układać. Czuła się za nie osobiście odpowiedzialna.

Kiedy dostała udaru, ojciec przestraszył się nie na żarty. Zadzwoił do Roberty i powiedział, że z mamą coś jest nie tak. Że mówi jakby w innym języku, niezrozumiałym dla niego, i wpada na meble.

– Musisz natychmiast przyjechać. Zachowuje się bardzo dziwnie. Bełkocze. Jakby była, no wiesz, pijana.

– Tato, wezwałś pogotowie?

– Jakie pogotowie? Nie wiem, czy tu trzeba pogotowia. Pytam ją, ona nic nie rozumie i chodzi tylko, zamiast siedzieć, i wpada na wszystko jak ślepa mysz, jakby źle oceniała odległość. Wydaje mi się, że jest po prostu pijana w sztok. Kazałem jej się położyć, ale mnie nie słucha.

– Przecież mama nie pije. Zaraz będę.

W drodze do domu rodziców wezwała pogotowie, potem powiadomiła siostry. Kiedy dotarła na miejsce, karetka właśnie zabierała matkę. Ojciec wchodził do środka w domowych klapkach i koszuli. Gdyby mama nie była podłączona do aparatury i nieprzytomna, z pewnością kazałaby mu wrócić do domu i włożyć ciepłą kurtkę i buty. Wspomniałaby też, że już dawno mu mówiła, że potrzebuje nowych kłapek, bo te są przetarte i brudnawe. Taki wstyd.

– A jej torebka? – zapytał ojciec Robertę, zanim karetka odjechała.

– O nic się nie martw, tato. Zaraz przyjadę do szpitala i wszystko przywiozę. Bądź po prostu przy mamie, poczuje się bezpieczniej.

Później prześladowało ją spojrzenie ojca. Popatrzył na nią jak małe dziecko zagubione w tłumie.

\* \* \*

Uśmiechnęła się na widok mężczyzny i jego zielonej czapki. Wydawało jej się, że czeka specjalnie na nią. Wróble odleciały. Obok siedział kot. Mały i szary, o zbójckim spojrzeniu żółtawych oczu.

– Jak tam twój sobowtór?

– Sobowtór? Nie sądzę. Myślę, że nie łączy nas nic poza imieniem.

– Udało się coś ustalić?

– Niewiele. Ktoś niedawno się tam wprowadził. Właściciel. Kobieta, która wcześniej wynajmowała mieszkanie, też nie potrafi nic powiedzieć. Odziedziczyła kanapę po jakichś studentach, którzy mieszkali tam wcześniej. Ślad się urywa.

– Chyba że ktoś kłamie. Właściciel mieszkania? Ta kobieta? Wiesz, co mówi doktor House...

– Wszyscy kłamią – powiedzieli jednocześnie i się roześmiali.

– Chyba że tak.

– Szkoda.

– Szkoda. Chciałam... Właściwie nie wiem, czego chciałam. Chciałam ją poznać. Nadal bym chciała. Choć nie mam pojęcia, co bym jej powiedziała. To samo imię to trochę mało, by się z kimś bratać. Wyobrażasz to sobie?

– Dlaczego nie? Potrafię sobie wyobrazić wiele rzeczy.

– A wyobrażasz sobie spotkanie z innym Wojtkiem tylko dlatego, że macie tak samo na imię?

– Dlaczego nie? Jeśli miałbym na to ochotę. Życie jest takie krótkie. Właśnie zastanawiam się, czy nie nazwać tego kota.

– To twój kot? – Roberta odstawiła rower i usiadła na ławce, płosząc zwierzątko.

– Gdzie tam. W żadnym wypadku, co nie znaczy, że nie mógłbym go nazwać. No wiesz, gdybym tylko miał na to ochotę. Gdybym miał ochotę, nadałbym imię każdemu bezpańskiemu kotu.

– Twoja książka, momencik. – Zaczęła szperać w torbie.

– Nie lubisz kotów?

– Dlaczego?

– Nie próbowałaś go pogłaskać ani przywołać.

– Koty bardzo lubią, gdy nie zwraca się na nie uwagi. Nie wiedziałeś o tym?

Kot podszedł do ławki i wskoczył jej na kolana. Nadal łytał zbójeckim spojrzeniem. Tym razem na mężczyznę. Wyglądał troszkę jak mała szara sówka.

– Niebawale. Siedziałem tu z nim dobry kwadrans, zna mnie, przychodzę tu codziennie o tej porze i nawet nie zdecydował się usiąść bliżej. Drugi koniec ławki to dotychczas mój najlepszy wynik.

Ostrożnie strzepnęła z siebie kota i podała mężczyźnie wydobytą z czeluści torby książkę.

– Podobała ci się?

– Oczywiście.

Wyjął z plecaka termos i kubek.

– Napijesz się kawy? Chłodno dziś.

– Niemożliwe, tobie jest chłodno? – Roześmiała się.

Gdy przystała na kawę, poczuła się dziwnie. Znowu to uczucie: a co, jeśli ktoś ją zobaczy? Sąsiedzi, siostry, matka. Takie ekscentryczne zachowanie przecież do niej nie pasowało. Picie kawy z termosu na osiedlowej ławce, jakby byli na jakimś pikniku. Rozejrzała się niespokojnie. Postawiła kołnierz - płaszcz.

– Musisz sądzić, że niezły ze mnie dziwak.

– Dziękuję. – Wzięła do ręki kubek i powąchała.

Mężczyzna lekko podmuchał w swój, a zanim upił pierwszy łyk, nieco wywinął wargi. Wyglądał dość zabawnie.

– Myślę, że mimo wszystko możesz ją poznać. Wystarczy pojawić się przy rzeźbie 5 maja o dwunastej.

– Miałabym polecieć do Paryża?

– No. Inaczej się chyba nie da. Jeśli się nie pojawi, przynajmniej zwiedzisz Muzeum Rodina, zobaczysz rzeźby. Warto.

Ta myśl wydała się Robercie niedorzeczna. Jak mogłaby wszystko zostawić: pracę, matkę? Kto zrobi pranie tak, jak ona lubi, z dodatkiem specjalnego zmiękczacza do tkanin, koniecznie płynu K Polleny? Kto przygotuje jej posiłki, wydzieli lekarstwa i dopilnuje, by je wzięła? Kto raz w tygodniu przygotuje jej kąpiel, pomoże wejść do wanny i z niej wyjść, miękką gąbką wyszoruje plecy? Kto zajmie się masowaniem artretycznych stawów, kto zrobi zakupy? Siostry nie miały przecież o tym wszystkim pojęcia, a obcej osoby matka nigdy nie nauczyłaby się tolerować. Nawet dzielenie domu z Robertą było dla niej bardzo trudne. Roberta czasem czuła, że drażni matkę. Matka chyba uważała, że najmłodsza córka jest jej najbardziej nieudanym dzieckiem, które nie potrafiło sobie poradzić w życiu.

Już nawet nie chciała myśleć o Hadesie. Szef z pewnością sobie bez niej nie poradzi, a ludzie przecież nie przestaną umierać. Niby potrwaloby to tylko kilka dni, najwyżej tydzień, musiałyby sprawdzić loty. Niemniej plan wydawał się szalony.

– Dziękuję za kawę. I za książkę.

Kiedy ruszyła do domu, kot podążył za nią przez chwilę, schowany za samochodami, jakby ją tropił. Później patrzył za nią z lekko przekrzywioną głową, wreszcie wrócił do ławki. Mężczyzny już na niej nie było. Spakował plecak i odszedł. Kot czuł jeszcze w powietrzu zapach kawy, zapach mężczyzny i zapach kobiety. Mocne zapachy. Nietrudno je było rozpoznać, nie mieszały się ze sobą. Unosiły się ku niebu jak

baloniki. Podniósł głowę i ponownie pociągnął nosem. Ten zapach był ciekawszy, delikatny i ulotny, wpływał w nozdrza i z nich wypływał, z każdym oddechem nabierając dodatkowych nut. Zapach pierwszej kwietniowej nocy.

Jeszcze zanim zadzwonił budzik, obudził ją inny, dziwny dźwięk. Jakby ktoś ciągnął coś ciężkiego po piasku. Matka przycupnęła w nogach jej łóżka i rytmicznym ruchem wygładzała kołdrę.

– Mamo? Co tu robisz?

– Wreszcie się obudziłaś. Za oknem w kuchni siedzi jakiś kot. Pukałam w szybę i wołałam na niego „sio”, ale nie chce sobie pójść. Wygląda na bezpańskiego, na pewno ma jakieś zarazki.

Matka nie tyle nie lubiła zwierząt, ile nie zwracała na nie uwagi. Hodowanie zwierzęcia dla rozrywki wydawało jej się dziwnym pomysłem, zgoła cyrkowym. W cyrku była raz. Urodziła się w samym środku wojny, która niemal nie dotarła do małej łomżyńskiej wsi, w której mieszkała z rodzicami. Babcia podobno przeżyła wojnę bez żadnych heroicznych czynów. Dziadka Niemcy kiedyś szukali, ale niezbyt natarczywie, w dodatku szukali go tylko dlatego, że pędził bimber (schowany w tej samej piwniczce co dziadek). Zwierzęta trzymane w obejściu w określonym celu. Miały bronić, ostrzegać, zjadać myszy lub dać się zjeść. Szczególnie w czasie wojny, kiedy jedzenia było niewiele i należało dodatkowo dzielić się nim z okupantem, nikt nie dokarmił ptaszków ani kotów. Matka nigdy nie chciała się zgodzić na kotka czy pieska, gdy błagały ją o to razem i oddzielnie wszystkie córki, a w ostatnich latach nabrała jeszcze silnego przekonania, że zwierzęta wyłącznie sieją zarazę.

Teraz, gdy Roberta wreszcie otworzyła oczy, matka rozsiadła się wygodniej na jej łóżku. W długiej koszuli nocnej z miękkiej różowej flaneli i puchatym szlafroku, który dostała na Boże Narodzenie od Anny lub Iwony, wyglądała niemal jak dziewczynka. Była taka drobna. Jej twarz pod niewielką siwą grzywką wydawała się lekko zaróżowiona i Roberta pomyślała z przerażeniem, że może mieć gorączkę, a to oznaczałoby konieczność wizyty w przychodni, czego matka bardzo nie lubiła. Zatrudnionych tam lekarzy uważała za niedouczonego i przemądrzałego młodzieź, której nigdy nie zaufa.

Roberta podniosła się lekko i dotknęła czoła matki. Było ciepłe, ale nie gorące, śliskie od kremu na noc, którego grubszą warstwę matka zostawiała na twarzy jak maseczkę i który sprawiał, że wieczorami jej twarz zdawała się kredowobiała. Może ten gest, a może ich fizyczna bliskość tu, na ciepłym łóżku, w którym Roberta nadal na wpeł leżała w męskiej piżamie, a pod nią przy każdym ruchu przelewały się jej nieskrępowane stanikiem piersi, sprawiły, że poczuła się nieswojo. Szybko wstała i owinęła się sfatygowanym szlafrokiem, który również dostała od jednej z sióstr, tylko dobrych kilkanaście Bożych Narodzeń wstecz.

– Myślisz, że nie wiedziałabym, że mam gorączkę? Tak stara jeszcze nie jestem. Nie mam żadnej gorączki, a jeśli nawet bym miała, to na pewno przez tego kota.

Kot siedział na kuchennym parapecie i próbował zajrzeć do środka, przytykając trójkątny pyszczek do szyby. Gdy tylko je dostrzegł, a może usłyszał, jego mała głowa zaczęła się poruszać w dół i w górę jeszcze bardziej gorączkowo. Roberta go rozpoznała. Ten sam szary zwierzak towarzyszył wczoraj jej i Wojtkowi w picu kawy. Wyglądało na to, że śledził ją aż do samego domu. „Koci prześladowca”, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie i matki, która nadal marszczyła brwi.

– Mamo, to przecież tylko mały kociak. Nic nam nie zrobi. Posiedzi sobie i pójdzie.



– Na pewno wyczuł tu tę kanapę. Jesteś pewna, że kärcher wyczyścił ją ze wszystkich zarazków?

– Jestem pewna.

– Co robisz?

– Wyniosę mu trochę mleka na spodku. Musi być bardzo głodny. Popatrz tylko na niego: skóra i kości.

– No, moja droga, jak zaczniesz go tu dokarmiać, to na pewno nigdzie sobie nie pójdzie. Nie odczepi się już od nas.

– A czy to naprawdę byłoby takie złe?

– Ja... Mam uczulenie na kocią sierść. Jestem tego pewna. – Zaczęła niezbyt przekonująco pociągać nosem, choć kot pozostawał oddzielony od nich podwójną szybą. – Przez tego kota spóźnisz się do pracy. – Głos matki przybrał niemal płaczący ton, ale Roberta mimo to wyszła na taras i postawiła na parapecie spodek z mlekiem. – Zimno jest. Przeciąg robisz. Ubierz się chociaż. – Obserwowała Robertę i kota przez okno, nerwowo szurając stopami.

Kociak nie uciekł. Podszedł niepewnie do spodka, stawiając drobne kroki, w ślad za swoim lśniącym brązowym nosem dyktującym mu każdy z nich. Łapczywie wychłeptał mleko, a później stąpał jeszcze delikatnie, wachając pusty spodek i miejsca tuż obok, gdzie mogły spaść pojedyncze krople. Wreszcie przysiadł i zaczął lizać zmierzwiłone futro na brzuchu, zakładając tylne łapy niemal na uszy, jakby nie miał w swoim chudym ciele ani jednej kości. Obecność Roberty najwyraźniej go nie peszyła. Od czasu do czasu przestawał się wgryzać w swoje bure futerko i zastygał z oczami wbitymi w jeden punkt jak jogin. Strzygł uszami, które obracały się jak dwie anteny za świergotem ptaków. W słońcu wewnątrz tych uszu prześwitywało na liliowo, jakby były pokryte różowym, a nie szarym futrem. Roberta wyciągnęła ku niemu rękę. Podszedł i delikatnie obwąchał koniuszki jej palców, a potem zeskoczył z parapetu i pobiegł z wysoko podniesionym ogonem.

Z premedytacją zostawiła pusty spodek na parapecie.

*Rower*

Roberta kupiła nowy rower zaraz po powrocie do domu rodziców. Zapłaciła za niego ponad dwa tysiące złotych, co zdawało się majątkiem za zwykły rower, ale szybko doszła do wniosku, że wcale nie jest zwykły. Dopóki na niego nie wsiadła, mówiła, że rower to rower, ma mieć dwa koła i jechać, ale później już za nic w świecie nie chciała z niego zejść. Przesiąść się na ten nowy rower ze starego supermarketowego było jak przesiąść się z malucha do toyoty. Zdawało się, że sam jedzie. Był szybki, miał przerzutki pomagające jej pokonać każdy rodzaj wzniesienia, opony dające sobie radę i na leśnych wertepach, i na jezdni, i błotniki, dzięki którym nie wracała do domu ochlapana błotem. Poza tym był lekki, więc bez problemu mogła go wnieść po schodach czy rozpędzić. Był zielony. Zawsze lubiła ten kolor. Wsiadała na niego i wydawało jej się, że znika. Kiedy szła, miała wrażenie, że ludzie jej się przyglądają. Patrzą na jej okrągłą twarz, niezgrabne ciało, zbyt duże stopy. Kiedy przemykała rowerem, jej pochylona sylwetka migiała im tylko w przelocie.

Dzień był wprost idealny na jazdę rowerem. Poranne kwietniowe powietrze było jeszcze chłodne od nocy. Ziemia nie do końca rozdzielona z niebem, słońce wychylające się z potarganych różowych koronek mgły. Roberta po raz kolejny zapewniła matkę, że kot nie wróci, a jeśli nawet, to nie przyniesie na kuchenne okno żadnych zarazków ani pasożytów. Było jej ciepło w polarze i wiosennym płaszczu. Na szyi zawiązała swój ulubiony zielony szalik i wskoczyła na rower.

Do Hadesu dojechała w kilka minut, nie było jeszcze dziesiątej. Chwilę stała pod drzwiami niezdecydowana, nie schodząc z roweru, trzymając jedną stopę na chodniku, drugą na pedale, macając twarde kształt kluczy w zapiętej na zamek kieszeni. W końcu pojechała dalej. Pomyślała, że okrąży osiedle i wróci w sam raz na dziesiątą, może nawet na kwadrans po. Przecież nic się nie stanie, jeśli raz w życiu nie otworzy zakładu punkt dziesiąta. Minęła Hades i pusty o tej porze cmentarz i pojechała dalej. Na niewielkim rondzie nie skręciła tak, by okrążyć osiedle, lecz skierowała się w prawo, wjeżdżając na asfaltową drogę, która prowadziła do lasu, a dalej nad Maltę. Przez chwilę jechała beztrosko, jakby to był dzień wolny od pracy, a ona po prostu wybrała się na przejażdżkę. Nie męczyło jej żadne poczucie odpowiedzialności. Ani jednej myśli o obowiązkach. Dopiero przy wjeździe do lasu dotarło do niej, co robi, i pomyślała, że powinna już wracać i otworzyć zakład.

Wyobraziła sobie, jak opiera rower na nóżce, wyjmując z kieszeni pęk kluczy i otwiera po kolei trzy kłódki i zamek, a później wprowadza rower do środka i przenosi go do niewielkiego pomieszczenia socjalnego, ostrożnie, tak by niczego nie zapiaszczyć. Potem, już w białych butach na grubej podeszwie, włącza ekspres do kawy. Wchodzi do chłodni, w której czeka na nią kolejna niespodziewana śmierć, i przewozi ciało na wózku do pomieszczenia, gdzie przygotowuje je do tej śmierci, podważając chronologię wydarzeń. Dla większego spokoju i komfortu tych, którzy pozostali.

Grzegorza zapewne też przywieźli w takie miejsce. Grzegorza, o którym opowiedziałyby, gdyby ktoś ją zapytał. Ciało znaleziono dopiero po dwóch dniach, po starannym przeczesaniu dna Jeziora Kierskiego – tak napisano w gazetach. Był ciepły maj, zbliżał się termin letniej sesji i egzaminu z biochemii, do którego wkuwała po nocach. Matce powiedział, że idzie biegać, ale jej wysłał list. Jak zawsze chciał, by

była poinformowana lepiej od innych. Napisał jej, że słucha muzyki Ennia Morriconego, ścieżki do Ostatniego Mohikanina. Słucha i od razu robi mu się pod palcami szerzej i dalej, tak że ginie horyzont listu, jakby ten list miał się nigdy nie skończyć. Wtedy ta niespodziewana śmierć wydała jej się zuchwała i romantyczna. Wyobrażała sobie, że musiał się poruszać w czymś w rodzaju podwodnego tańca z glonami i sinicami, podczas gdy instynkt przetrwania i pragnienie śmierci rozdzierały jego ciało na pół, lecz dla każdej połowy było za późno pod wielotonowym ciężarem wody, która zdążyła go już wchłonąć, wdrzeć się w płuca. Bezwładnie opadał na dno ku jeszcze cięższej zimnej wodzie. Teraz już dokładnie wiedziała, jak to wyglądało, że nie było w tym ani szczypty romantyzmu. Zdarzały im się w Hadesie pochówki topielców i czytała zwięzłe raporty medyków sądowych. Wznowienie oddechu i odruchowe połykanie wody... Czy w tym momencie nadal chciał zginąć? Czy działająca jeszcze przez chwilę świadomość wysyłała ciału desperackie i nieme komunikaty o zmianie stanowiska, podczas gdy pił zimną wodę aż do całkowitego wypełnienia żołądka i wymiotów, podczas gdy nadmiar płynu w ciągu sekund wypełnił jego płuca i drogi oddechowe, rozrzedził krew? Później niedotlenienie, miłosierna utrata świadomości, niebyt. Koniec tańca, początek bezwładności. Zamartwica i odcięte od tlenu serce, serce niezdolne do pompowania krwi, wreszcie skurcze i drgawki toniczne. Niebieski sportowy but w czarne paski, który spadł z szamoczącej się mocniej lewej stopy; a może lewe sznurowadło zawiązał słabiej. Kupili te najki razem. A później tonął w całkowitej ciszy, w sposób tak oderwany od życia, które było wcześniej, a jednak przedziwnie je podsumowujący, niczym ostatni wers haiku.

Ta myśl napełniła ją przerażeniem. Zaczęła pedałowac jeszcze szybciej. Byle szybciej i byle przed siebie. Wjechała w las ciągnący się na obrzeżach Nowego Zoo. Czy ktokolwiek poza nią wiedział, że Ostatni Mohikanin był jego ulubionym filmem, a Daniel Day--Lewis ulubionym aktorem? Czy pisząc ten okropnie sentymentalny list, miał nadzieję, że ona kogoś o tym poinformuje? Być może, gdyby wydarzyło się to teraz, przygotowałyby muzykę z Ostatniego Mohikanina na jego pogrzeb. Wtedy jednak podczas przejścia konduktu słuchano Marsza pogrzebowego Chopina, a Roberta nie tylko nie miała żadnego wpływu na przebieg uroczystości, ale wręcz starała się wmieszać w tłum, tak by nie zauważyła jej matka chłopaka, która czuła do niej wyłącznie nienawiść. Nienawidziła jej choćby za to, że Roberta pokazała list Grzegorza policji, nie pozwalając nikomu się łudzić, że był to nieszczęśliwy wypadek. Fakt, że nie znaleziono przy nim żadnych obciążników, początkowo świadczył właśnie o tym. Jakkolwiek było to dziwne, przypuszczano, że być może zemdlał i spadł z pomostu. A może wiedziony jakimś głupim młodzieńczym kaprysem wskoczył do majowego jeziora, by popływać w ubraniu, i złapał go skurcz. Kiedy przeczytano jego list pożegnalny i dla wszystkich stało się jasne, że Grzegorz popełnił samobójstwo, to, że niczym się nie obciążył, zdawało się okrutne. Bolało to, że jego pragnienie śmierci było silniejsze od instynktu życia.

Później Roberta nieraz zastanawiała się, dlaczego wybrał taki właśnie rodzaj śmierci. W końcu uznała, że to oczywiste. „Niech nikt mnie nie szuka”, tak brzmiała jego prośba. Nie chciał, by ktokolwiek odnalazł jego ciało. Byliby to matka lub ojciec, gdyby strzelił sobie w głowę lub otruł się we własnym domu, przypadkowi przechodnie, może nawet dzieci, gdyby zrobił to gdzieś w parku czy w lesie. Wydawało mu się, że wchodząc do jeziora o tej porze roku, po cichu, z determinacją Martina Edena, po prostu zniknie, a ostatecznie zjedzą go ryby. Pogrzeb jest dla rodziny łatwiejszy, gdy nie ma ciała.

Prawym brzegiem Malty dotarła do ronda Śródka, gdzie wreszcie się zatrzymała, tylko trochę zdyszana, i zdjęła szalik. Mgła opadała i niebo stawało się coraz bardziej błękitne, różowawe na krańcach. Wyjęła z plecaka komórkę i wybrała numer szefa. Nie odbierał. Wysłała mu krótką wiadomość, w której przeproszała za to, że nie pojawi się dziś w pracy, ale niestety się rozchorowała. Wskoczyła z powrotem na rower i przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad kolejnym krokiem. Z ronda Śródka łatwo było dojechać na Sołacz. Nie jechała jezdnią, nie miała kasku, a nieustający ciąg samochodów był deprymujący. Nie zamierzała się w niego płynnie wkomponować, byłaby zawalidrogą, która sama prosi się o wypadek. Całe szczęście chodniki były szerokie i wyludnione. Nikt nie wlepił jej mandatu, bo straż miejska miała inne sprawy na głowie. Z ciekawością zerknęła na nielicznych mijanych przechodniów, którzy być może także byli na wagarach. Czasem mijali ją inni rowerzyści, profesjonalni, w specjalnych aerodynamicznych strojach, w których przypominali samonaprowadzające pociski. Słyszała tylko ostrzegawcze sygnały dzwonek i świsty powietrza.

Zatrzymała się w parku Sołackim i spojrzała na zegarek. Dotarcie tu z okolic ulicy Warszawskiej zajęło jej ponad godzinę. Choć prawie codziennie jeździła rowerem do pracy, były to niewielkie odległości, a ona miała nadwagę i nie była w najlepszej kondycji, szczególnie teraz, po długiej zimie. Czula przejechany dystans w nogach, a jeszcze bardziej w płucach. Płaszcz zachodził na pośladki i zahaczał o siodełko; jednocześnie pociła się w nim i marzła. Pomyślała, że przydałaby jej się jakaś rozsądna rowerowa odzież. Żadne tam obcisłe ciuszki, ale wygodna krótka kurtka, która chroniłaby ją przed wiatrem i deszczem, ale w której nie będzie się czuła jak po wejściu do sauny.

Zajechała do kawiarni Francuski Łącznik, w której nigdy wcześniej nie była, i zamówiła kawę i tartę ze szpinakiem. Rower ustawiła w specjalnym stojaku, szamocząc się z nim nieporadnie, i usiadła przy stoliku na zewnątrz. Słońce grzało coraz mocniej, więc rozpięła płaszcz i rozejrzała się z ciekawością po innych stolikach, przy których nie brakowało klientów. Zastanawiała się, kto może sobie tak beztrudnie popijać kawę w środku tygodnia przed południem.

Tylko dwie kobiety pochłonięte rozmową przy stoliku wewnątrz kawiarni wyglądały na starsze, być może w wieku jej matki. Pozostali byli pewnie jej rówieśnikami lub młodszy. Zaraz obok siedziało dwóch mężczyzn, którzy również przyjechali rowerami i z hałasem i sporymi ceregielami, polegającymi na wypinaniu i przypinaniu różnego rodzaju uprząży, wtoczyli swoje pojazdy w pozostałe na stojaku dwa wolne miejsca, głaszcząc siodełka, jakby to były zady ukochanych klaczy.

Roberta jadła tartę, która okazała się bardzo smaczna, popijała kawę i obserwowała ludzi. Głosy dochodziły do niej cichym szmerem, zmieszane ze śpiewem ptaków. Dwaj rowerzyści wyglądali na ludzi wykonujących wolne zawody. Ich oczy pozostawały rozbiegane, a ręce raz po raz sięgały po telefony komórkowe. Pewnie w ten sposób utrzymywali atmosferę nerwowości i stresu, która pomagała im się pozbyć poczucia winy, kiedy robili sobie wolne.

Dalej siedziały dwie młode kobiety. Jedna z nich miała na sobie sztuczne futerko w panterkę, niemal wieczorowy makijaż, spiczaste tipsy i obcisłe spodnie. Wyglądała na właścicielkę butik lub salonu kosmetycznego. Mogła być też po prostu żoną bogatego faceta. Jej towarzyszka natomiast wyglądała na kobietę, która zostawiła w domu małe dziecko, być może pod nadzorem matki, teściowej lub opiekunki. Zdradzał ją nadmiernie wymuskany strój, jakby żyła tym wyjściem na kawę od kilku tygodni, a także wyczulenie na każdy krzyk dziecka w promieniu kilometra. Nieruchomiała wtedy, a jej twarz tężała, jakby

przypomniała sobie o czymś przykrym, o czym chciała zapomnieć. Ona też od czasu do czasu spoglądała na położony przed sobą telefon. Kobieta w futerku zdawała się bardziej spokojna. Mało gestykulowała. Długie nogi ułożyła zgrabnie bokiem i zapaliła papierosa. Roberta mimowolnie zakaszłała i zwróciła twarz jeszcze bardziej w stronę słońca. Ludzie siedzący przy stolikach z pewnością też przyglądali się Robercie. Ciekawe, do jakiej grupy została zaliczona. Czy komukolwiek przyszło do głowy, że ma przed sobą wizazystkę nieboszczyków? W takim razie jak bardzo ona mogła się mylić?

Przypomniała sobie o telefonie. Trzy nieodebrane połączenia: jedno od szefa, dwa od Marzenki. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, ale nie chciała, by szukali jej w domu i niepotrzebnie martwili matkę. Wyjaśniła krótko zbolalym nosowym głosem, że chyba ma gripę żołądkową, po czym włożyła telefon z powrotem do plecaka.

Nigdy nie potrafiła kłamać, nawet nie próbowała, więc to małe kłamstwo niespodziewanie ją ucieszyło, jakby odkryła w sobie nowy talent. Przez chwilę czuła ucisk w żołądku, jakby rzeczywiście miało jej się zrobić niedobrze. Może kłamstwo polegało właśnie na tym, by przekonać samego siebie i uwierzyć, że opowiadana innym historia naprawdę się zdarzyła.

Wygrzewała się jak kot w wiosennym słońcu, filtrowanym przez gałęzie wysokich sołackich drzew. Wyjęła z plecaka pocztówkę Roberta i jeszcze raz przeczytała krótki tekst, choć znała go już na pamięć. Zapadła w krótką drzemkę, podczas której rzeźba ożyła. Mężczyzna wyglądał jak Grzegorz, miał na sobie strój do biegania i sportowe buty w paski. W tym właśnie stroju szedł w objęcia starej kobiety, której twarzy nie widziała, bo była osłonięta czarną peleryną. Ona sama klęczała na miejscu młodej kobiety. W tej bardzo niewygodnej pozycji czuła każdy kamyk pod kolanami. Ocknęła się i znów dumiała, z kim tajemnicza Roberta chciała się spotkać w Muzeum Rodina za dwadzieścia lat.

Kiedy kelnerka podeszła, by zabrać już pusty talerz i filiżankę, Roberta wstała i zaczęła się ubierać, starając się nie zrobić wokół siebie wiele hałasu. Miała zamiar jeszcze trochę pojeździć i czuła, że najwyższy czas ruszyć w drogę, jeśli ma wrócić do domu około siedemnastej, jak gdyby nigdy nic. Matka nie musiała przecież wiedzieć o tej ucieczce.

\* \* \*

Z Sołacza dość szybko dojechała nad Rusałkę, nad którą postanowiła się już nie zatrzymywać. Od razu wjechała na leśną ścieżkę, która wiła się wzdłuż linii brzegowej jeziora. Nie miała pojęcia, dokąd dotrze, ale próbowała mniej więcej zapamiętać trasę, tak by wrócić tą samą drogą. Jeśliby się zgubiła, zawsze mogła zapytać o drogę kogoś z biegaczy, wędkarzy i kobiet wyprowadzających na spacer dzieci i psy, przynajmniej na tym odcinku.

Słońce ledwo dotykało powierzchni jeziora i Roberta niemal czuła, jak zimna jest woda i jak wielki musi stawiać opór. Jej zaczerwienioną twarz owiewał chłodny wiatr, a rytmiczne naciskanie pedałów i napinanie mięśni ud wprawiało w przyjemny bezrefleksyjny stan. Nie myślała o niczym poza kolejnym przejechanym metrem, skupiała się wyłącznie na swoim ciele i czuła, że każdy ruch nóg, każde pchnięcie pedałów oddala ją od domu. Nie była to wcale myśl niemiła. Kiedy dojechała do Strzeszynka, poczuła się głodna, więc postanowiła coś zjeść w barze nad jeziorem, który całe szczęście był otwarty także poza sezonem. Spojrzała na mapę okolicy powieszoną na ścianie. Jeśli będzie nadal jechała prosto tą drogą, powinna dotrzeć do Kiekrza. Wydało jej się więc naturalne, by pojechać w kierunku Jeziora Kierskiego.

Jeżeli ma wrócić do domu o zwykłej porze, w Kiekrzu powinna zawrócić. Wtedy zdąży zrobić zakupy i podgrzać matce obiad, który ugotowała wczoraj.

Kobieta, która wydała jej miskę podgrzanych w mikrofalówce pierogów ruskich, nie przestając jednocześnie prowadzić ożywionej rozmowy przez komórkę, obrzuciła ją obojętnym wzrokiem. Przez tego typu jadłodajnie przewijało się wiele osób. Nie funkcjonowało tam pojęcie obcego, bo wszyscy byli jednakowo obcy. Nikt też nie miał potrzeby rozmowy, chyba że przez telefon ze znajomą osobą. Zdawało się, że ludzi nie interesowali inni ludzie, o ile nie byli z kręgu wytyczonego telefonem. Jakby w pewnym momencie wyczerpali kontyngent na zawieranie nowych znajomości.

Roberta weszła na chwilę do toalety, która mogła być ostatnią przyzwoitą na tym odcinku trasy, umyła ręce i twarz, odgarnęła spocone włosy. Sama sobie wydała się w lustrze obca. Nie wyglądała na przestraszoną, raczej zmęczoną. Kwietniowe słońce podkreślało bladość jej twarzy. Uśmiechnęła się do siebie, by przełamać tę obcość, i zawstydziła się, przyłapaną przez sprzątaczkę, która szybko wyczyściła kabinę i usadowiła się na krześle za drzwiami, przy tabliczce z napisem: „Opłata: 2 zł. Dla klientów lokalu nieodpłatnie”.

Zatrudnienie sprzątaczkę w tym miejscu poza sezonem wydawało się dziwne. W prostokątnym opakowaniu po margarynie na samym dnie błyszczało tylko kilka monet. Gdy Roberta ją mijała, kobieta kartkowała cienkie pisemko, śliniąc palec wskazujący prawej ręki. Na chwilę zatrzymała wzrok na przechodzącej, jakby miała zamiar ją o coś zapytać, ale zaraz wróciła do wertowania gazety. Założyła nogę na nogę i prawym kłapką uderzała miarowo o piętę, przytrzymując go palcami stopy. Roberta zastanawiała się, w jaki sposób kobieta odróżnia klientów baru od osób z zewnątrz, które weszły tu tylko po to, by skorzystać z toalety. Czy ma sekretny otwór w ścianie, przez który obserwuje salę? A może siedzi tu w ramach eksperymentu i bada ludzką uczciwość? Chciała ją o to zapytać, ale powiedziała tylko „do widzenia” zduszonym, nie swoim głosem. Kobieta odpowiedziała, nie podnosząc na nią wzroku. Roberta wróciła do swojego stolika i przerzuciła wszystkie pierogi na prawą stronę, a później na lewą. Następnie wytyczyła między nimi tunel zgrabnie wykończony smażoną cebulką. Nie potrafiła nic przełknąć. Nie była w Kiekrzu już tyle lat. Nie chciała patrzeć na to jezioro ani na dom Grzegorza.

W pewnym momencie dotarła do rozwidlenia leśnej ścieżki, a ponieważ nikogo nie było w pobliżu i nie mogła zapytać o drogę, pomyślała, że zaufa intuicji, i skręciła w prawo. Kiedy wreszcie wyjechała z lasu, drogą wijącą się po podejrzanym chaszczach ruszyła dalej wzdłuż ogródków na tyłach domów. W jednym z nich dostrzegła starszą parę. Mężczyzna majsterkował przy samochodzie, a kobieta nakrywała stół ceratą w groszki. Nie wyglądali jak właściciele domu, raczej jak ludzie, którzy zakradli się tu po kryjomu i postanowili urządzić sobie wiosenny piknik.

– Czy to Kiekrz? Przepraszam bardzo, czy jestem w Kiekrzu? – Musiała wyglądać jak szalona, wyłaniając się nagle z lasu z liśćmi we włosach.

– Alyż skont. To jeszcze Poznań. To jest, droga pani, Psarskie. Do Kiekrza spory kawał.

– Jak duży? – Przyszło jej do głowy, że pogubiła się w lesie i mocno nadrobiła drogi.

– Czy ja wiem, może pięć kilometrów. – Mężczyzna spojrzął na nią i na rower z powątpiewaniem i odwrócił się w stronę kobiety, która wstała od stolika i podparła się pod boki.

– Zwykle nikt tyndy nie jeździ rowerem do Kiekrza, nie? – powiedziała kobieta z zaśpiewem. – Tu se pani wyjedzie i elegancko do kościoła prosto, potem w prawo, nie, w lewo, w lewo, Tadek, co nie?

– W lewo, w lewo. No pewnie, że w lewo.

Roberta podziękowała i wąską dróżką prowadzącą między domami wyszła na chodnik biegnący wzdłuż głównej ulicy. Kiedy się obejrzała, mężczyzna i kobieta nadal tam stali i mocno machali rękami, jakby rysowali w powietrzu niewidzialną mapę. Chyba mylnie zinterpretowali jej spojrzenie jako wyraz niepewności, bo mężczyzna złożył dłonie w tubę i krzyknął donośnym głosem „w lewo”. Posłusznie skręciła w lewo i ruszyła przed siebie, czując coraz większe zmęczenie mięśni, a jednocześnie radość z siły własnego ciała, która pozwala jej popychać koła roweru do przodu. Miała zaróżowione policzki i zmarznięte dłonie. Na niebie pojawiło się trochę ciemnych chmur, ale były zawieszane wysoko i przypominały raczej przybrudzone owieczki. Nie spodziewała się deszczu.

Kiedy minęła kościół i zauważyła niewielki sklep sportowy, postanowiła się w nim zatrzymać i zrobić zakupy. Znalazła softshellową kurtkę, którą sprzedawczyni zachwalała jako najlepszą na rower w sezonie wiosennym. Miała chronić Robertę przed deszczem i wiatrem, chłodzić, kiedy trzeba, a kiedy trzeba, ogrzewać. Aż trudno było uwierzyć w tak magiczne moce zwykłej kurtki, ale sprzedawczyni, młoda dziewczyna, brzmiała bardzo przekonująco. Swobodnie żonglowała takimi terminami jak „hi-tec”, „membrana dziesięć tysięcy”, „inteligentny system wentylacji pod pachami i na plecach”. Roberta miała wrażenie, że kupuje komputer. Z chęcią jednak zdjęła swój niewygodny przepocony płaszcz i przymierzyła zachwalaną kurtkę w największym dostępnym rozmiarze. Była krótka, czarna, z zamkiem i mankietami w kolorze fuksji. Na rękawie i na plecach wiły się delikatne kwiatki w tym samym kolorze. Podobało jej się to. Podobała jej się też duża liczba praktycznych kieszeni. Dwie standardowe, dwie wewnętrzne, dodatkowa wszyta ukośnie na wysokości piersi, a jakby tego było mało, jeszcze jedna w okolicach łokcia na lewym rękawie. Poprosiła sprzedawczynię o odcięcie metek, bo nie chciała jej już z siebie zdejmować. Oprócz tego zakupiła tam też krótsze i dłuższe spodnie na rower z czymś w rodzaju odbłaskowych lampasów, sportowe buty z odpowiednio porowatymi podeszwami, które miały zapewnić jej stopom lepszą przyczepność do pedałów. Nie znalazła oczywiście rozmiaru czterdzieści trzy, ale buty były tak miękkie, że nawet wciskając w nie na siłę swoje duże stopy, poczuła natychmiastową ulgę. Zapytała kobietę, czego jeszcze może potrzebować.

– Daleko pani jedzie?

Wzruszyła ramionami. Może właśnie wtedy w jej głowie zaczął się krystalizować plan, by nie wracać do domu na noc. Ani na tę noc, ani na kilka najbliższych. Nie miała ochoty kontynuować swojego życia. Jeszcze nie teraz.

Dokupiła kask, którego na razie nie chciała wkładać, bo na głowie miała ciepłą wełnianą czapkę, ale mógł się przydać. Oprócz tego wybrała pompkę do roweru, dzwonek, specjalny uchwyt na bidon oraz bidon, do którego od razu przelała wodę z trzymanej w plecaku butelki, a także elastyczną gumkę do przytrzymywania bagażu na bagażniku. Spodobał jej się też niewielki licznik, dzięki któremu mogła w czasie jazdy kontrolować czas, tempo i liczbę przejechanych kilometrów. Dziewczyna pomogła go zamontować na kierownicy roweru. Za jej namową wzięła również bieliznę termiczną, śpiwór i jeden większy plecak. Przebrała się za niewielkim przepierzeniem. W obcisłym czarnym stroju rowerowym wyglądała o wiele szczuplej, jakby kilka procent elastanu wystarczyło, by jej ciało znalazło się pod lepszą kontrolą. Czuła się też znacznie swobodniej niż w dzinsach i grubym płaszczu za udo. Zapłaciła za wszystko kartą; miała wystarczająco dużo gotówki na koncie, a w razie czego zawsze mogła pójść do

banku i zlikwidować jedną z lokat. Odkąd wynajęła swoje mieszkanie kilka lat temu, z pieniędzy z najmu nie wydała ani złotówki. Spytała ekspedientkę, gdzie w Kiekrzu może kupić mapę regionu, najlepiej rowerową, tak by łatwiej poruszać się po okolicy wytyczonymi szlakami. Podjechała do wskazanego kiosku i tam kupiła mapę rowerową Wielkopolski, a przy okazji także mapę Polski i dużą butelkę wody mineralnej, którą włożyła do mniejszego plecaka. Bez żalu wyrzuciła do kosza na śmieci swój stary wiosenny płaszcz, proste czarne półbuty, dzinsy i spraną bieliznę. Czowała się tak, jakby zrzuciła skórę.

Wiedziała, że musi zadzwonić do matki i uprzedzić ją, że nie wróci na noc, a może na kilka kolejnych nocy. Nawet gdyby teraz zawróciła, nie zdążyłaby do domu na czas. Chciała też dokładnie przejrzeć mapy i zaplanować dalszą drogę na dziś, a także wybrać miejsce, w którym zatrzyma się na nocleg. Nie była wybredna. Wystarczył mały, niedrogi pokój. Usiadła na ławce i chwilę wpatrywała się w telefon.

– Mamo? Coś mi wypadło i nie wrócę dziś na noc do domu. Tak naprawdę nie będzie mnie przez jakiś czas. Wypadł mi wyjazd.

– Jaki wyjazd?

– Wyjazd w prywatnej sprawie, mamo. Wzięłam wolne w pracy. Nic się nie martw.

Matka zamilkła, jakby zdziwiona, że jej najmłodsza córka może mieć prywatne sprawy. Roberta słyszała, jak ciężko przełyka ślinę po drugiej stronie słuchawki.

– A co z rowerem? Zostawiłaś go w pracy?

– Jadę rowerem, mamo. Nic się nie martw. Jestem ciepło ubrana i poruszam się bezpiecznymi drogami.

– Sama?

– Sama. – Nie chciała okłamywać matki, choć niewątpliwie tak byłoby łatwiej.

– Dziecko, a dokąd ty jedziesz tym rowerem i po co? To jakiś żart na prima aprilis?

Roberta dopiero teraz przypomniała sobie, że jest 1 kwietnia.

– Nie, to nie żart. Jadę po prostu, muszę coś załatwić. Nie martw się. Powiadomię Iwonę i Anię. Na pewno będą do ciebie zaglądać i robić zakupy.

Matka mlasnęła z rozdrażnieniem.

– Sama mogę sobie robić zakupy, dziecko. Nie jestem inwalidką. Mam też swoją emeryturę. Przecież nie o to chodzi.

Roberta nie pamiętała, kiedy matka ostatni raz wybrała się do sklepu. Pod warstwą ostro wypowiedzianych słów usłyszała prośbę. Wiedziała, że powinna zawrócić, ale nie potrafiła się do tego zmusić.

Matka przez chwilę milczała, a Roberta próbowała tego milczenia nie słuchać. Patrzyła w niebo.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze.

– Jak to nie wiesz?

– Kiedy załatwię to, co mam do załatwienia. Nie martw się, mamo.

Matka znowu zamilkła. Roberta zdawała sobie sprawę, że to dla niej szok, że jej na to nie przygotowała, ale ta decyzja była przecież zaskoczeniem dla niej samej. Cisza, którą matka wysyłała w eter, wydawała się pełna dezaprobaty. Ostatni raz najmłodsza córka rozczarowała ją w ten sposób może wtedy, kiedy wróciła do domu i oznajmiła, że więcej nie pójdzie na lekcje baletu. Nigdy nie powiedziała matce dlaczego. Pytana o zabłocone spodnie odparła, że się poślizgnęła i przewróciła.



O wszystkim wiedziała tylko Anna, ale niczego rodzicom nie zdradziła, tak jak obiecała Robercie. Z perspektywy czasu Roberta miała o to żal do siostry. Sama nie chciała mówić, jakby nie mogła o tym słyszeć nawet z własnych ust. Wystarczyło, że to się zdarzyło, że wracała do domu, chlapiąc i zasłaniając niezdarnie pośladki przed kopniakami trzech o wiele mniejszych dziewczynek. W ogóle się nie broniła, bo przecież nieraz jej powtarzano, że nie należy rozwiązywać problemów za pomocą pięści, a już na pewno nie należy bić młodszych czy mniejszych od siebie. Krzyczały za nią: „Roberta Gruberta!”, „Wieża!”, „Śmierdząca wieża!” i nawet teraz, siedząc na ławce w Kiekrzu, pamiętała ciepły zapach żwiru chrzęszczącego pod ich małymi stopami, które chwilę wcześniej w satynowych pointach wyglądały tak niewinnie. Gdyby jednak Anna powtórzyła to matce, a Roberty by przy tym nie było, nie musiałyby o tym rozmawiać i przeżywać tego jeszcze raz, a matka z pewnością zrozumiałaby, że niechęć córki do baletu nie wynika z niewdzięczności, lenistwa czy braku zainteresowania. Matka tylko ściągnęła wtedy usta, wciągnęła swoje wąskie wargi niemal całkiem do środka, jakby nie miała zamiaru powiedzieć już ani słowa, a przecież powiedziała ich później całkiem dużo i każde z nich oddalało ją od Roberty i od tego, co się działo z ciałem dziewczynki tamtego popołudnia, i tego, co działo się w jej głowie przez kilka miesięcy chodzenia na zajęcia baletowe. Kiedy matka skończyła mówić, była już tak daleko, że Roberta niemal jej nie widziała.

– Ten twój kot – powiedziała matka z przekąsem – ten twój kot nigdzie sobie nie poszedł. Cały czas przychodzi. Przychodzi, siada na parapecie i próbuje zajrzeć przez okno, żeby podejrzeć, co robię. Głowę tak śmiesznie wychyla zygzakiem, strzyże uszami i wąsami.

– Mamo, przecież nic ci nie robi.

– No wiem, że nic mi nie robi. Siedzi sobie mały i patrzy. Tak sobie myślę, że głodny jest, coś poszukam i mu dam. W tej wyszczerbionej miseczce, co, pamiętasz, jej nie wyrzuciłyśmy, bo mówiłam, że się na coś może jeszcze przydać, tej, co leży na półce pod zlewem w kuchni.

– Dobrze, mamo.

– No. To tylko pamiętaj, żebyś, jak wrócisz, nic ludziom do tej miski nie kładła, żeby nikt przypadkiem nie jadł po kocie. To cześć. – Matka zakończyła rozmowę tak nagle, jakby coś z zewnątrz zerwało połączenie.

Roberta dojechała na niewielką plażę i spojrzała na jezioro, lśniące w słońcu i przejrzyste. Trudno było sobie wyobrazić, że to się stało właśnie tu. Jezioro rozstało się przed nim i zamknęło. Jego matka krzyknęła na nią na pogrzebie z rozpaczą, bo przecież Robercie nigdy nie udało się ukryć w żadnym tłumie.

– A ty po coś tu przyszła, hę? – tak właśnie krzyknęła, choć była osobą wykształconą, lekarzem, i w innej sytuacji, gdyby spotkała Robertę w swoim prywatnym gabinecie dermatologicznym lub w klinice swojego męża, zapytałaby: „Co cię tu sprowadza?”, a może nawet: „Jak mogę pani pomóc?”.

Jednak w tamtej chwili rozpaczy, która fizycznie targała jej ciałem, wprawiając je w deliryczny dygot pod czarnym płaszczem, podeszła do Roberty i zasyczała, dając do zrozumienia, że to wszystko stało się z jej winy. Mogła przecież opowiedzieć o tym wieczorze, kiedy Grzegorz biegał po ich wystawnym domu, nie zbudowanym, ale wzniesionym niczym pałac nad brzegiem jeziora, i wrzucał do trzech porcelanowych toalet w trzech ze smakiem urządzonych łazienkach, wyłożonych włoskimi kafłami,

najróżniejsze zegarki: swój na rękę, wiszący z kuchni i jeszcze niewielki budzik z sypialni rodziców, przekonując Robertę, że jest to konieczne, aby powstrzymać nieubłagany upływ czasu. Coś można było jeszcze wtedy zrobić. W jakiś sposób można było zapobiec temu, co się później stało. Można było go wyleczyć. Jego rodzice wierzyli w potęgę medycyny. A skoro mu tego czasu nie dała, okropna dziewczyna, mogła nie mówić nikomu o liście, który jej wysłał. Przecież kiedy go znalazła w skrzynce, było już za późno dla niego, ale nie dla nich, jego najbliższych. Gdy jego matka zadzwoniła do Roberty, szukając syna, Roberta jeszcze niczego nie wiedziała. Do poniedziałku pozostało kilkadziesiąt godzin. Nie, nie było go u niej tego dnia, nie umawiali się, mieli wkuwać biochemię osobno, a dopiero przed egzaminem się spotkać i wspólnie powtarzać. Nie, o niczym nie wspominał, o żadnym koledze czy koleżance, o żadnej imprezie. Gdyby coś takiego było w planie, pewnie poszliby razem. Przez ten ostatni rok byli przecież nierozłączni. Dopiero po rozmowie z Robertą jego matka zaczęła się naprawdę niepokoić, a ojciec zgłosił zaginięcie syna na policji. Zaczęto go szukać wśród różnych znajomych, wypytywać w mieście i w parku, wreszcie szukać ciała w jeziorze, gdy Roberta otrzymała list i przekazała go policji. Od tego momentu jego rodzice traktowali ją jak współsprawcę i o wszystkim dowiadywała się z lokalnej gazety. Była przecież nikim. Nie była krewną ani żoną, matką jego dzieci. Ot, koleżanką ze studiów.

– Proszę nigdzie nie wyjeżdżać – powiedział policjant. – Będziemy pani chcieli zadać kilka pytań.

Będziemy zadawać zagadki, a pani będzie je rozwiązywać. Czy Grzegorz był ostatnio przygnębiony? Czy często się kłóciliście? Czy mieliście problemy natury miłosnej? Dlaczego nie zgłosiła pani nikomu tego epizodu? Nazywali atak manii Grzegorza epizodem z zegarkami, co brzmiało w jej głowie jak tytuł baletu.

\* \* \*

Roberta przejrzała zakupione przed chwilą mapy. Pomyślała, że wybierze się do Lusowa, nad Jezioro Lusowskie, nad które jeździli czasem z rodzicami. Kiedyś lubiła jeziora. Jako dziecko kochała pływanie i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego matka zamiast na basen zapisała ją na lekcje baletu. W wodzie traciła swoją kanciastość. Lubiła uczucie lekkości, które ogarniało ją, gdy stopami nie dotykała ziemi, jakby fruwała. Woda opływała ją ze wszystkich stron, tworząc przytulny kokon. Odkąd ten kokon pochłonął Grzegorza, przestała jeździć nad jeziora, ufać ich pozornie spokojnym lustrom.

Wybrała trasę, która biegła wzdłuż Jeziora Kierskiego, a później spokojnymi bocznymi drogami. Około dwunastu kilometrów, więc jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinna dotrzeć na miejsce za godzinę. Jej średnie tempo wskazywane przez nowy licznik, a przynajmniej to, w którym dojechała ze sklepu do ławki, wynosiło trzysta kilometrów na godzinę. Nie wiedziała, jak szybko jeżdżą profesjonalni rowerzyści, z pewnością jednak jeździli szybciej od niej, bo wymijali ją po drodze bez żadnego trudu. Nie przejmowała się tym, nigdzie się przecież nie śpieszyła. Chciała tylko znaleźć jakieś miejsce do spania przed zmrokiem.

Kiedy jechała obok jeziora, minęła grupę dzieci na wózkach inwalidzkich. Miały na sobie różnokolorowe kurtki, a znad rozchełstanych szalików wystawały zaróżowione od wysiłku twarze. Przypominały stadko barwnych ptaszków. W promieniach coraz niżej schodzącego słońca nie wydawały jej się okaleczonymi ptakami, raczej rozdokazywanymi, patrzyła więc na nie z uśmiechem pozbawionym

litości. Za wózkami dzieci szli opiekunowie, być może rodzice, w parach rozspanych na ścieżce co kilkanaście metrów. Z kurtek i płaszczy w ciemnych, stonowanych barwach wystawały blade i smutne twarze, a jedna z kobiet, pogrążona w rozmowie z drugą, miała czerwone oczy, jakby przed chwilą płakała. Roberta spuściła wzrok, mijając to stado okaleczonych ptaków. Na samym końcu, daleko za innymi, zmagająca się z wózkiem i wiatrem dziewczynka w różowej kurtce, może siedmioletnia. Obok niej, na większym wózku, jechał mężczyzna. Miał na sobie czerwoną kurtkę i wydawał się uśmiechać, a może w takim grymasie zastygła mu twarz na wietrze. Uśmiechnęła się do nich, a mężczyzna pomachał jej ręką, kiedy ich wymijała.

Przystanąła, by popatrzeć z dala na dom, w którym kiedyś mieszkał Grzegorz. Była tam jeszcze raz, kilka miesięcy po pogrzebie. Niemal się nie spodziewała, że dom będzie stał na swoim zwykłym miejscu i że w środku kogoś zastanie. Zdawało jej się naturalne, że dom powinien nagle przestać istnieć, jakby ktoś wysadził go w powietrze. Jak to jest wstawać dzień po dniu i widzieć tylko to – jezioro, w które pewnego dnia postanowił wejść ich syn i nigdy nie wrócić? Dom nadal tam stał. Z daleka widziała żółtawą elewację i dużą kutą bramę z motywem roślinnym. Podobno wiele małżeństw rozstawało się po śmierci dziecka, co Robercie wydało się zrozumiałe. Ciężar takiej tragedii wcale nie dzielił się na pół, wręcz odwrotnie, mnożył. Poczucie winy ciążyło tak bardzo, że wcześniej czy później współmałżonkowie zaczynali winić siebie nawzajem. Niektórzy nie potrafili się dzielić wspomnieniem dziecka ani cierpieniem. Inni chcieli zapomnieć i zacząć życie od nowa, ale nie potrafili, żyjąc obok kogoś, w kim obecność dziecka nawet po latach była nadal żywa. Zastanawiała się, czy rodzice Grzegorza rozstali się, czy zostali razem, i czy nadal mieszkają w tym domu. Nie miała już jednak takiej motywacji, by pojechać tam i zapukać. Nie było sensu do tego wracać po dwudziestu latach.

Ruszyła z góry w kierunku Lusowa ulicą Podjazdową. Licznik wskazał rekordową do tej pory prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę. Myślała, że wiatr zerwie jej czapkę z głowy, puls rozsadzi uszy. Od mocnego trzymania kierownicy bolały ją ręce, przez cały czas lekko przyciskała też hamulec. Ta szybka jazda jednocześnie cieszyła ją i przerażała. Gdyby była sama, gdyby tą popularną trasą nie jeździło tak wielu rowerzystów, może by nawet krzyczała, tak jak się krzyczy na rollercoasterze, gdy dociera się na szczyt i nie ma innego wyjścia, trzeba w szalonej spirali prędkości zjechać w dół. Przecięła ruchliwą ulicę Poznańską i za chwilę była już w Lusowie, nad kolejnym jeziorem, znowu zaskoczona tym, jak łatwy i szybki okazał się przejazd dla prostego dwukołowego pojazdu napędzanego wyłącznie energią jej ciała. Z obawą i podziwem spoglądała na wymijających ją rowerzystów, których stroje i cały sprzęt były bardziej profesjonalne. Mimowolnie zjeżdżała im z drogi, jakby była na ścieżce zawalidrogą, a nie równoprawną uczestniczką ruchu. Zauważyła, że wszystkim ustępuje. Kiedy całą szerokość ścieżki zajmowali piesi, nie śmiała na nich zadzwonić swoim nowo nabytym dzwonkiem, zjeżdżała więc z ubitej drogi na trawę, by ich wyminąć, a tam, gdzie nie było to możliwe, maksymalnie zwalniała i wlokła się tak, koło za kołem, dopóki ktoś nie usłyszał skrzypienia przerzutek czy też jej zmęczonego stękania. Jechała samym brzegiem drogi po prawej stronie, a jeśli chciała kogoś wyminąć, robiła to tylko wtedy, gdy z naprzeciwka nikt się nie zbliżał.

Okrążyła jezioro i stanęła, by napić się wody. Czas miała dobry, do zachodu słońca zostały jakieś dwie godziny. Nie czuła dużego zmęczenia, więc postanowiła, że nie zostanie w Lusowie na noc, tylko uda się jeszcze dalej, w miejsce, gdzie nigdy nie była, jak najdalej od Poznania. Otarła usta wierzchem dłoni

i wyjęła telefon z wewnętrznej kieszeni kurtki. Wcześniej czuła jego wibracje, ale nie chciała się zatrzymać. Osiem nieodebranych połączeń. Pięć od Anny, trzy od Iwony. Nie chciała oddzwaniać, ale w momencie gdy patrzyła na telefon, znowu zaczął wibrować. Położyła go na ławce obok i przez chwilę śledziła jego podrygi. Wreszcie dała za wygraną.

– Słucham cię, Aniu.

– Co ty wymyśliłaś? Dodzwonić się do ciebie nie można. Próbowałam ja, próbowała Iwona i nic.

– Nie można, bo jadę rowerem.

– No właśnie. Mama mówiła, że znowu coś wymyśliłaś. Podobno wyjechałaś na parę dni. Jest naprawdę zmartwiona, wydaje mi się, że przestraszona. Wiesz, jak źle reaguje na wszelkie zmiany.

– Mnie wydawała się dość spokojna. Nawet postanowiła nakarmić kotka.

– Jakiego znowu kotka? Słuchaj, gdzie ty jesteś?

– W Lusowie. Nad jeziorem. Pamiętasz? Przyjeżdżaliśmy tu czasem z rodzicami, jak byliśmy dziećmi.

– Co tam robisz?

– Nic. Jadę rowerem. Mówiłam mamie. Powiedziała, że sobie poradzi, a z wami chciałam porozmawiać wieczorem, gdy już dojadę gdzieś na nocleg. Przepraszam, że was nie uprzedziłam, ale ten wyjazd wypadł tak nagle.

– Co to w ogóle za tajemniczy wyjazd? Rozumiem, że nie chciałaś wyjawiać mamie szczegółów, ale mnie chyba powiesz? – Z niewiadomej przyczyny Annie zawsze wydawało się, że dla każdej siostry to ona jest tą najbliższą.

– Po prostu. Musiałam wyjechać. Wrócę przecież. Nie martwcie się. Zaglądam, proszę, do mamy.

– „Zaglądam do mamy”! No pewnie, że będę zaglądać, ale tu nie chodzi o mamę. Martwię się o ciebie. Ostatnio zachowujesz się tak dziwnie, jeszcze dziwniej niż zwykle. Najpierw ta kanapa, teraz jedziesz rowerem nie wiadomo dokąd i po co. Co się z tobą dzieje?

– Nic się ze mną nie dzieje. Po prostu musiałam wyjechać. Czy kiedy ty gdzieś wyjeżdżasz, jesteś przesłuchiwana w ten sposób?

– No nie. – Anna się zmieszała. – Ale ja wyjeżdżam z rodziną, my wyjeżdżamy...

– A ja wyjeżdżam sama. Nie widzę żadnej różnicy.

– No dobrze, ale ty opiekujesz się mamą. Mogłaś nas uprzedzić.

– Czyli jednak nie chodzi o mnie, tylko o opiekę nad mamą?

– Nie łap mnie za słowa.

– Nie chcę już o tym rozmawiać. Wyjechałam, wrócę, kiedy załatwię to, co mam do załatwienia. Na pewno dacie sobie radę z mamą przez ten czas.

Gdy tylko się rozłączyła, telefon znowu zaczął wibrować. Tym razem na wyświetlaczu zobaczyła numer Iwony. Westchnęła tylko głośno, ignorując jego podrygiwania, i rozłożyła na kolanach mapę Polski, jeszcze tak nową i sztywną, że przecięła boleśnie prawy kciuk. Wgryzła się z zapalem w jabłko, pozwalając, by sok ciekł jej po brodzie, i chrupiąc, jakby to było ostatnie jabłko w jej życiu. Była na zachodzie Poznania i postanowiła po tej stronie zostać. Spojrzała na drogi krajowe biegnące w pobliżu. Mimowolnie popatrzyła na granicę. Nie miała przy sobie paszportu, ale teraz do przekroczenia granicy wystarczył ważny dowód osobisty, a ten zawsze nosiła w portmonetce. Pomysł wydał jej się karkołomny. Czy ona, niewprawna rowerzystka, kobieta czterdziestoletnia, mogłaby ot tak wybrać się rowerem do

Niemiec? A może i dalej, choć tego dalej nie było już na tej mapie? Przez cały dzień, jadąc rowerem, robiąc zakupy w sklepie sportowym, rozmawiając z matką i Anną, klucząc po lesie, szukając dróg na mapie, w jakimś stopniu myślała o Robercie, swojej nieznannej imienniczce i o wyznaczonej dacie spotkania 5 maja w Paryżu. Jednocześnie wypierała te myśli, bo zdawała sobie sprawę z tego, że to absolutne szaleństwo i nie można się tak zachowywać. Nie może tak po prostu ruszyć przed siebie i liczyć na to, że dotrze rowerem do Paryża. Nie może na tak długo zostawić swoich obowiązków, matki i pracy. Zawsze była przecież taka odpowiedzialna.

Niemniej plan sam krystalizował się w jej głowie. Wyrzuciła ogryzek za siebie i powiodła palcem po mapie. Postanowiła, że pojedzie do Buku, do którego prowadziły lokalne drogi. Wcześniej powinna przeciąć autostradę E30 w kierunku Berlina, zapewne jest tam jakiś wiadukt. Pogrzebała w swoim starym plecaku i wyjęła długopis. Zaznaczyła nim trasę. Kto wie, może zdoła dziś dotrzeć nawet do Opalenicy? Teraz, kiedy pozwoliła zakiełkować myśli o rowerowej wyprawie do Paryża, snuła coraz odważniejsze plany i już się widziała na granicy z Niemcami. Musiała jednak wziąć poprawkę na warunki pogodowe. W każdym momencie mogło się przecież zrobić zimniej, mogło się zachmurzyć i rozpadać. Pogoda w kwietniu bywała jeszcze bardzo kapryśna. Kolejnym utrudnieniem był brak kondycji i wprawy, niewyćwiczone mięśnie. Powoli zaczynała je czuć. Nie tylko mięśnie nóg, ale także mięśnie grzbietu i szyi, jakby nadmiernie je napinała podczas jazdy, zbyt mocno koncentrując się na kurczowym trzymaniu kierownicy. Z biegiem dni jej kondycja powinna się poprawiać, niewykluczone jednak, że zaliczy też kilka kryzysowych dni. Nie mówiąc już o chorobie. Roberta miała odporny organizm i rzadko chorowała, ale to była zupełnie nowa sytuacja. Właśnie zamierzała postawić swojemu ciału ostre wymagania, więc nie można było wykluczyć choroby. Jeszcze jednym problemem był strach. Nie chodziło o samotne podróżowanie, bardziej o niezajomość trasy. Wiedziała, że może się zgubić, a w drodze mogą na nią czekać niespodzianki, nie zawsze miłe.

Poza tym nie miała doświadczenia. Powinna więc dać sobie dużo czasu. Miała do pokonania około tysiąca czterystu kilometrów, rowerem może nawet więcej. Postanowiła jak najszybciej zaopatrzyć się w aktualną i dokładną mapę Europy. Jeśli jechałaby z prędkością trzynastu kilometrów na godzinę i spędziła na siodelku osiem godzin każdego dnia, dojechałaby tam w około dwa tygodnie. Sto kilometrów dziennie zdawało się jednak jakąś niedorzecznością. Może przejedzie tyle w jeden dzień, ale na pewno nie każdego dnia. Poza tym wystarczy, że pogoda się zmieni i przez kilka dni będzie lało. Miała jednak czas do 5 maja. Powinna zdążyć. Teraz, gdy już znalazła się w drodze, zamierzała zrobić wszystko, by tak się stało.

Niechętnie spojrzała na telefon, znowu dzwoniła Iwona. Wzięła głęboki oddech i odebrała.

– Wiem, wiem. Nie można się do mnie dodzwonić przez cały dzień.

– No właśnie. Rozmawiałam z Anką.

Roberta wyobraziła sobie gorącą linię między Anną, Iwoną i matką.

– Chyba jesteś niepoważna. Dlaczego nas nie uprzedziłaś, że wyjeżdżasz? No i jak to jedziesz rowerem? Gdzie jedziesz rowerem?

Forma transportu zdawała się w tym momencie najbardziej szokującą częścią informacji o nagłym wyjeździe Roberty.

– To dla mnie ważne. Rozmawiałam z mamą i powiedziała, że rozumie, że da sobie radę.

– A co ci miała powiedzieć? Postawiłaś nas wszystkich przed faktem dokonanym.

– Iwona, nie męcz mnie. Przecież mieszkanie w tym samym mieście, więc możecie zaglądać do mamy.

Trzeba zrobić zakupy, ugotować, od czasu do czasu coś przeprać. Dom jest wysprzątany, rachunki popłacone, tym nie musicie się martwić.

Iwona prychnęła w telefon, jakby słowa Roberty zezłościły ją jeszcze bardziej.

– Och, no pewnie, że o nic nie musimy się martwić. A twoja praca?

– Załatwię to z szefem. Mam tyle zaległego urlopu... Jakoś sobie poradzą. No, Jezu kochany, jakoś sobie wszyscy beze mnie poradzicie przez miesiąc.

– Miesiąc? Anka nie mówiła, że wyjeżdżasz aż na miesiąc.

– Dokładnie nie wiem. Tak jak wspominałam, muszę coś załatwić i to może potrwać krócej, ale niewykluczone, że trochę dłużej. Muszę teraz jechać, chcę dojechać na miejsce przed zmrokiem. Jak wciąż powtarzasz, jadę rowerem. W tej sytuacji ważny jest moment, kiedy zapada zmierzch.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– O nic nie chodzi. Po prostu musiałam wyjechać. Mam coś do załatwienia. Dlaczego to tak trudno zrozumieć?

– Wszyscy jesteśmy zwyczajnie zaskoczeni. Nigdy nie robisz takich rzeczy. Nie robiłaś.

– Nie robiłam – zgodziła się Roberta. – Naprawdę muszę kończyć. Nie martwcie się o mnie. Zajmijcie się mamą.

– Oczywiście, że zajmijmy się mamą. Nie musisz tego powtarzać. – Iwona bardzo nie lubiła, gdy ją pouczano, a zwłaszcza gdy robiła to młodsza siostra.

„Żyję nie swoim życiem”, pomyślała Roberta po raz kolejny tego dnia. Poczowała się ograbiona. Czy to możliwe, by Roberta, która napisała kartkę, prowadziła za nią to właściwe życie, to, w którym skończyła medycynę i została chirurgiem? To, w którym wyszła za mąż za ukochanego chłopaka i wspólnie wychowywali dzieci?

Podjechała na brzeg jeziora. Położyła rower na trawie i chwilę patrzyła w niebo, które teraz zasnuły chmury, blade i sypkie jak suchy piach. Niebo jak pustynia. Poczowała się niemal klaustrofobicznie, jakby między ziemią i niebem brakowało powietrza. Powietrze było tylko wtedy, gdy pedałowiała. Tylko wtedy świat nie stał w miejscu, a chmury nad jej głową przesypywały się jak piasek w klepsydrze, odmierzając czas. Wzięła szeroki zamach, jakby puszczała kaczkę, i rzuciła telefon daleko w jezioro. Wyobraziła sobie, jak opada na dno, a tafla wody się nad nim zamyka. Zdziwiła się. To było takie proste.

„Żyję nie swoim życiem”, pomyślała. Zaczynało to brzmieć jak mantra.

Wsiadła na rower i ruszyła dalej. Teraz mogła się już skoncentrować wyłącznie na dojechaniu na miejsce i znalezieniu noclegu. Krajobraz był dość monotony, równinny, wynagradzała to jednak świeża zieleń, która wynurzała się z krzewów, drzew, ale i prosto z ziemi, z tak wyraźną cytrynową poświatą, jakby więcej było w niej słońca niż nieba.

Do Buku dojechała szybciej, niż przewidywała – trasa okazała się łatwa, a drogi niemal puste. Było już po osiemnastej i zrobiło się wyraźnie ciemniej i chłodniej. Włożyła czapkę, narzuciła na głowę kaptur nowej kurtki i postanowiła pojechać jeszcze kawałek dalej, aż do Opalenicy. Czuła ogromne zmęczenie mięśni nóg i pleców, a pośladki całkiem jej zdrętwiały od siedzenia na siodełku, ale jednocześnie czuła też coś w rodzaju silnej koncentracji. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o tym, by pokonać

kolejny kilometr i jeszcze jeden. I kolejny. Wyobraziła sobie, że jeśli nie dojedzie na noc do Opalenicy, stanie się coś niewyobrażalnie złego. Zamiast zwolnić, przyśpieszyła więc i zaczęła rytmicznie poruszać obolałymi udami. Na ulicy Bukowskiej włączyła przednią i tylną lampę i patrzyła, jak strumień światła tnie przed nią powietrze, wyraźnie wyznaczając tunel, którym ma się poruszać w ciemności. Rozejrzała się na boki. Świat wokół był już wygaszony, trawa i krzewy ciemniejsze od nieba, ale pod kapturem, między przednim i tylnym światłem roweru, było jej ciepło i przytulnie. Nieliczne samochody wymijały ją szybko z obojętnością lub powoli z irytacją. Wyrastała im na jezdni niespodziewanie, jakby nie należała do tego zmotoryzowanego świata. Stawała im przed oczami nagle, rozjarzona w ciemności jak gorejący krzak. Zaczęła pedałowac jeszcze szybciej i zanim dotarła do Opalenicy, była już całkiem spocona i zmęczona. Poczula się zdana na łaskę przyrody, jakby miała spać pod gołym niebem, ale przecież miała przy sobie kartę, a w Opalenicy na pewno znajdzie jakiś nocleg. Nie czula już złości, która wyparowała z potem i łzami wyciśniętymi przez wiatr. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to właśnie była najmocniejsza emocja od momentu, gdy minęła zakład pogrzebowy Hades i nie poszła do pracy jak co dzień, tylko pojechała przed siebie. Była wściekła.

Zajechała na stację benzynową, by zapytać o jakiś niedrogi hotel.

Młody chłopak za ladą obrzucił ją znudzonym spojrzeniem znad telefonu, po którym nieustannie jeździł zatłuszczonym palcem. Poza nią na stacji nie było klientów.

– Jest Remes. Taki, wie pani, hotel ze spa. – Ponownie na nią spojrzał, tym razem bardziej lustrującym wzrokiem, jakby chciał ocenić, czy stać ją na hotel Remes.

– A coś mniej, hm, ekskluzywnego macie tu może? – Zamierzała się trzymać swojego planu i nie szastać pieniędzmi. Wiedziała, że padnie i zaśnie w ciągu kilku sekund, więc potrzebne jej było tylko czyste łóżko.

– Niech pani spróbuje hotel Pod Rycerzem tu, niedaleko. Nie wiem, jak tam jest. – Wzruszył ramionami i wrócił do obmacywania telefonu. Miał ładne dłonie, lekko piegowate.

Nie po raz pierwszy pomyślała, że młodsze pokolenia mają zgrabniejsze palce, wygimnastykowane równomiernie, wyćwiczone na klawiaturach komputerów i telefonów jak palce pianistów, środkowe prawej lub tak jak w przypadku Grzegorza lewej ręki nie były już wykoślawione od długopisu.

– A mógłby mi pan powiedzieć, w którą stronę mam skręcić po wyjściu ze stacji?

– Jest pani samochodem?

– Rowerem.

Nie okazał zdziwienia. Gdyby się zdziwił, prowadziłoby to do dalszej rozmowy, a on wyraźnie chciał się jej jak najszybciej pozbyć ze sklepu.

– Proszę skręcić w lewo, później cały czas prosto i go pani zobaczy.

Kiedy tylko dotarła do hotelu, natychmiast dopadło ją całodniowe zmęczenie, jakby dopiero teraz została obudzona z głębokiej hipnozy. Zdjęła z roweru obolałe ciało, które zdawało się obce. Być może najstarsza z żyjących hotelowych recepcjonistek przyjęła od niej dokumenty, potrząsając łańcuszkiem od okularów w grubych plastikowych oprawkach. W jej oddechu można było wyczuć kwaśny zapach alkoholu, którym najwyraźniej rozweselała sobie puste i smutne wieczory. Odnosiła się do Roberty z chłodną uprzejmością z wyjątkiem momentu, gdy pojawił się temat roweru i jego przechowania przez noc. Wtedy zaskakująco wysoko uniosła lewą brew, ale nic nie powiedziała. Kiedy Roberta odstawiała

rower na jego nocny postój w hotelowym garażu, sama siebie złapała na „końskim odruchu” – delikatnie przejechała palcami po siodełku. Pożegnała się na noc.

Nie zwróciła nawet uwagi na szczegóły pokoju i nie potrafiła sobie przypomnieć jego wnętrza, budząc się w nim następnego dnia w przyjemnej ciszy małego miasteczka. W pośpiechu zrzuciła z siebie ubranie, wzięła szybki gorący prysznic i wczłogała się pod przyjemnie chłodną i świeżą pościel, która przypominała chrupiące pieczywo. Rozłożyła mapę. Przejechała ponad sześćdziesiąt kilometrów, całkiem nieźle jak na amatorkę, ale zajęło jej to niemal cały dzień. Wiedziała, że jutro jej ciało nadal będzie obolałe, a ból pewnych mięśni, z których istnienia nie zdawała sobie sprawy, dopiero poczuje. Ból pośladków odczuła w pełni dopiero po zejściu z siodełka i nie wyobrażała sobie szybkiego wskoczenia na nie z powrotem. Postanowiła też jak najszybciej dokupić specjalne rękawiczki. Oglądała je w sklepie sportowym w Kiekrzu, ale uznała za zbyt cenną fanaberię – miała przy sobie przecież zwykłe materiałowe rękawiczki, na wypadek gdyby marzły jej dłonie. Dopiero w czasie jazdy okazało się, że ręce w rękawiczkach za bardzo się pocą i nie mają odpowiedniej przyczepności do rączek kierownicy. Ślizgały się po nich, tak jak wcześniej ślizgały się po pedałach jej stopy w czarnych płaskich butach. Dopiero porowate podeszwy obuwia sportowego wczepiały się w pedały i nie pozwalały im uciec. Czowała, że rower poddaje się jej stopom. Podobną funkcję spełniałyby specjalne rękawiczki. Z westchnieniem zakreśliła długopisem trasę z Opalenicy do Zbąszynia i zasnęła, na wpół siedząc w łóżku nad wygniecioną mapą.

\* \* \*

Na drugi dzień obudziło ją słońce, które sączyło się do pokoju przez przerwę w niedokładnie zasuniętych zasłonach. Przez chwilę leżała w łóżku zdezorientowana, jakby współrzędne miejsca, w którym się znajdowała, pozostawały równie niejasne, jak jej jeszcze nieobudzona, rozmazana tożsamość. Gdzie była? Nasłuchiwała, czekając na znajomy sygnał komórki, który budził ją codziennie o siódmej rano. Instrumentalna wersja Fragile, utworu Stinga – kiedyś bardzo ją lubiła, ale później o tym zapomniała, bo kojarzył się już tylko z ciemnością za oknem i zimną podłogą. Sygnał się nie pojawił. Nasłuchiwała kaszlu matki z jej pokoju na dole. Zwykle matka kaszlała rano i wieczorem i szurała meblami, jakby każdego wieczoru przemeblowywała swoją sypialnię, a rano odstawiała wszystko z powrotem na swoje miejsce. Matka nie kaszlała. Nie słychać też było żadnego szurania, w ogóle nic. W pokoju panowała kompletna cisza. Przez zasłony wdzierało się słońce, ale nie dochodził żaden dźwięk. Powoli dotarło do niej, gdzie jest i co wydarzyło się poprzedniego dnia, jakby odsypiała szaloną imprezę. Zresztą czuła się tak obolała i zdezorientowana, że niemal skacowana. Obrzuciła wzrokiem wygniecioną mapę, która w nocy ześlizgnęła się z kołdry na dywan, i gęste poszarpane zasłony w kolorze oliwkowej zieleni. Pokój nie odbiegał od standardu. Był w nim zestaw do parzenia kawy i herbaty na stoliku nocnym, którego wieczorem nawet nie zauważyła, a przy przeciwległej ścianie stały niewielka szafa i biurko, na którym leżał zestaw podręcznych informacji dotyczących oferty hotelu i okolicznych atrakcji, a także papeteria z logo hotelu i czarny płaski telefon. W rogu, na metalowym ramieniu wisiał cienki jak koperta telewizor. Nad biurkiem powieszono lustro. Zobaczyła w nim swoją zasną twarz i zmierzwiłone nad czołem włosy. Wreszcie dotarło do niej, że jest w Opalenicy, a jej komórka leży na dnie Jeziora Lusowskiego i jeśli nawet jakimś cudem alarm się włączył, słyszą go wyłącznie ryby i wodorosty.



Zalała gorącą wodą kawę w proszku z jednorazowej saszetki i poszła wziąć długi prysznic. Jej ciało nadal było obolałe, ale nie czuła już niechęci na myśl o ponownym wskoczeniu na rower. Wydawało jej się, że matka czegoś potrzebuje, że ją woła. Może chodziło o poranne lekarstwa, których jej jeszcze nie zaniosiła? Zakręciła wodę i nasłuchiwała, ale dotarły do niej tylko odgłosy hotelowego życia, otwieranie i zamykanie drzwi, szuranie kółek wózka na korytarzu. No tak, matka była daleko stąd. Wylała na siebie różne płyny ze wszystkich wyłożonych w łazience saszetek i szorowała się z całych sił, walcząc z poczuciem winy, które zamiast zmyć, wcierała w siebie coraz mocniej.

Po wyjściu spod prysznic rozłożyła mapę i zaplanowała trasę na ten dzień. Jeśli się uda, z Opalenicy dotrze dziś do Świebodzina, pokonując około siedemdziesięciu pięciu kilometrów, z dłuższą przerwą nad jeziorem w Zbąszyniu. Starannie zakreśliła długopisem trasę biegnącą przez Nowy Tomyśl. Po namyśle postanowiła zadzwonić do domu.

– Mamo?

Głos matki w słuchawce wydał się nadąsany, schrypnięty.

– Nie mówiłaś, że nie będzie cię aż miesiąc. Od Iwony się musiałam dowiedzieć. Ance też się nie przyznałaś.

– Może nawet trochę dłużej, mamo. Naprawdę nie wiem.

– A co na to szef? Pozwoli ci na aż tak długi urlop?

– Nie sądzę, by robił problemy.

– Pracę trzeba, dziecko, szanować. Teraz tak wszystkich zwalnają, bez przerwy się słyszy. – Matka miała zdolność do wychwytywania z eteru tylko złych informacji, a może uważała, że tylko takie są wystarczająco emocjonujące.

– Szanuję pracę, mamo, zwykle na urlop trzeba mnie wysyłać siłą. Co u ciebie? Jest Iwonka lub Ania?

– Przecież wiesz, jak bardzo są zajęte swoimi sprawami. Nie będę im zawracać głowy. Dzwoniły kilka razy, proponowały, że przyjadą, ale nie chciałam.

– Leki wzięłaś?

– No pewnie, że wzięłam. Mam przecież na kartce rozpisane co i jak. Lekarka napisała, to przecież przeczytam. Śniadanie sobie zrobiłam – dodała nie bez dumy.

Roberta poczuła się jak matka. Rozmawiała z matką jak z córką, która właśnie po raz pierwszy zamieszkała sama poza domem.

– A zakupy?

– Sama sobie zrobię zakupy. Nie są mi do tego potrzebne. – W jej głos wkradło się wahanie. W zasadzie lubiła narzekać do Roberty na jej siostry. Wydawało jej się wtedy, że chwali najmłodszą córkę. Umiiała to robić chyba tylko w ten sposób. – One zresztą nie kupią, jak trzeba. Pamiętasz, jaki kiedyś chleb Iwonka przywiozła? Niby zdrowy taki, z ziarnami, a te ziarenka mi przecież w zęby wchodzą. – Matka od kilku lat miała protezy, ale nie lubiła się do tego przyznawać. Nie wyjmowała ich nawet na noc, mówiła, że źle jej się śpi z takimi zapadniętymi policzkami.

Robercie wydawało się, że matka ubiera się na noc starannie i przeczesuje włosy, by w razie nagłej interwencji służb medycznych nie czuć wstydu. Nigdy nie poszłaby spać w wałkach czy w przepoconej lub co gorsza brudnej koszuli nocnej. Szlafrok też miała zawsze dość nowy i czysty. Jeden był w drobną

beżową kratkę, drugi w kwiatki. Roberta uważała, że w szlafroku człowiek wygląda jeszcze bardziej bezbronnie niż nago, jakby ludzie w nim pokazywali innym nie tyle intymność swojego ciała, ile intymność swojego życia domowego.

Milczały przez dłuższą chwilę. Roberta zaczęła się zastanawiać, ile hotel jej doliczy do rachunku za tę rozmowę.

– Próbowałam do ciebie dzwonić.

– Nie mam telefonu, coś się z nim... stało.

– Zepsuł się?

– Zepsuł. Zadzwonię od czasu do czasu, gdy tylko będę miała możliwość.

Matka odchrząknęła i chyba weszła do kuchni, bo Roberta usłyszała teraz szum odkręconej wody, a głos matki przygasł na chwilę oddalony od słuchawki. Nigdy nie lubiła rozmawiać przez telefon. Przez telefon źle się milczało. Teraz, gdy mogła usłyszeć matkę tylko w ten sposób, koncentrowała się na dźwiękach z jej otoczenia. Wyobrażała sobie czajnik, do którego wlewa wodę, krzesło z podrapanym tapicerowanym obiciem odsuwane od kuchennego stołu. Wydawało jej się, że w ten sposób rozmawia nie tylko z matką, ale że rozmawia z domem.

– A kot? – zapytała wreszcie pojednawczo.

– Twój kot nadal przychodzi. – Głos matki wyraźnie się ożywił, wiedziała, że się uśmiecha. – Biega za szpakami w ogródku. Jaki on śmieszny. Miałam takiego kota, jak byłam małą. Ojciec trzymał go w obejściu, żeby łapał myszy, w stodole spał czy gdzie tam, nikt się wtedy nie interesował, gdzie kot śpi ani jak się nazywa. Wszystkie były Mruczki. Nikt się nie wysiłał, by wymyślić oryginalne imiona. Dziś rano otworzyłam drzwi na taras, a on przybiegł nie wiadomo skąd, przemknął mi między nogami i wyobraź sobie, poleciał od razu do tej twojej kanapy, zwinął się na niej w kłębek i zasnął. Nawet jej wcześniej nie obwąchał, a wszystko wacha.

– Dziwne – wtrąciła Roberta, choć od razu pomyślała o nocy, kiedy siedziała na kanapie obok śmietnika, a za jej plecami umykały z piskiem długie kocie cienie.

Kot był kotem Roberty, bo pojawił się w życiu matki w tym samym dniu, kiedy córka zniknęła, w sposób, który matka mimo wszystko uznała za dość tajemniczy. Nic więc dziwnego, że traktowała jego towarzystwo jak jej zastępstwo. Jego malutki trójkątny pyszczek, zabelony pod wąsami, jakby go ktoś zanurzył w śniegu, w miejsce dużej, okrągłej twarzy Roberty. Jego właściwie pozbawiona mimiki mordka, spokojna i ufna, gdy wodził za matką zezującym kocim wzrokiem.

– Nazwałaś go jakoś?

– A bo to mój kot? Nie chcę, by się przywiązywał. Sama wiesz, że nie mam się jak zajmować kotem.

Nie wiedziała, czy w Świebodzinie, w którym planowała spędzić kolejną noc, nie będzie na to za późno, więc od razu zadzwoniła do szefa i Marzenki. Głos szefa był dość niespokojny, ale słowa rozsądne, takie, na jakie mógł sobie w tej sytuacji pozwolić. Dobrze znał wartość Roberty. Marzenka nie była zadowolona, że spadnie na nią więcej obowiązków, ale Roberta obiecała jej to zrekompensować po powrocie. Nie potrafiła się skupić na rozmowie, głos koleżanki po raz pierwszy wydał jej się monotony i bez wyrazu, gdy opowiadała o pracy, jakby recytowała listy produktów spożywczych, z których nie powstanie żadne ekscytujące danie. W myślach już siedziała na siodełku i opuszczała Opalenicę, jej asfaltowe drogi tak szerokie w słońcu i czyste chodniki, które o tej porze były pełne emerytów, kobiet

i dzieci. Przypominały szalupy ratunkowe. Nie mogła się doczekać, aż zostawi za sobą ludzi i budynki i wyjedzie za miasto w otwartą przestrzeń. Nagle zachciało jej się śpiewać. Tymczasem Marzenka nadal recytowała, pod koniec jej głos zbłądził, powędrował lekko w górę i szybko w dół, pośrodku sapnięcie, mocny oddech, jak przy spadaniu. Roberta po raz pierwszy usłyszała w nim zazdrość, jakby dopiero teraz stała się w oczach Marzenki kobietą bezdzietną i niezamężną, której w przeciwieństwie do żony i matki wolno wpadać na szalone, ekscentryczne pomysły. Roberta nie wiedziała, co zrobić z tym nowym uczuciem w głosie Marzenki, udała więc zwyczajnie, że ono nie istnieje. Rozmawiając przez telefon, oglądała świeżo nabite siniaki na łydkach.

\* \* \*

Nie wiadomo, dlaczego przypomniała sobie to właśnie teraz, w drodze do Nowego Tomyśla, podczas gdy przejeżdżające w pośpiechu samochody pokrywały ją cienką warstwą kurzu. Zawsze miała starych rodziców, więc na początku każdej szkoły dzieci myślały, że jej matka jest jej babcią. Kiedy poszła do pierwszej klasy, matka miała prawie pięćdziesiąt lat i odstawała od innych matek bardziej, niż odstawałaby teraz, gdy popularne stało się późne macierzyństwo. Wtedy matki koleżanek z klasy miały zwykle około trzydziestki. Podczas wywiadówek z panią Żak, pierwszą i ukochaną panią Roberty, która zaczęła tę pracę zaraz po studiach, matka, żona nauczyciela i weteranka wywiadówek, czuła się raczej doradcą, wizytatorem zesłanym przez kuratorium lub może samego Pana Boga. Po powrocie do domu wytykała wszystkie młodociane błędy pani Żak, klasyczne niedociągnięcia młodej nauczycielki, a innym matkom standardowe błędy młodych matek, które, jak była przeświadczona, obrócą się przeciwko nim, to tylko kwestia czasu. Roberta słuchała uwag matki w milczeniu, czując, jak okleja ją coś w rodzaju szeleszczącego celofanu, coraz bardziej odgradzającego od nowego świata dziewczynek w dżinsach i młodych nauczycielek w krótkich spódniczkach, do którego bardzo chciała należeć. Było tak, jakby ten świat został jej pokazany przez matkę tylko ku przestrodze. Mogła w nim uczestniczyć po to, by wyciągnąć wnioski, ale nie powinna była się w nim czuć zbyt komfortowo.

Ojciec kiwał głową, choć tak naprawdę nie słuchał matki. Zastanawiał się nad nierównościami wielomianowymi, których w tym roku nie potrafił dobrze wyjaśnić swoim uczniom. Być może się starzał. Posiłki jedli zwykle przy włączonym telewizorze, bo nadawane tam programy pozwalały wszystkim swobodnie błądzić myślami. Siostry miały już swoje niemal pełnoletnie sprawy i to o nich myślały. Siedmioletnia Roberta słuchała matki. Krytyczne słowa nadal niezwykle mocno programowały jej myśli. Nie potrafiła się od nich odgrodzić, nie potrafiła zasadzić nawet byle żywopłotu, na którym zawisną jak baloniki i pękną w jednej chwili lub z czasem zejdzie z nich powietrze. Każde było jak wyrok w sprawie ukochanej pani Żak.

Aż podskoczyła, kiedy usłyszała klakson. Rower zakręcił się na szosie pijackim zygzakiem, gdy próbowała wyrównać. Zamyśliła się i zjechała za bardzo na lewą stronę. Kierowca, mijając ją, wykrzykiwał przekleństwa, widziała jego rozgniewaną twarz niemal wtopioną w szybę, krople śliny. Zjechała na pobocze, by napić się wody i uspokoić dygoczące serce. Zatrzymała się na skraju lasu, odstawiła rower i postanowiła wejść na chwilę między drzewa. Przytuliła się do brzozy, wciągając w płuca jej żywiczny zapach, pogłaskała pień i usiadła na zwiniętej kurtce, zapierając się o drzewo plecami i wyciągając stopy daleko przed siebie. Wydawało jej się, że gdyby posiedziała wystarczająco

długo, dostrzegłaby, jak na gałęziach przybywa nowych zielonych liści. Zapragnęła napić się kawy; postanowiła, że przy najbliższej okazji zaopatrzy się w termos. Wyjęła notes i długopis i wpisała go na pozycję trzecią, po rękawicach na rower i dodatkowej bieliźnie.

Oddychała spokojnie. Las miał wilgotny zapach starych liści, niedawno odsłoniętych spod czopów śniegu. Czowała też ostrzejszą woń grzybów oblepiających dużymi kępami drzewa i zarośla. Nie знаła nazw większości tego, co tu widziała. Jakby była w obcym kraju i brakowało jej języka. Nawet brzoza czy klon, te nieliczne nazwy, które potrafiła nadać, brzmiały w jej głowie obco. Pomyślała, że tak samo będzie się czuła we Francji, jeśli uda jej się tam dotrzeć. Będzie chodzić ulicami Paryża, oglądać rzeźby Claudel i Rodina, nadając wszystkiemu, co widzi, własne polskie nazwy lub nie nazywając i przyswajając tylko jak w lesie kształty, kolory i zapachy. Nie były to zapachy, z którymi miała do czynienia na co dzień. Przez większą część życia wdychała sztuczne wonie środków dezynfekcyjnych, płynów konserwujących, skoncentrowanych oleistych kosmetyków i farb do włosów. W domu unosił się zapach proszku do prania, talku i starości. Zapach ciała matki, które powoli sobie odpuszcza, a jego wola jest silniejsza od jej woli. Krew krążyła coraz wolniej, skóra coraz bardziej przypominała okrycie wierzchnie, popękany, poplamiony i znoszony płaszcz, pomarszczony najbardziej na wszystkich zgięciach.

W lesie czuła się dobrze. Jak wśród zmarłych. Czasem ludzie pytali ją, czy się nie boi. Najwyraźniej obejrzeliby zbyt dużo filmów o zombi. Zawsze odpowiadała, że bać należy się żywych.

Droga za Nowym Tomysłem była spokojna. Na niektórych odcinkach nie spotykała niemal nikogo, a traktorzyści czy rowerzyści mijający ją między miejscowościami pozdrawiali ją, jakby była znajomą. Im dalej od dużego miasta, tym więcej budziła ciekawości. Rowerzyści, których spotykała, traktowali rower jako środek transportu, a nie przyrząd sportowy czy narzędzie rekreacji. W plastikowych reklamówkach wieźli kilka brzdękających piw, jechali od szwagra do domu, do sklepu po mleko i wódkę, a może tak jak ona – przed siebie. W pewnym momencie nie była już pewna, czy jest na dobrej drodze, bo nie widziała drogowskazów na Zbąszyń, a miejscowości były tak małe, że nie znalazła ich na swojej mapie.

– A skąd pani jedzie? – zapytał z ciekawością starszy mężczyzna. Nogawki spiął przy kostkach żółtymi klamerkami do bielizny. Na głowie miał staroświecki beret z antenką wycelowaną w stronę słońca. Na bagażniku wiózł plastikową reklamówkę zwiniętą w rulon, a na wierzchu gazetę.

– Z Poznania.

– Z Poznania? Przecież to kawał drogi.

– Nie tak daleko. No i wyjechałam wczoraj. – Myślała, że popatrzy na nią, jakby miała nierówno pod sufitem, ale on się tylko uśmiechnął.

– Wy, młodzi, czego wy nie wymyślicie?! A daleko pani jedzie?

– Do Paryża.

– Do Paradyża? Tam gdzie to seminarium?

– Nie. Do Paryża. – Podniosła głos i wymówiła „r” z lekkim trzepotem języka za górnymi zębami. Jakby mówiła „Parrryża”.

– Jak to do Paryża? Tego we Francji?

– Tak. Tego we Francji. – Nie była pewna, ale zdawało jej się, że w Europie nie było innego Paryża.

Chciała już wsiąść na rower i jechać dalej, ale mężczyzna miał wyraźnie ochotę na pogawędkę. Wiedziała, że będzie opowiadał o tym spotkaniu. Opowie o nim swojej żonie i sąsiadom, może nawet swojemu lekarzowi w przychodni w Nowym Tomysłu.

– I tak rowerem? Nie można by szybciej?

– Pewnie, że można. I taniej. Ale przecież inaczej nie spotkałabym pana. – Uśmiechnęła się.

– No tak – przyznał mężczyzna i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Córka z zięciem, wie pani, oni to byli zimą w Egipcie, na te ferie zimowe, ale wie pani, samolotem przecież lecieli. Z Poznania właśnie. Ja z żoną też chcę lecieć. Latem, bo żona ma reumatyzm i ona nie lubi się nigdzie ruszać, jak zimno. Nawet samochodem nie chce nigdzie jeździć zimą. Mszy w niedzielę to, wie pani, przez radio tylko słucha. Ja to sobie do kościoła rowerem podjadę. Paliwa szkoda dla mnie samego, bo ją tobym zawiózł. Ale żeby do Paryża, gdzie tam. Zresztą ja stary już.

– Latem w Egipcie musi być gorąco.

– No. Gorąco jak sto diabłów. Ale ona lubi gorąco. Będziemy leżeć pod palmą i pić drinki z parasolką. Tak ona mówi, wie pani. – Mężczyzna zaśmiał się gardłowo, nagle skrępowany, że tyle o sobie mówi obcej osobie. – Tylko nie wiem, jak ją do tego samolotu wsadzę. Chyba trzeba ją będzie najpierw, wie pani, upić, bo nigdy nie lecieliśmy i ona się samolotu boi.

Roberta pomyślała, że mówi jej tak dużo, bo wcale się nie zwierza ze skrytych tajemnic. Opowiadał gładko i bez zastanowienia, bo te same zdania wypowiadał już wcześniej wiele razy, rozmawiając z innymi ludźmi o planowanym wylocie do Egiptu. Lubił o nim mówić, bo sam też bał się lecieć, szczególnie do kraju, który w jego wyobraźni był dziką pustynią zawieszoną nad czarną wodą pełną skał i niebezpiecznego życia. Podwodny Egipt przypominał nocne życie w wielkim mieście. Widział formy tego życia utrwalone pod wodą specjalnym aparatem zięcia. Nie przypominały niczego, co zobaczył do tej pory, i nie był pewien, czy starczy mu odwagi, by się w to życie zanurzyć.

– Leciała pani kiedyś samolotem?

Roberta przypomniała sobie ten jeden raz, gdy poleciała na tydzień do Hiszpanii z siostrami i ich rodzinami. Na miejscu okazało się, że jej udział w tym wyjeździe sprowadza się do opieki nad dziećmi, ale to jej nie przeszkadzało. Lubiła towarzystwo dzieci. Wydawały się jej ciekawsze od dorosłych. Zdziwiła ją swoboda pasażerów czarterowego samolotu podczas lotu. Chodzili po pokładzie, wychodzili do toalety, a podczas prezentacji wyjść ewakuacyjnych, kamizelek i masek tlenowych uśmiechali się grzecznie, ale bez większego zainteresowania. Roberta słuchała z napięciem, co rozbawiło jej szwagrów, ale i tak procedura, która mogła uratować im życie, pozostawała niezrozumiała. Przestraszyła ją tylko, spowodowała, że zaczęła myśleć o wszystkich wypadkach lotniczych widzianych w telewizji. Zanim stewardesa skończyła demonstrację, była pewna, że zginą. Pomyślała, że podobna procedura powinna być wpisana w każdą wycieczkę samochodową. Może byłoby mniej wypadków na drodze, gdyby kierowca i pasażerowie byli za każdym razem świadomi konsekwencji. Pokiwała potakująco głową.

– Bała się pani?

– Nie pamiętam. Chyba nie. Człowiek mniej się boi, gdy nie ma kontroli nad sytuacją.

Mężczyzna się uśmiechnął. Właśnie takiej odpowiedzi od niej oczekiwał.

– A po co pani jedzie do Paryża?

Pomyślała o kartce, która niemal wypalała dziurę w plecaku. Przez chwilę czuła impuls, by ją wyjąć

i mu pokazać, ale była pewna, że nie zrozumie.

– Umówiłam się tam z kimś. Mam się z kimś spotkać – odpowiedziała szybko i położyła prawą stopę znacząco na pedale. Tak naprawdę zaczęła o tym myśleć w ten sposób, jakby to było jej spotkanie. – Muszę ruszać. Wie pan, jak się jedzie daleko, trzeba się dobrze zorganizować, żeby dotrzeć na nocleg przed zmrokiem. – Pomyślała, że do tego będzie się potrafił odnieść; w latach jego młodości podróżowanie musiało podlegać głównie tej zasadzie.

– A no tak. Szerokiej drogi w takim razie. Odważna z pani kobieta.

Na czym miała polegać jej odwaga, tego nie powiedział. Może na tym, czego brakowało jego żonie. Na tym, że nie bała się zimna. Ale żonę kochał przecież nie za odwagę.

W Zbąszyniu miała już na liczniku ponad czterdzieści kilometrów. Zatrzymała się na rynku, by coś zjeść i odpocząć. Przed niewielkimi pastelowymi domkami, które otaczały go ciasno jak strażnicy, jakby był uciekinierem i należało go cały czas pilnować, jeden przy drugim stały stare zachodnie samochody. Nieliczni przechodnie wyglądali na zdziwionych skończoną zimą. Jakby nie ufali już nie tylko władzom państwowym, ale nikomu i niczemu. Nawet pogodzie. Byli zbyt grubo ubrani, twarze mieli szare i smutne niczym partyzanci, którzy wyszli z lasu kilka tygodni po zakończonej wojnie.

Nie znalazła parkingu dla rowerów, więc przypięła swój po prostu do jednej z ławek. Chwilę stała przed pomnikiem kozłarza.

– Mamy jeszcze pomnik papieża nad Obrą – powiedziała kelnerka, którą zapytała o to, co ciekawego można zobaczyć w Zbąszyniu. – W kajaku – dodała, jakby miało to znacząco podnieść walory pomnika.

– W kajaku?

– Tak. Znany rzeźbiarz wyrzeźbił, z Poznania. Tak robił te papieże. W Nowym Tomysłu też stoi. Była pani kiedyś w Nowym Tomysłu?

Przypomniał jej się klakson i moment paniki gdzieś pod lasem za Nowym Tomysłem.

– Tylko przejazdem.

– Tam też jest, ale nasz to jest w kajaku. Niech pani podjedzie nad rzekę tu niedaleko i sama zobaczy. Rzeźbiarz nie doczekał odsłonięcia pomnika. Zmarł. Jak on się nazywał? Mam na końcu języka. No tak jak, wie pani, jak ten znany operator filmowy. Ten, co w Hollywood jest.

– Piotr Sobociński?

Kobieta spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Tak. Tylko temu było Jerzy. Zmarł. Trochę jak mój teść.

– Pani teść też był artystą?

– Ależ gdzie tam. Elektrykiem był, ale dom taki sobie postawił jak pomnik. Nigdy w nim nie zamieszkał. Ani jednej nocy nie przespał. Dziesięć lat go budował i teściowa twierdziła, że go ta budowa wykończyła. Choć lekarze mówili, że rak. – Uśmiechnęła się, przecierając wilgotną ścierką stolik, przy którym usiadła Roberta.

Stolik nie był brudny, zrobiła to chyba po to, by pokazać Robertcie, że w tym miejscu dba się o czystość. Może dlatego, że parapety pokrywała gruba warstwa kurzu, a szydełkowe serwety, które miały nadać barowi domowy nastrój, zdawały się raczej żółte niż białe.

Kelnerka wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat, ale dobrze się trzymała. W amerykańskim filmie dolewałyby gościom nieodpłatnie kawy z dobrodusznym uśmiechem, zwracając się do wszystkich

„słoneczko”, „serce” lub „kochanie”. Obcisła sukienka wżynała się pod pachami, a upchnięty w niej ciasno biust zaciskał złoty łańcuszek z krzyżykiem. Skóra na plecach wałkowała się w kilku miejscach tak widocznie, że w pierwszej chwili Roberta wzięła to za fałdy materiału.

W barze nie było zbyt wielu klientów. Roberta zamówiła barszcz z krokietem, bo pomimo przejechanych kilometrów nie czuła się szczególnie głodna, ale już w połowie straciła na niego apetyt i sączyła tylko całkiem znośną kawę. Odkąd wyruszyła w drogę, nie miała apetytu.

Ręce kobiety zdobiło kilka złotych bransoletek i pierścionków, a w uszach wisiały złote kolczyki, dlatego Roberta pomyślała, że może nie jest kelnerką, tylko właścicielką tego lokalu.

– Z daleka pani przyjechała? – zapytała, sprząając sąsiedni stolik.

– Z Poznania.

– A to nie tak daleko przecież. Żabi skok. Godzina drogi. Młodzi tam uciekają. – Kobieta podeszła nieśpiesznie do kasy i wbiła zamówienie Roberty. Podała jej paragon.. – Wszyscy młodzi uciekają. Tu sami starzy zostają. Co tu dla młodych? Pracy nie ma. Romeo zamknęli, pewnie pani słyszała: koszule kobiety szyły. Prawie czterysta ich na bruk poszło. Pewnie, lepiej kupować koszule, co je małe chińskie rączki szyją, niż dać przyzwoitym kobietom zarobić na utrzymanie siebie i dzieci. Mówię pani, ta chciwość to nas wszystkich kiedyś zgubi. – Kobieta spojrzała z melancholią w przybrudzoną witrynę.

Roberta poczuła się dziwnie, odstawiając pół talerza barszczu. Powinna była go chyba skończyć. Kobieta jednak nie zwróciła na to uwagi.

– To już dawno było, pewnie pani słyszała, z pięć lat temu, ale córka cały czas na bezrobociu. Dobrze, że zięć ma pracę. Ale pani z Poznania. Tam u was lepiej przecież. Co nie pojedę, po tych wszystkich galeriach tylu ludzi biega, kupują, pani, kupują, tyle wózków, tyle portfeli. I wszystkie pełne po brzegi. Samochodem?

Roberta niezobowiązująco kiwnęła głową. Nie chciała tym razem rozmawiać o rowerze.

– I tak specjalnie do nas pani przyjechała? Zbąszyń zwiedzić? Łe jery!

– No nie całkiem. Przejazdem jestem. Do Paryża jadę – powiedziała Roberta i po raz pierwszy poczuła podekscytowanie na myśl nie o samej podróży, ale o jej celu. – Była pani kiedyś w Paryżu?

– A gdzie tam. Mój był też budowlaniec. Pił, pani, tylko i pił. Ma pani męża? – Obrzuciła palce Roberty szybkim spojrzeniem.

– Nie mam. Nigdy nie wyszłam za męża.

– I dobrze pani zrobiłaś. – Kobieta stanęła tyłem do Roberty i zapatrzyła się na ludzi przechodzących chodnikiem. – Też mi miody. Dzieci tylko narobią i wiecznie ich nie ma, ganiają jak kocury w marcu. A głupie te chłopcy w dodatku, a baby jeszcze głupsze, bo sobie przez nich do oczu skaczą. Choć z zięciem to córka dobrze trafiła. Trzeba powiedzieć. On nawet gotuje nieźle.

Roberta odstawiła pustą filiżankę i odprężyła się, opierając zmęczone plecy o krzesło.

– Wie pani, co zrobiłam, jak mój zaczął chodzić do takiej jednej? Nic. Powiedziałam mu, że ma pieniądze dawać na dom i dzieci, i tyle mnie to interesuje.

– Nie było pani przykro?

– A tam przykro. Przykro to mi było, jak syn dorósł i mu kazał z nią zerwać, podobno z szacunku dla mnie i z miłości. „Coś ty najlepszego, synu, zrobił”, powiedziałam. „Spokój był z twoim ojcem przez kilka lat, przestał dla niej pić, sympatyczniejszy się zrobił i tyłka mi nie zawracał”. W przenośni

i dosłownie. Wie pani, o czym mówię. – Jej potężny biust zafalował, gdy się zaśmiała. – Szacunek, miłość... Chryste, w pewnym wieku to człowiek już tylko chce świętego spokoju. Ale pani młoda jeszcze jest.

– Nie taka znowu młoda – zaczęła oponować Roberta.

– Młoda, młoda. Jak pani będziesz miała tyle lat, co ja, to sobie przypomnisz tę swoją młodą buźkę z tęsknotą. Ile pani ma lat? Trzydzieści? Czterdzieści? To się pani wydaje po raz pierwszy, że starość przyszła, bo już nie dwadzieścia, ale to bzdura, starość dopiero nadejdzie. Tylko nic a nic się pani nie maluje. A dlaczego?

Roberta wzruszyła ramionami z uśmiechem.

Twarz kobiety była aż nadto pokryta makijażem, warstwa po warstwie, bez czekania, aż poprzednia wtopi się w skórę i zastygnie. Od lat malowała się tak samo i najwyraźniej przegapiła moment, kiedy makijaż należało dostosować do zmieniającej się skóry, tak samo jak z wiekiem tonuje się strój. Roberta przyjrzała się jej okiem fachowca. Wyobraziła ją sobie na swoim stole pod lampą. To, co mogło dobrze wyglądać dwadzieścia lat temu – czarne egipskie kreski na powiekach, zbyt ciemny kolor podkładu, zielonkawy cień – teraz tylko podkreślało jej wiek. Podkład się wałkował, róż przypominał dwa malinowopomarańczowe placki, a tęczówki, w których było za mało barwnika i dużo wody jak w zimowych jeziorach pokrytych topniejącym lodem pod burym niebem, niepotrzebnie podkreśliła niebieską kredką.

Roberta pojechała nad rzekę i trochę stała pod pomnikiem Wojtyły. Nazywał się tak, bo upamiętniał papieża w czasach, gdy jako biskup Wojtyła płynął Obrą ze studentami. Był 1960 rok. Roberty nie było jeszcze na świecie, teść kobiety z bistro nie zaczął jeszcze budować domu, a późniejszy papież płynął Obrą kajakiem przez Zbąszyń i pisał ambitne poematy. Na pomniku wygrawerowano słowa: „Szukałem was, teraz wy przyszliście do mnie”. Czy papież przypadkiem nie mówił za życia, by nie stawiać mu żadnych pomników? Być może nie posłuchano go celowo, uznając tę prośbę za oznakę fałszywej skromności, a kto wie, może nie słuchano go w ogóle? Może dla większości ludzi był po prostu jakimś religijnym celebrytą.

Wpatrywała się w pomnik dobre kilkanaście minut. Nad rzeką było przyjemnie, obok pomnika, przy kamienistej ścieżce posadzono bratki. Zastanawiała się, co artysta wyrzeźbił najpierw. Może wiosło? Zdawało się najłatwiejsze. Choć może właśnie dlatego wyrzeźbił je na końcu? Był już stary i zmęczony, może schorowany, a wiosło mógł ktoś za niego łatwo dokończyć. Przecież często się zdarzało, że uczniowie wykonywali mniej wymagające elementy dzieł wielkich mistrzów. Postać Wojtyły, jego zamyśloną twarz, z której bił kamienny, jakby grobowy spokój, z pewnością rzeźbił sam – nie zaufałyby nikomu. Jak ostrożnie trzeba było szlifować kamień, by nie naruszyć jego surowej faktury, a jednocześnie nadać mu pożądany kształt? Jak mądrze dobrać kamień, poznać jego strukturę, tak by nie popękał?

Stała przed pomnikiem, zastanawiając się, co jeszcze mogłaby ze sobą począć w Zbąszyniu. Mogła pójść do kościoła i Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła na rynku, ale nie miała na to ochoty. Na tym polega ruch turystyczny, pomyślała. W Zbąszyniu otwierają muzea i stawiają pomniki, które będą oglądali mieszkańcy innych miast, być może Sanoka. Mieszkańcy Zbąszynia odwiedzą kościoły i muzea w Sanoku i zawiozą do domu zdjęcia cudzych kościołów i pomników. Nikt, kto nie ma w mieście krewnych, nie odwiedza go naprawdę. Przypominało jej to sadzenie przed domem kwiatów i wstawianie



ozdobnych bram, podczas gdy w czterech ścianach toczyło się zupełnie inne życie. Czteryście kobiet zwolnionych z zakładów Romeo.

W okolicy rynku znalazła sklep, który chyba jeszcze pamiętał czasy Peerelu, i kupiła w nim kilka dodatkowych par majtek i skarpet oraz mały, poręczny termos. W sklepie sportowym dokupiła specjalne rękawice na rower. Były czarno-różowe, miały obcięte palce; ręce wydawały się w nich wąskie i kobiece. Nie mogła się już doczekać momentu, gdy zostawi miasto za sobą i zacznie pokonywać kolejne kilometry do Świebodzina.

Wybrała drogę przez Szczaniec i kiedy wreszcie ruszyła, jechała po pustej asfaltowej drodze szybkim zygzakiem. To, jak łatwo rower poddaje się jej woli i miękko wchodzi w zakręty, sprawiało jej radość. Dzięki rękawicom czuła się pewniej, nie ścisnęła już tak kurczowo kierownicy, rozluźniła dłonie i mięśnie karku. Nadal świeciło słońce, do przejechania zostało jej jakieś czterdzieści kilometrów, a choć czuła zmęczenie, była pewna, że da sobie radę. Podobało jej się to, że każdego dnia miała do wykonania konkretne zadanie, z którego mogła się rozliczyć. Efekty jej pracy były widoczne natychmiast, z każdym przejechanym kilometrem. Przypomniała sobie starą piosenkę Anny Jantar i zaczęła ją śpiewać. Musiała wyglądać jak wariatka we wstecznych lusterkach mijających ją samochodów. Myślała o matce. Szukała w sobie znajomego poczucia winy, ale chyba wywiały je rowerowy pęd. Myślała o ich porannej rozmowie, o tym, że matka wydawała się niemal zadowolona z tej sytuacji. Sądziła, że będzie ją błagać, wymusi na niej obietnicę szybkiego powrotu, przyzna, że nie potrafi sobie bez niej poradzić. Tymczasem matka była opanowana, zrobiła sobie śniadanie, wzięła leki, zajęła się bezpiecznym kotem. Być może to nie Roberta opiekowała się matką, ale matka Robertą.

W zasadzie pretensje o jej nagły wyjazd miały głównie siostry. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, dlaczego tak bardzo się nimi przejmowała. W słońcu, daleko od domu, jadąc zygzakiem, śpiewała „Tyle słońca w całym mieście” na całe gardło. Pomyślała o złości, która pchała ją jak wiatr w plecy przez całą drogę jeszcze w Poznaniu. Zdawało jej się, że minęło wiele tygodni, odkąd zamiast jak zawsze skręcić do Hadesu, ruszyła prosto przed siebie. Pomyślała o topornym, przydługim płaszczu, dzinsach i czarnych męskich butach w śmietniku w Kiekrzu, o telefonie na dnie jeziora w Lusowie. Wcale nie była zła na matkę o to, że jest stara i nie wychodzi z domu, że trzeba jej gotować i robić zakupy, a czasem pomagać przy kąpieli, obcinać paznokcie i wcierać maści. Nie była też zła na siostry, że ją tak sprytnie wmanewrowały w zamieszkanie z matką i sprawowanie nad nią opieki, podczas gdy one wiodły prawdziwe życie dorosłych kobiet, żon i matek, do którego nie miała dostępu. Była wściekła na siebie.

W Świebodzinie kupiła pocztówkę z figurą Jezusa Chrystusa i znaczek. W miejscu na adres wpisała nazwę swojego osiedla, miejscowość i kod pocztowy, a licząc na inwencję i poczucie humoru listonosza, w miejscu adresata zanotowała: „Wojtek, ławka obok trzepaka przy sklepach, często karmi wróble”. I dalej:

„Gdyby machał ramionami na kształt metalowego wiatraka, wytwarzałby energię wiatrową. Teraz podobno wytwarza energię duchową, choć mnie się wydaje, że równie dobrze mógłby to być ogromny dmuchany banan.

Pozdrawiam Cię ze Świebodzina. To jest takie miasto na drodze z Poznania do Paryża.

Dużo tu wróbli, ale nikt ich nie karmi.

Roberta”

Tak dawno nie pisała nic odręcznie, że zwróciła uwagę na swój charakter pisma. Było delikatne, choć litery stawiała dość duże. Wyjęła z plecaka wyblakłą pocztówkę z wizerunkiem rzeźby Claudel dla porównania. Pismo wydawało się podobne, jakby podświadomie próbowała je naśladować. Nie trenowała przecież wielkiego „R” z ozdobnym zawijaszem tak jak w podstawówce, gdy uczyła się podrabiać podpis matki, ale było tu i wielkie „R”, i małe „b” o niedomkniętym brzuszku, małe „j” o zapętłonym ogonku, jakby czytając pocztówkę Roberty, wielokrotnie dopasowywała jej charakter pisma do własnej ręki.

Kiedy kładła się spać w Hotelu Lubuskim w centrum miasta, podobno oddalonym niecałe dwa kilometry od pomnika Chrystusa Króla, zaczął padać deszcz.

Tej nocy przyśniła jej się kwaciarnia. Czekala w długiej kolejce po kwiaty kompletnie naga. Stała golusienka na samym końcu ogonka złożonego ze zwyczajnych, ubranych ludzi, kwestionując tę scenę, nadając jej wymiar sennego absurdu, stawiając znak zapytania na końcu snu. Kiedy nadeszła jej kolej, głowa sprzedawczyni ledwo wystawała ponad przeszkloną ladę, która skrywała różnych rozmiarów wieńce. Widziała tylko małą buzię częściowo ukrytą pod włosami w kolorze ołówka, jakby sprzedawczyni składała się wyłącznie z głowy. Była to twarz dziesięcioletniej dziewczynki, którą przywieźli do niej wkrótce po tym, jak ukończyła szkolenie i zajęła się balsamowaniem zwłok. Zawsze będzie ją pamiętała, choć mówiono jej, że ma silną psychikę i ważną w tym zawodzie umiejętność nieprzechowywania w głowie drastycznych obrazów. Zupełnie jakby to były prawdziwe obrazy, które Roberta znajdowała przed drzwiami i mogła powiesić na ścianie lub wyrzucić na śmietnik. Tego nie wyrzuciła. Być może znalazła go, zanim nauczyła się wyrzucać. Wniosła go do domu i powiesiła w pokoju, do którego czasem trafiała w snach. Dziewczynka zginęła w wypadku samochodowym. Ojciec również w nim zginął, choć wszystkim się zdawało, że przeżył. Matka także w nim zginęła, choć nawet nie było jej w samochodzie. Przyszła do Roberty i poprosiła, by córka wyglądała, jakby spała. Mała Śpiąca Królowa ze śladem ukłucia wrzecionem na palcu. Żadnych więcej śladów.

Sprzedawczyni powiedziała coś, ale Roberta nie dosłyszała, a może nie zapamiętała jej słów.

\* \* \*

Gdy się obudziła, w Świebodzinie nadal padał deszcz. Miarowo i jednostajnie, bez szans na szybkie przejaśnienie. Naciągnęła kołdrę na głowę, czując dopiero dziś, z opóźnieniem, niechęć do wszelkiej aktywności fizycznej. Deszcz zdawał się błogosławieństwem, więc postanowiła spędzić jeszcze jedną noc w Świebodzinie i wykorzystać ten czas na odpoczynek i przepranie ubrań. Wywiesiła wilgotne rzeczy na drzwiach kabiny prysznicowej i wyjrzała przez okno. Świat za szybą zdawał się całkiem zamazany przez deszcz, jakby coś było nie tak z jej oczami, a nie z pogodą. Może wystarczyło zamrunąć.

Kiedy wzięła parasol z recepcji i ruszyła na obchód miasteczka, tym razem pieszo, świat powoli odzyskiwał ostrość. Z ciekawością rozglądała się po okolicy. Zauważyła, że odkąd wyruszyła w podróż, wyżej podnosi głowę. Nie pochyla się już, nie próbuje zdrobnieć, dążąc ku ziemi, tocząc wzrokiem po przydrożnych kamieniach. Dotarła do ławeczki Niemena na rynku, a później odbyła pielgrzymkę pod pomnik Chrystusa niedaleko Tesco i stojących na parkingu autokarów z niemieckimi rejestracjami. Niemcy kupowali kilkunastocentymetrowe figurki pomnika. Roberta zastanawiała się, co z nimi zrobią po powrocie do domu. Być może byli to ci sami Niemcy, którzy przy trasie na Berlin kupowali krasnale,

wiatraki, a nawet słonie.

– Niektórzy mówią, że to pomnik pychy – powiedziała jej wieczorem recepcjonistka, młoda dziewczyna.

To Roberta wciągnęła ją w rozmowę na temat pomnika, zaczęła po powrocie do hotelu. Dziewczyna sprawnie zamknęła kilka okien na monitorze komputera. W jednym z nich prowadziła palcami dość zaangażowaną rozmowę. Roberta dojrzała liczne znaki zapytania i wykrzykniki. Przebierała palcami z prędkością światła, jakby grała na instrumencie trudny utwór w szybkim tempie. Myśli spływały pod palce. Roberta spojrzała jej w oczy. Poczła się jak reporterka lub policjantka w cywilnych ciuchach, wypyująca świadka. Jej szczerą okrągłą twarz i duże, brązowe oczy budziły zaufanie nieznanym. Dziewczyna postanowiła poświęcić jej całą swoją uwagę.

– Pychy?

– No tak, pychy księdza Zawadzkiego. To był jego pomysł. No ale my jesteśmy zadowoleni, więcej gości w hotelu. Nikomu już nie muszę tłumaczyć, skąd jestem. Kiedyś mówiłam, że z takiego miasteczka niedaleko Zielonej Góry. Teraz wszyscy wiedzą. Świebodzineiro.

– Tylko to taki kicz.

– No, kicz – zgodziła się dziewczyna. Była naprawdę miła. – A ten dowcip pani słyszała? Że w Świebodzinie stoi najstarsze Tesco na świecie? Powstało pięć lat przed Chrystusem. – Roześmiała się szczerze, pokazując aparat na zębach, przez co wydała się Robercie jeszcze młodsza.

Stojąc blisko, czuła jej zapach. Lekki zapach ziołowego szamponu do włosów i gęstych perfum należących do kogoś innego, być może do matki, niepasujących do młodej skóry.

Zadzwoił telefon, ale numer był chyba prywatny, bo nie odebrała.

– A pani tak rowerem? No, ja nie mogę. Wciąż nie mogę uwierzyć, że pani rowerem do nas z Poznania przyjechała. Do Paryża? Tak sama? Rowerem? – Spojrzała na Robertę jak na kobietę dotkniętą dziwną chorobą. – Ja jeżdżę rowerem, ale tak tylko czasem, latem, nad jezioro z chłopakiem. Jak mu powiem, to się zdziwi, z Poznania do Paryża, no normalnie masakra.

Roberta myślała, że znowu usłyszy, jak bardzo jest odważna, podróżując samotnie rowerem po Europie.

– Nie byłoby raźniej z kimś? Ja bym wzięła chłopaka. Albo przyjaciółki. Nie czuje się pani samotna?

Dziewczyna wечно ocierała się o ludzi. Klientów hotelu, przyjaciół, chłopaka, znajomych w internecie, w sali wykładowej, na imprezach. Wyglądała na osobę, która łatwo nawiązuje kontakty z innymi, dlatego z pewnością świetnie się sprawdzała w pracy na recepcji w hotelu. Jak komuś takiemu opowiedzieć o samotności? Dla dziewczyny samotność to była chwila zanurzenia głowy w wannie podczas mycia włosów i wygaszony cmentarz kilka tygodni po pożarach 1 listopada. Dziwny moment, jakby na chwilę umierało życie. Jak jej opowiedzieć, że samotność to dom kreta, niewidoczny dla oka. Są w nim podziemne drzwi, pokoje i korytarze, a jego budowa i udoskonalanie zajmuje dużo czasu.

Uśmiechnęła się, kręcąc przecząco głową, mrużąc oczy.

\* \* \*

Po śniadaniu składającym się z parówki i jajecznicy wreszcie znowu wskoczyła na rower, tym razem w zaskakującym kwietniowym upale. Mięśnie były mniej obolałe i ponownie poczuła radość z jazdy.

Postanowiła skierować się na Świecko, ale rzecz jasna nie mogła jechać niebezpieczną międzynarodową trasą E30. Zerknęła na mapę i po namyśle zaznaczyła długopisem drogę przez Mostki, Poźrzadło i Boczów.

Zaraz po minięciu ostatnich zabudowań w Świebodzinie poczuła dziką i oszalamiającą wolność, która wiąże się ze znikaniem. Pomyślała, że w każdej sekundzie zajmuje się tylko tym. Znikaniem z punktu, w którym była przed chwilą. Mijające ją samochody wydawały jej się ciężkie i zwaliste. Jakby w każdym siedział za kierownicą otyły mężczyzna, wtłoczony między przysadzistych pasażerów, podczas gdy jej rowerowi rosły skrzydła. W spodniach do kolan i obcisłej bluzie, pod którą włożyła zwykły T-shirt, czuła się lekka i zwinna, szczupła i wąska jak przecinek. Mocno pedałowiała, kontrolując prędkość. Może sprawił to ciepły wiatr, a może jednodniowy odpoczynek, ale jechała teraz o wiele szybciej. Zmieniła też przerzutkę na wyższą, tak by pedały stawiały większy opór, a obroty kół niosły ją dalej. Wdychała zapach spalin i przydrożnych pól. Gdyby знаła trasę, pojechałaby lasami i bocznymi drogami, ale nie chciała się zgubić i nadkładać kilometrów. Gdzie tylko się dało, jechała poboczem lub chodnikiem. Nie ustępowała już wszystkim. Nie zjeżdżała na samą krawędź szosy, co groziło wpadnięciem do rowu przy mocniejszym podmuchu wiatru. Czuła się coraz pewniej. Ufała swoim stopom na pedałach i ręką na kierownicy. Swojemu instynktowi i refleksowi. Umiejętności skupienia się wyłącznie na ruchach ciała, które poruszało się z dokładnością i precyzją, nawet jeśli bez gracji, której nie nabyła podczas krótkiego epizodu baletowego w dzieciństwie.

W okolicach Poźrzadła wyprzedziło ją dwóch rowerzystów. Krzyknęli do niej przyjaźnie, nie rozprostowując skulonych sylwetek, które nadawały im kształt precyzyjnych narzędzi dostosowanych do konkretnego celu. Wydawali się idealnie wtopieni w pęd powietrza, a ich ciała silne i gibkie nad asfaltem połyskującym w kwietniowym słońcu. Już w Poźrzadle zauważyła ich rowery zaparkowane obok zabytkowego kościoła. Był niewielki, szachulcowy i wyglądał na coś, co można zwiedzić, przypuszczalnie więc weszli do środka. Roberta pojechała dalej, by uzupełnić zapasy wody w pierwszym otwartym sklepie. Kiedy siedziała na ławce przed sklepem, pijąc łąpczywie i drapiąc się po głowie spoconej pod kaskiem, mężczyźni dotarli także tutaj, uśmiechając się do niej szeroko. Kiedy odpięli kaski, było wyraźnie widać, że jest między nimi spora różnica wieku.

Wyszli ze sklepu z butelkami wody i torbą foliową, z której starszy wyjął kilka bułek, małą kostkę masła i słoik dżemu. Poczula zapach świeżego pieczywa. Młodszy wyciągnął z plecaka nóż i zaczął kroić i smarować bułki lekko trzęsącymi się rękami. Na bladej i szczupłej twarzy miał kilka piegów, które pod wpływem słońca z pewnością wkrótce rozsieją się jak mak.

– Daleko pani jedzie?

Pomyślała, że może nabrała już tej rowerowej ogłady, która postronnym rowerzystom kojarzy się od razu z dalekimi trasami.

– Do Paryża.

– Ambitnie.

– Czy ja wiem? Nie śpieszy mi się. Mam na to sporo czasu.

– Jaką trasą?

– Na razie wiem, jak dojechać do Berlina. Później pomyślę, co dalej. – Uśmiechnęła się. – A panowie?

– Zrobimy jeszcze jakieś dwadzieścia kilometrów i wracamy. Trenujemy przed dłuższą wyprawą.

– Zapewne dłuższą niż z Poznania do Paryża.

– No trochę. Chcemy zrobić dziesięć tysięcy kilometrów wybrzeżem z Perth do Karumbi.

– To w Australii? – Spojrzała na mężczyznę ze zdziwieniem.

– Tak. W Australii. Wybierzemy się w listopadzie, tam jest wtedy lato. Może się pani poczęstuje? –

Podsunał w jej kierunku bułkę pociągniętą grubą warstwą masła i dżemu.

Zanim zdążyła powiedzieć „nie, dziękuję”, jak to miała w zwyczaju, ręka już zacisnęła się na bułce.

Zapach kusił jak żaden inny na świecie.

Chłopak wstał i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie zniknął w zagajniku, pewnie za potrzebą. W jego uważnych, ale chaotycznych ruchach było coś niepokojącego, a na bladej twarzy rysowało się zmęczenie, nie chciała jednak pytać. To milczenie, a nie pytania, skłaniało ludzi do mówienia.

– Syn jest po poważnej operacji. Uwierzyłaby pani? Niewielu sądziło, że będzie chodzić, ale ja wiedziałem. Ta Australia to ostatni etap rehabilitacji. Chcę, żeby w pełni odzyskał sprawność. Tyłu ludzi mu kibicuje. To się musi udać.

– Ma niezwykłego ojca – powiedziała Roberta, strzepując okruchy. – Jak z takim ojcem ma się cokolwiek nie udać?

Pomyślała, że nigdy wcześniej nie spotkała takich ludzi. Ludzi, którzy walczyli z chorobą ze wszystkich sił i wierzyli, że im się uda. Na takich ludzi trafiałaby, gdyby skończyła medycynę. Poznawałaby historie klęsk i happy endów, złości, pertraktowania, braku przyzwolenia. W zakładzie pogrzebowym Hades codziennie widywała tylko ludzi, którzy przegrali.

– Życzę wam powodzenia w tej Australii i... w ogóle – powiedziała do obu mężczyzn.

Młodszy nie patrzył na nią, ale starszy uśmiechał się, jakby ktoś mu przed chwilą pokazał, co to jest sens życia. Wsiadając na rower, zamiast współczucia poczuła ukłucie zazdrości. W sylwetce młodego chłopaka było coś, co przypomniało jej Grzegorza.

\* \* \*

Dobrze pamiętała dzień, kiedy się poznali. Zauważyła go znacznie wcześniej, bardzo wysokiego chłopaka o niedźwiedziej sylwetce kanadyjskiego drwala, do którego pasowałyby niedbałe dżinsy i flanelowe koszule. On jednak włosy nijakiego koloru zaczesywał gładko nad czołem, a jego liczne koszule, jakby wyjęte z szafy prowincjonalnego urzędnika, zawsze były porządnie wyprasowane i włożone w spodnie. Tacy mężczyźni nie cieszyli się powodzeniem u młodych kobiet, wiało od nich nudą. Nawet na medycynie, gdzie kryteria atrakcyjności i mody zdawały się znacznie obniżone w stosunku do innych kierunków, a korytarze Collegium Maius zapełniali wręcz chorobliwie wychudli i pryszczaci studenci oraz wymięte i rozczochrane studentki, na których tle Roberta wyróżniała się tylko wzrostem, dziewczęta nieodmiennie kleiły się do Jezusów z gorejącymi oczami w porozciąganych swetrach, śmierdzących potem i trawką.

Grzegorz był w innej grupie i tylko mijali się na niektórych zajęciach, przechodząc z sali do sali, przesiadując nad skserowanymi materiałami na korytarzach. Zdarzały się też jakieś większe imprezy, podczas których im obojgu ze względu na wzrost trudno się było wmieszać w tłum. Choć z różnych powodów, oboje czuli, że nie pasują do reszty.

Pod koniec pierwszego roku razem zdawali egzamin teoretyczny z anatomii, który odbywał się w formie ustnej u osławionej pani profesor. Spotkała go pod drzwiami do jej gabinetu. Długie nogi w przykrótkich spodniach od garnituru wyciągnął daleko przed siebie. Gdyby już wcześniej nie wyrobiła sobie opinii na jego temat, pomyślałaby, że zrobił to celowo, by ktoś się potknął i przewrócił, może nawet pani profesor wychodząca z gabinetu. Na kolanach trzymał stos notatek, gdzieś tam pomazanych żółtym zakreślaczem, ale w ogóle ich nie przeglądał.

Wyjęła chusteczkę i otarła pot z czoła i znad górnej wargi. Był bardzo ciepły dzień, ale i tak zrobiło się jej głupio, że się tak poci. Odstawiła dalej od siebie metalową popielnicę na długiej nóżce, pełną niedopałków i zapalek, i usiadła obok niego, wygładziwszy wcześniej dłonią spódnicę, tak by się nie pogniotła. Być może coś w tym gościu przykuło jego uwagę, bo dopiero wtedy naprawdę na nią spojrzął. Kto wie, czy nie po raz pierwszy. Nie pamiętała dokładnie swoich słów, ale było tam coś o pani profesor, która jest wiekową kobietą z wielką klasą i w związku z tym nie byłoby hańbą u niej oblać.

– Nie mogę oblać – powiedział, wzruszając ramionami.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że jest jedynym synem znanych w Poznaniu lekarzy. Należał do tych szczęściarzy, którzy właściwie dziedziczyli zawód po rodzicach.

Grzegorz wylosował twór siatkowaty i odbytnicę, Roberta stawy ręki i żyły powierzchowne kończyny dolnej. Pytań z pewnością było więcej, ale te zapamiętała. Do dziś miała słabość do tych właśnie części ludzkiej anatomii. Grzegorz miał trochę problemów z tworem siatkowatym, a ona zająknęła się na stawach ręki, ale oboje zdali.

Później trochę rozmawiali, schodząc do wyjścia, przedzierając się przez hol zatopiony od okna do okna w tytoniowej mgle. Ludzie nie byli jeszcze podłączeni do różnego rodzaju maszyn, komórek, laptopów, internetu i zajmowali sobie ręce i usta papierosami.

W zasadzie nie rozmawiali o niczym ważnym. Żadne z nich nie czuło niezręczności w ciszy, która zapadała raz po raz. Spytał ją, o jakiej specjalizacji myśli. Odpowiedziała, że chciałaby być chirurgiem. On planował psychiatrię. Mawiano, że psychiatrię studiują ludzie, których dzieciństwo jest pytaniem i którzy przez resztę życia będą szukali na nie odpowiedzi. O chirurgach mówiło się tylko, że piją i tak naprawdę nie są lekarzami. Równie dobrze mogliby być krawcami lub rzeźnikami. Dziś powiedziała, że chirurgia interesowała ją jako najbardziej konkretna i namacalna forma leczenia ludzi. Robiła na niej wrażenie niemal cudotwórcza moc natychmiastowego uzdrawiania, podczas gdy wszelkie inne metody zabierały znacznie więcej czasu i były poza kontrolą lekarza. Jeśli chirurg był krawcem, pozostali medycy byli ledwie sprzedawcami materiałów, wstążek, guzików.

Na gładko ogolonej i okrągłej twarzy Grzegorza dojrzała kilka zadrapań, a na jego niebieskiej koszuli w prążki niewielką tłustą plamę, widoczną dopiero w słońcu. Nie był przystojny ani nawet ładny, co przyjęła z ulgą, bo wydawał jej się przez to bezpieczny. Wyglądał na chłopaka, którego rodzice zaakceptowałyby bez mrugnięcia, gdyby przyprowadziła go na niedzielny obiad. Telewizor zostałby wyłączony, książki i gazety odłożone i wszyscy udawaliby, że w tym domu tak właśnie spożywa się posiłki – przy stole i miłej rozmowie. Pomyślała, że Grzegorz ma w sobie wewnętrzny spokój. Nie mogła się bardziej pomylić. Nie zaproponował, że podwiezie ją samochodem, nie wiedziała nawet, że jest szczęśliwym posiadaczem starej skody, ale powstał z nią uprzejmie na Fredry, czekając, aż przyjedzie jej tramwaj.

– Może powinniśmy to jakoś oblać? – zapytała, podczas gdy ósemka toczyła się leniwie z mostu Teatralnego. Zdziwiła się, bo nie lubiła się nikomu narzucać, a między okazywaniem inicjatywy i narzucaniem swojej woli stawiała w zasadzie znak równości. Wtedy jednak sytuacja wydała jej się ostateczna, jakby chodziło o pociąg, na który zdąży tylko wtedy, gdy umówią się na spotkanie.

Lekko dotknął jej spoczonej ręki, tej, którą przytrzymała przewieszoną przez ramię torebkę. Odziedziczyła ją po Annie. Była to bardzo ładna skórzana listonoszka, której upływ czasu dodatkowo się przysłużył. Najpierw pomyślała, że otarł się o jej rękę przypadkiem, choć jego dłoń mogła tam trafić tylko wówczas, gdyby próbował ją okraść lub strącić niebezpiecznego pająka. Wyraźnie jednak jej dotknął, jakby pod wpływem impulsu. Jakiś czas później powiedział, że wydawała mu się nierealna. Chciał sprawdzić, czy istnieje naprawdę.

\* \* \*

Z Poźrzadła do Słubic, w których planowała spędzić ostatnią noc po polskiej stronie, było jeszcze jakieś pięćdziesiąt kilometrów, lecz nagle zaczęło brakować jej sił, a cały pomysł wydał jej się jakąś niedorzecznością. Radość, która towarzyszyła jej rano, zaraz po wyjeździe ze Świebodzina, jeszcze w Wilkowie, a nawet przed chwilą w Poźrzadle, nagle wyparowała. Bolała ją lewa kostka, jakby źle stąpnęła na pedał. W słońcu, pod uciskiem kasku czuła pulsowanie głowy. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zatrzymać się na najbliższej stacji kolejowej, nie kupić biletu i wrócić do Poznania pociągiem. Kogo oszukiwała? Była kobietą w średnim wieku, w kiepskiej kondycji fizycznej. Myśl o pokonaniu półtora tysiąca kilometrów zaczęła ją fizycznie dławić. To już nie była myśl, tylko zator. Próbowwała przełknąć ślinę, ale krtań zdawała się całkowicie zablokowana, jakby coś stanęło jej w gardle suchym na wiór. W końcu ślina spłynęła wąską szczeliną i jeszcze raz, i jeszcze raz, do momentu, aż jej zabrakło i gardło znowu było jak zawiązane na węzeł. Nie miała już co przełykać, organizm nie nadążał z produkowaniem śliny, wydawało jej się, że się udusi. Przeraziło ją to. Pomyślała, że jeśli już ma przeżyć jakiś kryzys egzystencjalny, to może lepiej było przejść go w samolocie.

Zatrzymała się w Torzymiu przy zajeździe Chrobry, który przypominał coś w rodzaju średniowiecznego zameczku, usiadła na ławce, zdjęła buty i skarpetki. Lewa kostka była lekko opuchnięta i zaczerwieniona, nic poważnego, ale dobrze było posmarować ją maścią. W zajeździe zamówiła herbatę z cytryną i zestaw obiadowy z kotлетem schabowym, poprosiła też o wskazówki, jak dotrzeć do najbliższej apteki, w której zaopatrzyła się na dalszą część podróży. Kupiła środki przeciwbólowe, altacet na kostkę, komplet plastrów, bandaż i wodę utlenioną, aspirynę, a także coś na żołądek. O tym wszystkim pomyślałaby przecież wcześniej, gdyby świadomie przygotowywała się do tej wyprawy.

Na ławce przed apteką, ignorując ciekawskie spojrzenia, posmarowała kostkę maścią, owinęła ją ciasno bandażem i z powrotem włożyła w but. Teraz, gdy trochę odpoczęła i opatrzyła stopę, pomysł, by porzucić podróż i wrócić do domu po zaledwie kilku pierwszych dniach, wydał jej się idiotyczny. Choć raz powinna coś doprowadzić do końca. Nie tak jak było z baletem czy studiami. Poza tym bardzo chciała poznać tę drugą Robertę i była to jedyna szansa. Oczywiście miała świadomość, że Roberta mogła dawno zapomnieć o pocztówce, może nawet nie żyć, prawdopodobnie w ogóle nie pojawi się we wskazany dzień w muzeum. Jednak gdyby się tam pojawiła, by spotkać się z może jeszcze bardziej tajemniczym adresatem kartki, Roberta chciała tam być i ją poznać. To było coś więcej niż ciekawość – nagle

poznanie jej stało się sprawą życia i śmierci. Czuła, że to obsesja i dlatego nie potrafi tego zmienić.

Wsiadła na rower w popołudniowym słońcu, patrząc na swój ciemny kształt na asfalcie. W obcisłym rowerowym stroju wydawała się nawet szczupła, a może sprawiał to coraz dłuższy cień. Cień zacierał granice między nią i rowerem. Skupiła się na tym, by naciskać pedały idealnie śródstopiem. Oddychała głęboko, starając się nie myśleć o przełykaniu śliny, by nie spowodować kolejnego ataku paniki. Postanowiła zaufać ciału i przyspieszyła, z każdym metrem oddalając się od miejsca, w którym dopadły ją wątpliwości.

Po przejechaniu około trzydziestu kilometrów poczuła, że rower zaczyna się dziwnie zachowywać. Jadąc, czuła każdy kamyk i najmniejszą nierówność nawierzchni pod przednim kołem. Początkowo wydawało jej się, że to zmęczenie powoduje dziwne odczucia, monotonna trasa zalewała jej oczy ciągiem powtarzalnych punktów. Stacja podobna do stacji, motel do motelu, solidne, nawet jeśli zaniedbane, ponemieckie domki i zabudowania gospodarcze w tym samym kolorze pociemniałej cegły. Od czasu do czasu ktoś próbował coś sprzedać, ziemię, ziemniaki, mleko, miód, grochówkę, lecz jak się wydawało, bez większej wiary w to, że znajdzie klienta. Ogłoszenia często były napisane odręcznie i wbite w ziemię byle jak, niemal ze wstydem.

Po chwili jednak dalsza jazda stała się niemożliwa. Zsiadła z roweru i pomacała tylną oponę. Była twarda, nie ustąpiła pod jej palcami. Przednia, tak jak zaczęła się już ze strachem domyślać, była niemal całkowicie pozbawiona powietrza. Choć mogła się przecież tego spodziewać, mimo wszystko przystanęła zaskoczona. I znów pomyślała, że gdyby wyjazd był planowany i mogła się do niego przygotować, wzięłaby ze sobą zestaw naprawczy do dętek rowerowych. Nie powinna się przecież bez niego nigdzie ruszać, a już na pewno nie powinna się udawać niezabezpieczona w taką podróż. No i po co wrzuciła telefon do jeziora w aż zanadto teatralnym geście? Właśnie ten gest, a nie sprowadzenie do domu używanej kanapy w kwiatki lub pomysł udania się do Paryża na rowerze, był nie w jej stylu. Przecież zawsze była pragmatyczna. Teraz pomyślała, że wystarczyło go wyciszyć czy nawet wyłączyć, nie odbierać połączeń, ale mieć go pod ręką na wypadek choćby takiej sytuacji. Wiedziała jednak, że robienie sobie wyrzutów z tego powodu do niczego nie prowadzi. Była gdzieś pod Rzepinem, zostało jej jeszcze kilka kilometrów. Miała w zasadzie tylko dwa wyjścia: poprowadzić rower do najbliższej stacji benzynowej, zapewne w Rzepinie, lub do jakiegoś miejsca noclegowego, gdzie poprosi o pomoc kogoś w recepcji. Ewentualnie mogła spróbować zatrzymać jakiś większy samochód, który podwiezie ją wraz z rowerem. Tę drugą możliwość od razu odrzuciła. Wydawało jej się to nadużyciem wobec bliźnich, którzy mieli swoje pilne sprawy. W końcu zachowała się jak idiotka, nie zabezpieczając się na wypadek takiej sytuacji przed podróżą czy nawet w jej trakcie, i sama była sobie winna. Po głowie chodziły jej przysłowia chętnie cytowane przez rodziców, czyli „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”, „Każdy jest kowalem swojego losu”, czy inne właściwe im powiedzenia, że trzeba umieć ponosić konsekwencje własnych decyzji i że w życiu trzeba się nauczyć polegać na sobie. Była to przesiąknięta niemal ewangelicką pewnością filozofia, która teraz, gdy o tym myślała, napawała ją smutkiem. Stawiała na samotność człowieka, na jego przedziwną samowystarczalność, która była krainą, gdzie nikt nie mógł mu niczego odebrać, ale też nie mógł mu niczego dać. Ta filozofia mocno zakorzeniła się w jej głowie i Roberta teraz spaliłaby się ze wstydu, wyciągając rękę do nieznanym i prosząc ich o pomoc w konsekwencji własnej głupoty.



Zdjęła kask, pod którym parowała jej głowa, i przypięła go do bagażnika roweru. Rower nadal stawiał lekki opór, ale pozbawiony jej ciężaru posuwał się do przodu. Znowu poczuła ból kostki, wyraźniejszy teraz, gdy stopami dotykała ziemi. Uczucie było tak dziwne, jakby dopiero co zeszła z trampoliny lub zdjęła wygodne buty. Spojrzała na zegarek umieszczony na rowerowym liczniku. Było po osiemnastej i wkrótce miało się zrobić ciemno. Sklepy już pozamykano. Z ulgą dotarła wreszcie do stacji benzynowej w Rzepinie, ale nie mieli tam żadnych łat i nie potrafili jej pomóc.

– Znam ten ból – wysapała kobieta, która ustawiła się za nią w kolejce tak cicho, jakby podeszła na palcach.

Początkowo Roberta pomyślała, że to jedna z tych nowoczesnych neurotycznych osób, które nawiązują kontakt z otoczeniem, mówiąc do siebie. Była niska, dużo niższa od Roberty. Miała może metr sześćdziesiąt wzrostu i to na obcasach.

– A oni nigdy nic nie mają, prawda? A już na pewno nie mają tego, czego potrzebujemy. – Tym razem kobieta odezwała się głośniej, tak by Roberta obejrzała się ponownie i aby obie mogły stanąć po jednej stronie barykady.

Po drugiej był młody mężczyzna za ladą, który bezradnie rozłożył ręce, bo nie potrafił pomóc Robertcie.

– W takim razie wezmę herbatę.

Termos Roberty był już pusty, a miała ochotę na coś gorącego. To zawsze działało na nią krzepiąco.

– Dobrze, że chociaż herbatę mają. – Odwróciła się z uśmiechem do kobiety.

– Nie lubię się narzucać, ale jeśli pani chce, podwiozę panią do siebie i coś poradzimy z tym rowerem. Proszę sobie wyobrazić, że mam w domu taki zestaw. Należy do syna, ale na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Naprawdę? Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

– To żaden kłopot. Jest tylko jeden problem: mieszkam w Słubicach.

– To się świetnie składa, bo zanim złapałam gumę, zmierzałam właśnie do Słubic.

– Na Boga, po co do Słubic? That godforsaken town of ours. Och, przepraszam za to. Zboczenie zawodowe. Uczę angielskiego. My anglistki podobno wszystkie jesteście szurnięte. – Kobieta zachichotała.

Przypominała teraz Robertcie niesfornego chochlika. To, że miała dzieci, sprawiło, że Roberta spojrzała na nią z ufnością, jakby dzieci miały być gwarancją normalności pomimo tego, co właśnie powiedziała.

– Planowałam zatrzymać się tam na noc. – Roberta odsunęła się ze swoją herbatą, tak by kobieta mogła zapłacić za paliwo i zamówić dla siebie kawę.

Usiadły na wysokich stołkach przy niewielkim parapecie udającym stolik dla podróżnych. Kobieta położyła swoje niewielkie stopy, stopy dziecka, na metalowej podpórce, w innym przypadku wisiałyby w powietrzu. Roberta przygarbiła się trochę, tak by wyrównać poziom ich głów, i zdjęła wieczko z papierowego kubka.

– Nie lubię pić przez tę małą dziurkę.

– Te kubki w ogóle są bez sensu, ale kawa nawet niezła. Zwykle na stacjach mają napoje kawopodobne o smaku starych fusów parzonych ze starych fusów.

Zaśmiały się i rysy kobiety, jej spiczasty podbródek, ostry nos, na chwilę złagodniały.

– Mam na imię Magda. Zawsze tak robisz w chwilach stresu? Pijesz herbatę? Bardzo po angielsku.

Wciąż cię jednak nie rozumiem. Dlaczego akurat Słubice?

– Miałam zamiar dotrzeć tam dziś na nocleg. Chciałam się tylko przespać, a jutro ruszyć dalej, już po stronie niemieckiej. Jestem w dłuższej podróży.

Magda obrzuciła szybkim wzrokiem jej plecak, kask i kurtkę.

– Nie wyglądasz. Myślałam, że jesteś stąd, po prostu na wiosennym wypadzie. Z daleka jedziesz?

– Z Poznania.

– Fiu, fiu. To niezła z ciebie zawodniczka.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Wiesz, nie mam zbyt dobrego tempa. Szybko się męczę. Na początku maja chcę być w Paryżu. Mam nadzieję, że się uda.

– W Paryżu. No, no, no. A co cię tam gna? Zresztą nie mój interes. Wszystko przez ten nos. – Dotknęła czubka swojego nosa. – Pewnie wydaję ci się wścibska, a jestem po prostu znudzona. Poważnie, nie śmiej się. Słubice: sceny z życia prowincjonalnej nauczycielki. Sama widzisz. Nasze spotkanie to najciekawszy punkt mojego dzisiejszego dnia. Można powiedzieć, że czerpię korzyści wszędzie, gdzie mogę. Wysysam je nawet z twojej nieszczęsnej przedziurawionej dętki.

Roześmiały się. Roberta dawno nie spotkała kogoś tak bezpośredniego, ale mimo wszystko się zawahała. Kobieta była bardzo miła, w dodatku zaproponowała pomoc. Może na tym to właśnie polegało – na przyjmowaniu pomocy obcego człowieka i oferowaniu w zamian swojej historii. „Nie można mi niczego zabrać i nie można mi niczego dać”, chodziło jej po głowie jak mantra. Chciała podziękować kobiecie za towarzystwo i powiedzieć, że jakoś sobie poradzi, w końcu doczłapie do jakiegoś motelu. Spojrzała jednak przez szybę na różowawy zmierzch, który zapowiadał kolejny piękny wiosenny dzień. Na swoją bolącą kostkę. Na nie w pełni sprawny rower zaparkowany pod stacją. Samowystarczalność była mitem wymyślonym przez ludzi, którym zabrano już tak dużo, że nie chcieli tracić więcej. Lepiej było tkwić w tym samym stanie, utrzymywać status quo. Żadnego przyrostu, ale też już żadnej więcej utraty. Przez wiele lat była jedną z takich osób. Kto wie, być może nawet stała na czele całej grupy.

„Do diabła z tym”, pomyślała i wcisnęła rower, a następnie siebie do starego opla kombi Magdy.

Idąc za Magdą po schodach do jej mieszkania na pierwszym piętrze, znowu poczuła się nieswojo. Nie, nie bała się. Magda nie wyglądała na psychopatkę, która chce zwabić ją do swojego lokum, pokroić na kawałki i zjeść. Robiła raczej wrażenie osoby, która niemal desperacko potrzebuje towarzystwa. Właśnie dlatego, że od początku poczuła do niej sympatię, nie spodobała jej się lekkomyślność kobiety, która okazuje nieograniczone zaufanie obcemu człowiekowi i zaprasza go do swojego samochodu, a następnie mieszkania tak bez troski, jakby na świecie nie było tego zła, o jakim codziennie czyta się w gazetach. Jakby nastolatki nie oblewały kwasem swoich przyjaciółek, zdesperowani starcy nie zmieniali pracownic opieki społecznej w żywe pochodnie, dorośli mężczyźni nie topili dzieci w rzekach, a studenci medycyny nie mordowali z premedytacją samych siebie.

– Co się tak czaisz? – Magda przystanęła na półpiętrze, by zmniejszyć dystans, który Roberta świadomie próbowała między nimi zachować.

Spodziewała się, że w mieszkaniu ktoś będzie im towarzyszył, może wspomniany syn lub mąż Magdy –

wolała, by tak było. Mieszkanie okazało się jednak puste. Magda zgarnęła płynnym ruchem ręki butelkę po winie, która stała obok laptopa, i jeden brudny kieliszek.

– Usiądź, proszę. Gdziekolwiek. A ja zaraz poszukam tej łaty.

Z triumfem wyciągnęła plastikowe opakowanie z jednej z szuflad.

– Mam nadzieję, że wiesz, co się z tym robi.

– Mniej więcej, ale jest instrukcja, więc na pewno dam radę. Tylko już jutro rano, gdy będzie jasno, a ja trochę odpocznę.

– Syn by ci pomógł, ale go nie ma. Studiuje na pierwszym roku. Ekonomię – dodała z dumą.

– Nie wyglądasz na osobę, która ma dorosłego syna – wtrąciła Roberta zgodnie z tym, czego zdaje się od niej oczekiwano, ale Magda rzeczywiście wyglądała bardzo młodo.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko, znowu robiąc ten trik ze swoją twarzą.

Robertę fascynowały ludzkie uśmiechy. Człowiek, któremu uśmiech w ten sposób zmieniał całą twarz, nie mógł mieć nic do ukrycia, żadnej kałamarnicy schowanej w głowie, toczącej mózg niczym najgorszy z pasożytów.

– Gdzie planowałaś się zatrzymać w naszym uroczym miasteczku?

– Cóż, na pewno macie tu jakiś hotel.

– Pewnie, że mamy. Na przykład hotel Relax w centrum. Nie mam pojęcia, jak tam jest, bo człowiek nigdy się nie szwenda po hotelach we własnym mieście, prawda? Chyba że... chyba że... – Najwyraźniej nie zamierzała kończyć zdania. – Dlaczego po prostu nie prześpisz się u mnie? Syna nie ma, raz-dwa naszykuję ci jego łóżko. Rower postawimy w piwnicy i już. Co ty na to?

Roberta spojrzała na nią z przerażeniem. Jak mogła zachowywać się z taką beztroską? Była taka niewielka, że Roberta bez trudu mogła ją zaatakować, zabić, okraść, zgwałcić. Co z tą kobietą było nie tak? Spojrzała na nią z zawstydzeniem, co Magda mylnie wzięła za skruchy.

– No naprawdę. Żadnego problemu. W hotelach przecież się jeszcze namieszkasz, zanim dotrzesz do Paryża. Wiesz, ja jestem z tych głupich ludzi, którzy wierzą w karmę. Wierzę, że nie żyjemy pro publico bono, a za dobre uczynki wszechświat dziękuje nam w ten czy inny sposób. Potrzebuję teraz dobrej karmy. Tak naprawdę to ty zrobiłabyś mi przyjemność, zgadzając się.

– Czy ty zawsze się tak zachowujesz?

– Jak?

– Przecież mnie nie znasz, nie możesz mi ufać, tymczasem zapraszasz mnie do swojego samochodu, do swojego mieszkania, teraz jeszcze chcesz, bym została na noc. Jak możesz być taka ufna?

– No wiesz, nigdy nie wiadomo. Ostatecznie to ja mogę być psychopatką, która zwabia niewinne ofiary do swojego lokum. No, nie patrz tak na mnie. Wiem, moje gabaryty nie bardzo pasują do tej roli. Mogłabym być co najwyżej psychopateczką. – Zaśmiała się krótko. – Nie jestem psychopatką. Dawno temu postanowiłam ufać ludziom. Stwierdziłam, że wolę się od czasu do czasu pomylić lub zwyczajnie naciąć, niż spędzić całe życie w nieufności. Nie ufać ludziom to musi być bardzo męczące.

– To jest męczące. – Roberta pomyślała, że kiedyś była ufniejsza, bardziej otwarta. Poznawała nowych ludzi, wręcz szukała ich towarzystwa, a świat wydawał jej się sprawiedliwym miejscem, gdzie wystarczy dać z siebie wszystko i żyć, realizując maksimum swojego potencjału, tak jak uczyli ją rodzice. Nie chciała spać u Magdy, ale nie widziała innego wyjścia. W tej sytuacji nie chciała urazić jej uczuć.

Magda przygotowała coś do jedzenia, a ona wyjęła z plecaka mapę i pokazała jej przebytą trasę i tę zaplanowaną na kolejne dni. W trzy dni pokonała około stu osiemdziesięciu kilometrów, przemierzając samochodem tylko ostatnich dwadzieścia. Wiedziała jednak, że nie utrzyma takiego tempa przez cały czas. Już teraz czuła zbyt duże zmęczenie, spadł też początkowy entuzjazm czy raczej minął szok związany z liczbą decyzji, które nagle musiała podjąć, a każda z nich wykraczała poza jej tak zwaną codzienność. No i ta nieszczęsna kostka.

Sączyły wino, Roberta ostrożnie, bo rzadko piła alkohol i szybko poczuła zdradliwe pulsowanie pod skórą, fale gorąca. Magda natomiast piła łąpczywie, jak ktoś, kto się wstydzi, że pije, i chce jak najszybciej pozbyć się dowodów.

Podeszła do laptopa i po omacku przycisnęła jakiś klawisz. Ekran rozjarzył się nagle, rozświetlając półmrok, w którym siedziały. Zaczęła zamykać okna otwarte na ekranie. Było ich znacznie więcej niż u młodej recepcjonistki w hotelu w Świebodzinie. Robertcie wydało się, że ma ich pootwieranych dziesiątki, a w każdym konwersacje, drobny maczek liter.

– Przepraszam cię na chwilę, tylko tu wszystko zamknę i wyłączę laptop.

– Masz wielu znajomych.

Magda wzruszyła ramionami.

– Ależ skąd. To tylko Facebook. To przecież nic nie znaczy. Czasem, gdy chce się pogadać, tam zawsze można kogoś znaleźć. To jak ogrzane centrum handlowe. Takie ocieranie się o ludzi bez żadnych konsekwencji. Wchodzisz i czujesz, że jednak nie było żadnej apokalipsy, ludzie nie powymierali. Masz konto na Facebooku?

Roberta pokręciła głową.

– Wiesz, jak mówią: w takim razie nie istniejesz. – Magda się uśmiechnęła.

Roberta wyobraziła ją sobie, jak siedzi przy laptopie w bezsenne noce, podłączona setkami światłowodów, programów i aplikacji z innymi ludzkimi istnieniami. Wyobraziła sobie pulsujące światłem podniebne miasto, przypominające z daleka oświetlone elektrycznie kości komputera, i zaludniające je ludzkie hologramy, podczas gdy ich ciała, wydrążone skorupy, drzemią podłączone do maszyn w różnych punktach świata.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Było urządzone nowocześnie i na pewno bardziej dla wygody właścicieli niż na pokaz. Nigdzie nie zauważyła książek, za to wszędzie panoszyły się płyty z muzyką. Kilka metalowych słupków, których pierwotnym przeznaczeniem było raczej przechowywanie akt pracowniczych, ktoś przekształcił w stojaki na płyty. Płyty leżały też na parapecie i na niewielkim stoliku ze szklanym słojem, w którym pływały dwie kolorowe rybki.

– Czego słuchasz? Jakies konkretne życzenia? – Magda zamknęła komputer i podeszła do wieży wyglądającej na dość drogą.

– Nie mam wyrefinowanego gustu. W pracy najchętniej słucham klasyki.

– A czym się zajmujesz?

– Pracuję w zakładzie pogrzebowym.

– A to ci dopiero!

Robertcie po raz kolejny udało się wprawić Magdę w zdumienie. W jej spojrzeniu było widać rozbawienie i podziw. Zresztą była już chyba nieźle wstawiona.

– Ale przy zmarłych czy tylko odbierasz telefony?

– Przy zmarłych.

– Nie boisz się?

– Kwestia przyzwyczajenia.

– No tak. Podobno człowiek do wszystkiego może się przyzwyczać. Ludzie czasem mówią, że gdyby w ich życiu coś się stało, no wiesz, coś straaaaaszego, toby umarli lub zwariowali. A później takie rzeczy się dzieją i nic. Żyją dalej i ani krztyny szaleństwa. Wstają, sprzątają, robią zakupy i nawet nie wyglądają na wariatów. Puszczę ci coś. Moje najnowsze odkrycie. Kendra Morris. Słyszałaś? Na pewno nie słyszałaś. Jest mało znana w Europie, a szkoda. Fantastyczna, ma perkusję w głosie. Nie chciałabyś mieć perkusji w głosie? No, powiedz.

Roberta tylko uśmiechnęła się grzecznie, patrząc, jak Magda pochłania wino ze swojego kieliszka w piorunującym tempie. W pewnej chwili wydało jej się, że gospodyni jest owadem, który przyczepił się do dna otworem gębowym z przyssawką.

– Ta cała muzyka jest twoja?

– Głównie moja, trochę mojego męża. Zwolnili go dwa lata temu – dodała, choć Roberta nie pytała. – Nie mógł znaleźć tu pracy i teraz siedzi w Niemczech. Przyjeżdża w weekendy, ale nie we wszystkie. Drogo wychodzi, a my tu na prowincji liczymy pieniądze bardziej niż wy w metropoliach. Teraz, jak widzisz, go nie ma.

W pokoju rozległy się bardzo przyjemne dźwięki, za sprawą nie tylko muzyki, ale też dobrego nagłośnienia. Magda zrzuciła buty i zakręciła kilka razy biodrami, dolewając sobie wina. Robertcie przypomniawszy się anglistka z liceum i ta z lektoratu ze studiów. Obie miały fioła na punkcie muzyki. Nauczycielka z liceum fascynowała się brytyjskim punkiem, a ta ze studiów alternatywnym amerykańskim rockiem. Czy muzyka miała dla nich takie znaczenie, bo była kluczem do anglosaskiej kultury i języka angielskiego, który był ich pasją, czy odwrotnie, najpierw kochały tę muzykę, a dopiero później przychodziła fascynacja językiem i kulturą? Przez chwilę rozważała, czy nie zapytać o to Magdy, ale trudno było się wstrześcić w jej potok słów, dała więc za wygraną.

– Na przykład mój mąż, wiesz – kontynuowała Magda nie wiadomo który już wątek.

Roberta starała się uważnie śledzić je wszystkie, wyjątkowo świadoma w tym momencie, że nie jest osobą, która prowadzi kilkanaście konwersacji jednocześnie na czacie, że nie ma nawet wirtualnego konta i może to wpływać na jej sposób interakcji. Rozmowa z Magdą nie była podobna do rozmów, do jakich Roberta przywykła: spokojnych rozmów z matką, delikatnych i współczujących rozmów z klientami Hadesu, pełnych ukrytych pretensji po obu stronach rozmów z siostrami. Magda zdawała się nie tyle rozmawiać, ile zarzucać ją kolażem rozmaitych informacji z życia własnego i osób ze swojego otoczenia. Na tym podobno polegała nowoczesna sztuka: na wycinaniu tego, co intrygujące dla danego artysty, i wklejaniu do własnego dzieła. W ten sposób powstawały plamy dźwięku, plamy fabuły, plamy koloru. Spojrzała na Magdę, jakby była jednocześnie artystą i autoportretem. Wydała jej się niejednolita jak kolaż, gładko--chropawa, jasno-ciemna.

– Mój mąż zawsze powtarzał, że jeśli go zdradzę, to sam nie wie, co robi. Zastrzeli siebie albo mnie, albo najpierw siebie, później mnie. Nie, czekaj, tak to się nie da. No, w każdym razie że mi nigdy nie wybaczy. A teraz mam kochankę i oboje udajemy, że on o tym nie wie. Wiesz, dlaczego tak się dzieje?

Roberta pokręciła głową. Tym razem jednak Magda oczekiwała od niej konkretnej odpowiedzi. Może gdyby jej udzieliła, spłaciłaby w ten sposób dług, podziękowała za transport, łąkę, kolację, wino i nocleg.

– Ja też nie. Czasem się zastanawiam, czy nie zdradzam go tylko dlatego, że... mogę. Uchodzi mi to na sucho. Poza tym tyle czasu spędzam sama, odkąd syn wyjechał. Mąż mówi, że poświęcałam dziecku zbyt wiele czasu, dlatego teraz czuję się taka samotna.

– Mam tę płytę Nirvany. – Roberta chwyciła w dwa palce znaną okładkę płyty Nevermind z charakterystycznym bobasem nurkującym w basenie za jednodolarowym banknotem. – Tylko winylową.

– Mogę puścić. Chcesz?

– Nie. Jest dobrze. Zostaw, proszę.

– Ciekawe swoją drogą. Czasem tak myślę o pozostałych gościach z Nirvany. No wiesz, basista Krist Novoselic i perkusista, nie pamiętam, jak mu było. Kiepsko z takim frontmanem. Przecież strzelając sobie w łeb, zabił nie tylko siebie, zabił ich zespół, ich muzyczną przyszłość.

– Samobójcy chyba o tym nie myślą. No wiesz, o ludziach, których zostawiają. Ale masz rację: zabijają nie tylko siebie.

– Dolać ci jeszcze?

Roberta zasłoniła kieliszek dłonią.

– Dziękuję. Muszę być jutro w formie.

– Weź mnie ze sobą – poprosiła Magda bełkotliwie, dopijając resztę wina. – Byłoby ci różniej, prawda? Nie będę ci przeszkadzać, będę sobie po prostu jechać za tobą. Mam sprawny rower. A tu nikt nawet nie zauważy, że mnie nie ma, bo kto? Uczę angielskiego maluchy w przedszkolu. Są słodkie, ale cofam się do zestawu dwudziestu słów. Wystarczy dwadzieścia angielskich słów, by zaśpiewać nieskończoną liczbę piosenek z maluchami, wiedziałaś o tym? Założę się, że nie. Nieskończoność, czyli „infinity”. Ładne słowo, prawda? Infinity. – Tym razem wymówiła je, jakby miało dwa razy więcej sylab. – Ale po co przedszkolakom nieskończoność, koncept, nad którym nie mają powodu się zastanawiać? Syn jest na studiach. Ekonomia, rozumiesz. – Ponownie uśmiechnęła się z dumą, zanim jej głowa opadła na poduszkę niemal w połowie zdania.

Roberta spojrzała na pajęczynę śliny w jej ustach i przykryła Magdę pledem. Sama wzięła szybki prysznic, ponownie posmarowała spuchniętą kostkę altacetem, wzięła środek przeciwbólowy i znalazła drogę do łóżka w pokoju syna. Nie zawracała sobie głowy zmianą pościeli, zresztą nie wiedziałaaby nawet, gdzie szukać świeżej. Gdyby zaczęła grzebać Magdzie po szafkach, poczułaby się jak złodziejka, która chce udowodnić gospodyni, że tkwi w błędzie, bo ludziom nie należy ufać.

Na biurku obok łóżka stała rodzinna fotografia przedstawiająca małego chłopca w wieku wczesnoszkolnym, może w pierwszej lub drugiej klasie, z rodzicami. Magda zdawała się na zdjęciu mniej kanciasta, nie tylko dlatego, że była młodsza – była pulchniejsza. Towarzyszył jej mężczyzna tak diametralnie różny od niej fizycznie, że aż przykuwało to uwagę. Wszystko to, co u Magdy było drobne, u niego było duże. To, co u niej było ciemne, u niego było jasne. Uśmiechał się szerokim i spokojnym uśmiechem kogoś, kto właśnie poukładał sobie życie i komu się wydaje, że wystarczy to zrobić tylko raz. Odłożyła zdjęcie na miejsce, wcześniej czyszcząc zakurzoną ramkę rękawem koszulki. Wczołgała się pod kołdrę, czując wąty zapach jakiegoś płynu po goleniu i nie do końca ulotniony piżmowy zapach męskiego potu.

\* \* \*

Znowu przyśnił jej się dziwny sen. Była w nim Magda, jej mąż ze zdjęcia, trochę przypominający Kurta Cobaina, ale zamiast w mieszkaniu w Słubicach byli w jej domu w Poznaniu, na Malwowej. Chodzili po wnętrzu pełnym starych przedmiotów, które najpierw ojciec, a potem Roberta lubili wynajdywać na pchlich targach i giełdach staroci.

Magda we śnie była taka jak podczas spotkania z Robertą, niska i szczupła o niespokojnej twarzy, po której emocje przemykały jak chmury podczas wietrznej pogody. Tylko jej mąż, cobainowaty blondynek, był o wiele młodszy, jakby wyszedł ze stojącej na biurku syna ramki.

– Po co ci to? – spytała Magda, podnosząc z biurka w jej sypialni jeden z najpiękniejszych łupów, starą niemiecką maszynę do pisania marki Adler, która nawet nie była sprawna. – Przecież nie jesteś pisarką. Nic nie piszesz, prawda? Jeździsz rowerem, malujesz trupy, jeździsz rowerem, malujesz trupy. – Wpadła w trans.

Jej mąż, jak to we śnie, swoista licentia oniryka, pojawił się nieoczekiwanie trochę obok nich, a trochę niczym wstawka z całkiem innego filmu i włożył sobie w usta rewolwer. Nagle jakby zdjął maskę, pod jego twarzą ukazała się twarz Grzegorza.

– Oh my God – powiedziała wyraźnie Magda, przewracając gałkami oczu bardziej jak opętana dziewczynka niż amerykańska nastolatka. – Chyba się nam tu nie zabijesz?

\* \* \*

Roberta obudziła się, powoli przyzwyczajając oczy do panujących w pokoju ciemności. Rolety były szczelnie zasłonięte, więc nie miała pojęcia, jak długo spała. Spojrzała na mały elektroniczny zegarek na biurku. Jeśli dobrze chodził, zbliżała się szósta rano. Przypomniał jej się sen i postanowiła jeszcze pospać. Nie po to, by się dowiedzieć, co będzie dalej, ale by o nim zapomnieć.

Obudziła się ponownie o wiele później, gdy w mieszkaniu unosił się zapach jajek i dźwięki jej ulubionego nokturnu Chopina, cis-moll. Pomyślała, że musi zadzwonić, by sprawdzić, co u matki, i poczuła znajome wyrzuty sumienia wynikające z bliżej nieokreślonego zaniedbania, wkręcające się w kręgosłup niczym śruba. Mimowolnie pochyliła głowę.

– Zjesz jajecnicę? A może jajka na miękko? – Magda krzątała się w kuchni bez żadnych śladów zeszłej nocy na twarzy. – Słuchaj, przepraszam cię za wczoraj. Za dużo wypiałam i odleciałam na kanapie. Kiepska ze mnie gospodyni. Włączyłam Chopina, mam nadzieję, że lubisz; wspominałaś wczoraj, że słuchasz klasyki.

– Czy mogłabym skorzystać z twojego telefonu? Przepraszam, nie mam ze sobą komórki.

Magda po raz nie wiadomo który spojrzała na nią z mieszkanką podziwu i osłupienia, do której Roberta zaczynała się już przyzwyczajać.

– Pewnie, że tak. Tylko nie dzwoń do Honolulu, błagam. – Podała jej swoją komórkę.

Matka odebrała zdyszana.

– Wszystko w porządku, mamó?

– A dlaczego miałoby być nie w porządku? Dzwoni tylko ktoś co chwila. Ty albo twoje siostry – dodała gderliwie.

– Jesteś trochę zdyszana, jakbyś biegła.

– Biec nie biegłam, ale właśnie wracam ze sklepu. Otworzyli warzywniak na rogu, tam gdzie wcześniej był mięsny, a ty nic nie mówiłaś. Stamtąd trzeba było owoce brać, a nie z marketu. Jakie ładne mają mandarynki. Nigdy nic nie mówisz. Milczek jak ten twój ojciec.

Roberta pomyślała, że może matka widziała w niej najmniej podobieństw do siebie, dlatego była rozczarowaniem, taka powolna, cicha i uległa, kochająca stare przedmioty.

– Cały czas tam kupowałam.

– No nie wiem. Takich ładnych nie przynosiłaś. Sama sobie wybrałam, każdą jedną; i w dodatku jakie miłe młode małżeństwo ten sklep prowadzi. Wiedziałaś, że on jest aż z Zamościa? Wyobraź sobie, że ich matki poznały się na jakiejś wycieczce zagranicznej. Na statku z przezroczystym dnem w Tunezji. Zaprzyjaźniły się i później jedna drugą odwiedziła z córką. A ta córka poznała syna tamtej i bach, wielka miłość. Niesamowita historia, prawda?

– Niesamowita – zgodziła się Roberta. Dawno nie słyszała matki tak podekscytowanej.

Kiedy ojciec żył i jeszcze wychodziła z domu, przynosiła takie opowieści. Ojciec potakiwał nieobecny, człowiek nauki zakopany w książkach i pracach swoich uczniów, ale przecież słuchał jednym uchem. Matka nie zawsze miała coś dobrego do powiedzenia o swoich bliźnich. Wydawało jej się, że podejmują złe decyzje, z którymi ona w tych samych okolicznościach poradziłaby sobie znacznie lepiej. Wygłaszała opinie, z którymi ojciec niejednokrotnie się zgadzał, nawet jeśli się krzywił. Opinie o sąsiadach, krewnych, znajomych. Sam nigdy nie powiedziałby o nich nic złego, wszelką złośliwość poprzedzała wzmianka „wasza matka mówi”. W przeciwieństwie do niej uważał, że ludzie podejmują dobre decyzje, z którymi on w tych samych okolicznościach poradziłby sobie gorzej. To przez te okoliczności, które uznawał za łagodzące, nie potrafił się zdobyć na to, by ich krytykować.

Roberta milczała przez chwilę, czekając, aż matka zapyta, co u niej słyhać, ale nie zapytała. Może się obraziła.

– Kot nadal się u ciebie stołuje?

– Przychodzi. Na noc tylko wychodzi, a w dzień śpi na tej twojej kanapie. Darmozjad. Ale wdzięczny taki. Nie każdy potrafi podziękować za jedzenie i dach nad głową.

Robercie zaczęło się wydawać, że matka używa kota, by ją krytykować. Im bardziej była z niego zadowolona, tym bardziej rozczarowywała ją najmłodsza córka.

– Kiedy wrócisz, pewnie cię nie pozna – dodała, jakby kot był jakimś podrzuconym matce przez Robertę nieślubnym dzieckiem.

Rozłączyła się szybko, tym razem tłumacząc się śniadaniem, które właśnie miała przyszykować dla siebie i kota. Zresztą Roberta nie chciała nadużywać uprzejmości Magdy. Otworzyła portmonetkę i wyjęła kilka banknotów. Może powinna była jej zostawić dwieście złotych w podziękowaniu za gościnę, pomoc z rowerem i rozmowę telefoniczną? Wiedziała, że Magda nie przyjmie tych pieniędzy, może nawet poczułaby się dotknięta tym gestem. Schowała pieniądze, spakowała plecak. Za chwilę jednak wyjęła kilka banknotów i położyła je pod zdjęciem.

Rano Magda najwyraźniej już nie pamiętała o pomyśle dołączenia do Roberty. W świetle dnia jej życie wyglądało inaczej, mniej dramatycznie. Towarzyszyła jej przy naprawie dętki i napisała na kartce swój adres.

– Gdy dotrzesz do Paryża, koniecznie wyślij mi pocztówkę.



– Nie „gdy”, tylko „jeśli” dotrę.

– E tam. Na pewno dotrzesz. Trzymam za ciebie kciuki.

Roberta także podała jej swój adres i numer telefonu. Polubiły się, ale nie były małymi dziewczynkami żegnającymi się pod koniec kolonii. Nie miały złudzeń, że uda się utrzymać ten przypadkowy kontakt.

\* \* \*

Było już po dwunastej, gdy Roberta zostawiła za sobą pierwszy kilometr przejechany po stronie niemieckiej. Z mapy wynikało, że ze Słubic do Berlina jest około osiemdziesięciu kilometrów. Wiedziała, że nie da rady tyle przejechać tego dnia, ale zawinięta na noc kostka wyglądała już znacznie lepiej, a ona, wciąż rozluźniona po wczorajszym winie, czuła, że rozpiera ją energia. Pomyślała, że połowę tego dystansu powinna pokonać bez trudu. Poczuła radość, zostawiając za sobą Polskę, bo nie pamiętała już swojej ostatniej zagranicznej podróży. Drogi i tablice, zabudowania, nawet lasy nabrały nagle ekscytującej inności. Każdy element zdawał się nosić ślady niemieckiej gospodarskiej krzątaniny. Cały świat mógł stawać na głowie, a oni po prostu robili swoje.

Kiedy zobaczyła pierwszy drogowskaz do Fürstenwalde nad Sprewą, do którego ze Słubic było niecałe czterdzieści kilometrów, postanowiła właśnie tam zatrzymać się na noc. Wyobraziła sobie przyjemny niemiecki motel z białą pościelą wykrochmaloną na chrupko i zimną wodą, smaczną, jakby przed chwilą spłynęła z gór.

Kierowcy po stronie niemieckiej zdawali się lepiej nastawieni do rowerzystów. Nie wymijali jej gniewnie, raczej z łagodnością ludzi, którzy w wolnych chwilach sami dużo jeżdżą rowerem. Mijały ją też grupy rowerzystów w identycznych kamizelkach odblaskowych. Wyglądali jak harcerze w jednobarwnych chustach. Stwierdziła, że to bardzo odpowiedzialne i bezpieczne, a kto wie, może nawet obowiązkowe na niemieckich drogach. Postanowiła zaopatrzyć się w taką kamizelkę na najbliższej stacji.

Gdy przejechała około dwudziestu kilometrów, na niebie zaczęły się pojawiać ciemne chmury. Zdawały się wisieć coraz niżej, przykrywając horyzont. Przestraszyła się, że dopadnie ją pierwszy deszcz podczas tej wyprawy i nie zdąży dotrzeć do wymarzonej chrupkiej pościeli ani krystalicznie czystej wody. Właśnie jechała przez las, gdy nieśpiesznie dotarły do niej pierwsze krople. Początkowo wyglądały jak woda, która po deszczu spada z drzew, ale w ciągu kilku minut kropel przybywało, poczuła deszcz w oczach, jego łaskoczące kosmyki na odsłoniętym karku. Zatrzymała się, by zaciągnąć na głowę kaptur i choć częściowo zabezpieczyć plecak foliowym workiem. Po chwili rozpadało się na dobre, a jej całkiem solidna nowa kurtka coraz słabiej dawała sobie radę ze zmasowanym atakiem wilgoci. Do nowej listy zakupów z kamizelką odblaskową na czele dopisała okulary ochronne. Deszcz się nasilał. Przez chwilę rozważała nawet schronienie się w lesie, w którym gęste korony drzew mogły dawać choć częściową ochronę, ale pomysł wydał jej się głupi. Nie powinna była stać w miejscu. Powinna się przemieszczać. Gdzieś niedaleko znajdzie stację benzynową. Będąc nie wiadomo gdzie, daleko od domu, po raz pierwszy poczuła wyraźną różnicę w podróżowaniu samochodem i rowerem. Była to nie tylko kwestia prędkości, ale też narażenia na żywioły. Na rowerze człowiek stawał się częścią natury, co było całkiem przyjemne, gdy pogoda sprzyjała.

Wjeżdżając raz po raz w kałuże, które coraz trudniej było wyminąć, dojechała do najbliższej stacji,

gdzie usilnie proszono o zachowanie czystości. Jej szkolny niemiecki był kiepski, ale teraz ku własnemu zaskoczeniu wyjmowała z różnych zakamarków pamięci niemieckie słowa, a gdy ich nie pamiętała, posiłkowała się przedziwną intuicją, która pozwalała jej się domyślić, co dane słowo oznacza. Poszła do toalety. Na całe szczęście plecak udało się uratować przed powodzią, więc mogła się przebrać w suche spodnie, skarpety i bluzę. Wytarła się też dokładnie papierowymi ręcznikami. Gorzej było z butami i kurtką, które musiały wyschnąć. Postanowiła przeczekać największą ulewę i trochę wysuszyć się w barze przy stacji. Wcześniej kupiła okulary ochronne i kamizelkę odblaskową. Poczula się jak harcerka, więc wzięła też latarkę. Była mała, poręczna i kosztowała tylko kilka euro, a sprawiła, że Roberta odniosła wrażenie, że jest lepiej przygotowana. Miała przy sobie jeszcze kawę w termosie, którą rano przyrządziła jej Magda. Stwierdziła, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli wypije ją w lokalu. Zamówiła frytki z kiełbasą, które reklamowano jako specjalność restauracji, i usiadła przy dużym pustym stoliku. Miejsca przy innych były zajęte głównie przez pojedynczych podróżnych. Przy jednym siedziała młoda rodzina z dwójką małych dzieci. Mężczyzna patrzył w swój telefon komórkowy, odpowiadając kobiecie od czasu do czasu monosylabami, podczas gdy ona próbowała karmić piersią niemowlę. Wyglądali na Turków. Niedaleko wyjścia usiadła grupa mężczyzn w czarnych roboczych kombinezonach. Dopiero po dłuższej chwili Roberta zdała sobie sprawę ze szmeru, który panuje wokół niej. Szybko wymawianych i niezrozumiałych słów dźwięczących w różnych miejscach baru było zbyt wiele, by mogła zrozumieć, o czym się rozmawia. Jej samotność, skupiona wokół roweru, jakby był okryty plastikową bańką, była teraz kompletna, a jednak wcale jej nie przeszkadzała. Nie czuła się wyobcowana. Nikt nie zwracał na nią uwagi, co mogło świadczyć o tym, że jest tym wszystkim ludziom po prostu obojętna, a jednak odbierała to inaczej. Wszyscy byli podróżnikami i wszyscy mieli prawo tu być.

Rozwiesiła kurtkę i zatrzymała wzrok na niebie, które przypominało brudną pościel. Deszcz bębnił w szyby i z minuty na minutę atmosfera w barze stawała się coraz przytulniejsza. Patrzyła na samochody podjeżdżające na stację. Pomyślała, że przy najbliższej okazji wyśle Wojtkowi kolejną pocztówkę. Wyobraziła go sobie, jak siedzi na ławce i karmi ptaki niczym święty Franciszek. Przypomniała sobie, jak siedzieli na tej ławce razem, a on poczęstował ją kawą z termosu, i poczuła innego rodzaju bańkę, bańkę ciepłą, w której banalny widok na stację benzynową i zalany deszczem wycinek krajobrazu za oknem wydał jej się pełen surowego piękna.

Wyjęła z plecaka pocztówkę Roberty i oparła ją o termos, jakby nie chciała zapomnieć, po co tu właściwie jest, o co w tym wszystkim chodzi. Potarła palcem rzeźbę. Mężczyzna był starszy od Grzegorza. Miał piękne, dojrzałe męskie ciało. Grzegorz, gdy go widziała ostatni raz, był przecież chłopcem. A jednak coraz częściej myślała o mężczyźnie z posągu, jakby był Grzegorzem, a o klęczącej dziewczynie, jakby była nią. Nawet włosy miała podobnie związane nad karkiem. Skrzydlata postać musiała być zatem śmiercią. Ruch całej trójki był tak płynny, jakby scena działa się pod wodą. Śmierć oplątywała mężczyznę, usidlała go nie skrzydłem, nie peleryną, ale wodorostami.

\* \* \*

Próbowała przypomnieć sobie moment, kiedy ona i Grzegorz stali się parą, ale nie potrafiła. Być może dlatego, że na to nie czekała. Nie wszedł w jakieś przygotowane wcześniej miejsce o męskich kształtach.

Przyzwyczała się do czapki niewidki, która przykrywała jej kobiecość. Umawiali się czasem do kina, uczyli się wspólnie w jego pięknym domu w Kiekrzu nad brzegiem jeziora, który wielkością, położeniem i wystrojem przypominał scenografię amerykańskiego filmu. Były tam: odtwarzacz wideo i system nagłaśniający, marmurowe blaty, surowe białe przestrzenie i bladozielone szkło. Ten dom do niego nie pasował. Grzegorz nie był cool. Tak bardzo, że najzuchwalsze młodzieżowe rzeczy dotknięte przez niego stawały się poważne i dorosłe. Jakby naznaczał je smutkiem. Na przykład jego skoda, w którą niejedyn student dwadzieścia lat temu wciskałby się jak w przyciasne wranglery, pod jego spokojną stopą stawała się jedynie bezpiecznym i wygodnym środkiem transportu. Nie mówiąc o samych dżinsach, które owszem, nosił czasem, ale podciągnięte zbyt wysoko paskiem, odstające na dużych pośladkach. Robertcie to jednak nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Uwielbiała jego spokojny sposób prowadzenia auta, a także nudne koszule i za duże, wypchane spodnie. W niej też niewiele było przecież młodzieżowego wyrafinowania. Inna dziewczyna może potrafiłaby wyczarować z męskich butów i ubrań jakiś intrygujący styl, na tyle różny od hipisowskiego i butikowego, by był naśladowany. Później wielokrotnie spostrzegła, że młode kobiety zakochują się w otoczce mężczyzn. Ich portfelach, domach, samochodach, muzyce, której słuchają, ich ciuchach i znajomych. Mężczyźni wręcz przeciwnie. Wbrew tej otoczce. Potrafili rozebrać z niej kobietę w jednej chwili.

Nie pamiętała już, kim była, zanim go poznała. Nie chciała go zapraszać do domu w obawie, że czar pryśnie i Grzegorz zobaczy tę poprzednią Robertę, której wśród swoich siostr, przy matce, przy ojcu, obok gramofonu i maszyny do pisania nie będzie potrafiła ukryć.

Była u niego może trzeci raz, w pewną zimową niedzielę, gdy zmierzch przyszedł przedwcześnie, rozbielony śniegiem, a do pokoju weszła matka i zapytała, czy przemiła koleżanka zostanie na obiedzie, dając im w ten sposób do zrozumienia, że nadszedł czas, by rodzice poznali dziewczynę swojego syna. Wtedy postrzegła wszystko inaczej niż pół roku później, kiedy dostała list Grzegorza i zaczęła kwestionować swoją opinię na temat ich związku i tego, co się wydarzyło.

Wydawało jej się, że rodzice ją polubili. Ojciec, spokojny i oszczędny w gestach i słowach, elegancki w spodniach i koszuli podobnych do tych, które nosił Grzegorz, wyjął z lodówki butelkę schłodzonego białego wina. W domu Roberty nie piło się do obiadu wina, tylko kompot, więc wydało jej się to nieskończenie wyrafinowane, podobnie jak wystrój domu, jakby należał do jakiejś innej wyreżyserowanej rzeczywistości. Ojciec napełnił jej wąski kieliszek w trzech czwartych, na koniec wprawnym ruchem przekręcając butelkę lekko ku górze. Być może był to styczeń, bo w kącie dużego pokoju obok rozjarzonego kominka stała choinka ubrana tylko w prosty sznur lampek. Pomyślała wtedy, że gdy świąteczne drzewko odegra do końca swoją rolę, stanie się drewnem na opał, które strawi ogień.

Ciszę towarzyszącą nalewaniu wina do kieliszków przerywała matka, także elegancka, ale o wiele bardziej nerwowa. Nawet gdy siedziała, wydawało się, że chodzi w kółko. Uprzejmie spytała Robertę o jej rodziców. Chciała wiedzieć, gdzie mieszkają i czym się zajmują, a także dlaczego chce zostać chirurgiem.

– Fascynujące – powiedziała, gdy dowiedziała się, że jej ojciec jest nauczycielem matematyki, a matka księgową.

Sama Roberta nie widziała w tym nic fascynującego. Ojciec Grzegorza mówił niewiele, matka z każdym kolejnym kieliszkiem wina coraz więcej. Opowiadała anegdoty o medycynie – oni też poznali

się na studiach. Ojciec Grzegorza był kardiologiem, matka pediatrą. Ich dom był przesiąknięty medycyną tak jak dom Roberty liczbami.

Kiedy wreszcie zniknęli w pokoju Grzegorza, Roberta zapytała:

– I jak? Chyba nie poszło mi źle?

Jego pokój nie różnił się zbyt od reszty domu, był tak samo dorosły jak jego ubrania. Zgromadził niewiele rzeczy; zdawało się, że wszystkie zmieściłyby się w jednej większej walizce. Podobało jej się, że są porządnie poukładane.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Ależ skąd, jesteś cudowna – odparł tonem podobnym do tego, jakim jego matka powiedziała wcześniej „fascynujące”, jakby Roberta była jakimś okazem, który wzięto pod mikroskop i dostrzeżono w nim ciekawą mutację.

Kilka miesięcy później, kiedy przeczytała jego list, w którym postanowił się pożegnać właśnie z nią, zostawiając w jej rękach decyzję o tym, czy jego śmierć przejdzie do historii jako samobójstwo, czy jako nieszczęśliwy wypadek, przypomniała sobie spotkanie z jego rodzicami. Zobaczyła je w innym, mniej przychylnym świetle. Za sprawą listu obraz wspólnego obiadu z jego rodziną dotarł do niej zmieniony, jakby odbity w krzywym zwierciadle. Grzegorz, który siedział obok niej po tej samej stronie stołu, śmiał się z tego, co mówiła jego matka, ale był to raczej śmiech naznaczony sarkazmem. Rozmowy przy stole, początkowo odebrane przez nią jako ciepłe rodzinne przekomarzenia się, teraz postrzegała jako cyniczne, pełne niepokojących cieni zaraz pod powierzchnią.

– Pomożesz mi pokroić ciasto – zwróciła się matka do Grzegorza i zaraz dodała, patrząc Robertcie w oczy: – Jako dziecko pomagał mi piec ciasta. Był takim kochanym synkiem mamusi.

– Zmuszałaś mnie do tego. Zakładałaś mi ten idiotyczny fartuszek.

– Wtedy jeszcze piekłaś ciasta, jeszcze ci się chciało – wtrącił ojciec Grzegorza.

– Wszystkim nam się kiedyś chciało, kochanie. – Matka każde słowo wypowiadała dokładnie, z przesadną dbałością, jak robi człowiek, który nie po raz pierwszy za dużo wypił i nie ma już zaufania do swojej dykcji.

– A dlaczego została pani właśnie pediatrą?

Ojciec i Grzegorz wymienili szybkie spojrzenie ponad stołem.

– Bo mama bardzo lubi dzieci, prawda?

– Oczywiście, że lubię dzieci. – Matka Grzegorza niezgrabnie odsunęła krzesło i ruszyła w kierunku kuchni.

Gdy Roberta siedziała przy stole na kilka miesięcy, zanim Grzegorz postanowił wejść do jeziora, patrzyła na to oczarowana. Jej matka nigdy nie piła alkoholu, twierdząc, że nie pozwala jej na to zbyt wysokie ciśnienie. Roberta uważała jednak, że powstrzymuje ją co innego – obawa, że choć na chwilę musiałyby oddać kontrolę. Matka Grzegorza wydała jej się swobodna i piękna, nawet jeśli lekko chwiała się na nogach owiniętych bladoniebieską sukienką, która przyczepiała się do rajstop. Później ten obraz wracał do niej wielokrotnie, ale na kształt zabawy testującej spostrzegawczość za pomocą dwóch niemal identycznych rysunków: spotkanie przy rodzinnym stole Grzegorza wtedy, gdy przy nim siedziała, i później, w jej wspomnieniu, gdy przeczytała list. Znajdź różnice. W kącie przy kominku stała taka sama choinka, tak samo brzęczały kolczyki matki, tak samo milczał ojciec, a Grzegorz w identyczny sposób

odwracał ku niej swoją okrągłą twarz. Tylko w środku, wewnątrz niej samej, jakby wyrósł czarny kwiat, wypełniając krwiobieg smołą, i w głosie Grzegorza słyszała żal, którego tam wcześniej nie było, w odpowiedziach matki desperację, a w milczeniu ojca złość.

Policja dołączyła list Grzegorza przesłany Robercie zwykłą pocztą, z podstemplowanym znaczkiem, do akt sprawy i przedstawiła do wglądu jego rodzicom. Choć Grzegorz chciał się pożegnać właśnie z nią, więcej miał do powiedzenia na ich temat. Na początku listu przytoczył słowa Cwietajewej: „Czas zdjąć bursztyn, czas zmienić słowa, czas zgasić lampę nad drzwiami”. Według śledczych dowodziło to, że samobójstwo było aktem zaplanowanym, a denat się do niego przygotował.

Roberta spotkała się z jego matką kilka miesięcy po pogrzebie. Teraz sądziła, że poszła tam, bo chciała porozmawiać z kimś, kto też go znał i kochał, a może chciała od jego matki czegoś w rodzaju współczucia i wybaczenia. Niewykluczone też, że chciała po raz ostatni znaleźć się w jego domu.

– Dzieci zawsze winią matki. – Matka Grzegorza była trzeźwa, ale wydawała się lekko otumaniona, jakby brała jakieś leki. Chyba tylko dlatego wpuściła Robertę do środka. Paliła papierosa za papierosem, stojącą przed nią popielniczkę zapełniały grube niedopałki. Zapamiętana przez Robertę elegancja ulotniła się gdzieś bez śladu. Twarz bez makijażu, chyba nawet nieumyta, była brzydka, opuchnięta. Zamiast sukienki bezkształtny poplamiony kokon, który dopiero po chwili okazał się brudnym dresem.

– Dzieci zawsze o wszystko obwiniają matki. Ojcowie mają z nimi tak niewiele wspólnego, jakby byli rodzicami zastępczymi. Wiesz, co powiedział mi mąż? – Nie czekała na odpowiedź. – „Złamałaś tego chłopaka. Tresowałaś go jak zwierzę, biłaś go, gdy był mały, krzyczałaś na niego, wyśmiewałaś go. Wpompowałaś w jego krew wszystkie swoje nerwice”. A ja się pytam: gdzie on był przez te wszystkie lata? Zastrany pan doktor.

– Pani mąż z pewnością tak nie myśli. Wszyscy jesteśmy zrozpaczeni.

– Dlaczego po prostu nie wyrzuciłaś tego listu do kosza? Ty głupia, głupia dziewczyno.

Wtedy Roberta rzeczywiście pożałowała, że pokazała list policji. Jakie to miało tak naprawdę znaczenie? On już nie żył i było mu wszystko jedno. Może właśnie na to liczył i dlatego wysłał list na jej adres? Chciał, by wiedziała o tym tylko ona. Dla wszystkich innych mógł to być nieszczęśliwy wypadek, o którym mimochodem wspomniałyby lokalne gazety.

– Zastrany pan doktor – powtórzyła matka Grzegorza, dopalając papierosa i grzebiąc nim w popielniczce jak pogrzebaczem.

Popiół wysypał się na stół, ale nie zwróciła na to uwagi. Obrus był zresztą równie brudny, jak jej dres.

– Bardzo dobrze, że poszedł w cholerę, no bo gdzie on był przez te wszystkie lata? Grzesiek nawet nie chciał studiować medycyny. Wiedziałaś o tym?

– Wiedziałam tylko, że stresuje się egzaminami. Mówił mi, że nie ma takiej możliwości, by wyleciał ze studiów. Ale przecież wtedy, kiedy biegał po domu i wrzucał zegarki do toalet, to było więcej niż stres, załamanie nerwowe. Powinnam to była zauważyć.

Matka Grzegorza odpędziła ręką dym z papierosa, a może jej słowa.

– Pan doktor nawet nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że na innych studiach nie będzie go utrzymywał. – Mówiła o nim „pan doktor”, jakby sama nie była lekarzem. – Niech ci się przypadkiem nie wydaje, że miałam cokolwiek do powiedzenia. Gównu miałam do powiedzenia.

Roberta zazdrościła matce Grzegorza swobody, z jaką przeklinała. Być może przynosiło jej to ulgę.

Robercie jeszcze nic nie dawało ukojenia. Czuła się odrętwiała, ale nie w przyjemny sposób, o jakim śpiewali Pink Floyd.

– Miał depresję. Powinam to była zauważyć – powiedziała Roberta jeszcze raz, dobitniej, jak hasło, i czekała na odzew.

Matka Grzegorza nie zamierzała jednak zajmować się poczuciem winy Roberty. Zapaliła kolejnego papierosa. Największa tłusta plama na jej bluzie przyciągała popiół. Spojrzała Robercie w oczy, a Roberta zatrzymała jej wzrok odrobinę dłużej.

Przypomniał jej się artykuł, który przeczytała w jakimś czasopiśmie o nieprzetłumaczalnych słowach w różnych językach. Przykładowo Portugalczycy używają określenia „saudade”, mówiąc o swojej tożsamości narodowej, którą wytycza pewien rodzaj dekadentycznej melancholii odbieranej z subtelną dumą i radością. Niemcy mówią „Fernweh” na tęsknotę za miejscem, w którym się nigdy nie było, a Szwedzi wynaleźli odrębne słowo na to, gdy się specjalnie wcześniej wstanie, by wyjść na dwór i posłuchać, jak śpiewają ptaki. Mówią na to „gökotta”. Natomiast ostatni Jaganie zamieszkujący Tierra del Fuego mają w swoim wymierającym języku jagańskim słowo „mamihlapinatapei”, które oznacza spojrzenia wymienione przez dwojga ludzi, z których każde chce, by ta druga osoba zaoferowała to, czego oboje pragną, ale sami obawiają się to zaproponować. Tak właśnie na siebie patrzyły.

\* \* \*

Deszcz na niemieckim parkingu padał coraz słabiej, a słońce przefiltrowane przez chmury raziło w oczy bardziej, niż gdyby niebo było czyste. Włożyła podeschniętą kurtkę, a na nią narzuciła kupioną niedawno pomarańczową kamizelkę odblaskową.

– Auf Wiedersehen – rzuciła w jej kierunku wesoło kobieta za barem.

Opierając się jedną nogą o ziemię, Roberta zapięła kask i włożyła swoje specjalne chropawe rękawiczki. Straciła trzy godziny przez tę ulewę, ale zostało jeszcze sporo dnia, a ona czuła się wypoczęta i najedzona. Do Fürstenwalde zostało jakieś trzydzieści kilometrów. Kostka bolała mniej, jechała więc teraz szybciej, pedałowiała co sił w nogach, jakby nie mogła się już doczekać, by tam dojechać. Licznik wskazywał dwadzieścia kilometrów na godzinę. Jej kondycja była coraz lepsza, a prędkość coraz większa i napawało ją to dumą. Była też spokojniejsza, przejeżdżając przez schludne niemieckie wioski i harmonijne obejścia. Świat mógłby się walić, a Niemcy nadal zamiataliby chodniki przed swoimi domami.

Fürstenwalde okazało się uroczą małą miejscowością położoną nad Sprewą. Jej rower przyciągał wiele serdecznych spojrzeń, jakby mieszkańcy wręcz dziękowali za to, że nie truje ich spalinami. Wykupiła nocleg w Haus am Spreebogen, romantycznym hoteliku z widokiem na rzekę, który polecił jej jakiś przechodzień, i udała się na spacer po niewielkim centrum. W hotelowym folderze informacyjnym wyczytała, że pod koniec wojny miasto zostało zamienione w twierdzę i w zasadzie doszczętnie zbombardowane przez Sowietów. Zaszła się w jednej z licznych kawiarenek i rozłożyła mapę. Do Paryża zostało jej jeszcze ponad tysiąc sto kilometrów i dwadzieścia dni. Na drugi dzień miała dotrzeć do Berlina, w którym też planowała zatrzymać się na noc, ale później chciała pokonywać więcej kilometrów każdego dnia. Ponieważ była w coraz lepszej formie, wydawało się to możliwe.

Po powrocie do hotelu usiadła jeszcze w lobby przy zimnym piwie. Na barze leżały pocztówki

przedstawiające uroki Brandenburgii, więc wzięła kilka do swojego stolika z myślą, że wyśle jedną mamie, jedną do Hadesu, a kolejne dwie Iwonie i Annie. Wyjęła długopis. Wahala się chwilę. Odsunęła pocztówki i popatrzyła na innych gości. Nie było ich wielu o tej porze roku i wyglądali na zabieganych ludzi biznesu, z wyjątkiem jednej pary zakochanych. Coś w ich zachowaniu przekonało ją, że to romans. Może lekko usztywniona radość z bycia razem. Jakby bawili się w parę, zamiast być nią naprawdę. Wypiła łyk piwa i znowu przysunęła pocztówki. Na jednej z nich napisała: „Być może o tym nie wiesz, ale Niemcy to bardzo romantyczny kraj. Kupiłam kamizelkę odblaskową. Teraz widać mnie jeszcze lepiej”.

W niedzielę poczta była zamknięta, ale postanowiła, że jutro, już w Berlinie, kupi znaczek i wyśle kartkę Wojtkowi. Zaadresuje ją tak jak poprzednią – kto wie, może dotrze. Napisanie do niego tych kilku słów sprawiło jej przyjemność. Jakby znowu usiadła na ławce obok niego w bańce ciepła. Nagle zapragnęła napisać mu o wiele więcej. Chciała wziąć wszystkie pocztówki ze stolika w recepcji, wyłożone tam przecież nie tylko dla niej, i zapisać drobnym maczkiem każdą z nich. Opowiedzieć mu o samobójstwie Grzegorza, udarze matki, śmierci ojca, pracy w zakładzie pogrzebowym, siostrach. Poczuła, że jej życie przestanie być cokolwiek warte, jeśli nie będzie mogła komuś o nim opowiedzieć. Straciła wcześniejszą ochotę, by napisać do kogokolwiek innego, ale poszła do pokoju, by krótko porozmawiać z jedną z sióstr. Chciała się dowiedzieć, czy u matki na pewno wszystko w porządku.

W zasadzie już idąc po schodach, wiedziała, że zadzwoni do Iwony. Nie miała ochoty słuchać kazań najstarszej siostry, której wydawało się, że wszystko wie. Były też większe szanse na to, że Iwona przekaże jej informacje zbliżone do prawdy. Brakowało jej przebiegłości, by manipulować faktami i wpłynąć na Robertę.

– Dzwonię z hotelu, więc będę się streszczać.

– Jezu, wreszcie. Martwimy się o ciebie.

– Niepotrzebnie, bo wszystko w porządku, w zasadzie zgodnie z planem.

– Mama mówiła, że jesteś już w Niemczech.

– A skąd ona wie? Nie pytała mnie o to.

– Musiałaś coś wspomnieć. Nie masz pojęcia, jaka ona jest z ciebie dumna. Powiesiła mapę Europy w kuchni nad stołem i zaznaczyła kolorowym pisakiem odległość, którą do tej pory pokonałaś. Trasa skończyła jej się na Słubicach, więc chyba stwierdziła, że dziś musisz już być w Niemczech.

Roberta poczuła się zdezorientowana. Nie przypuszczała, że matka przykłada do jej podróży tak wielką wagę i że opowiada o niej z dumą. Myślała, że jest odwrotnie, że matka jest na nią obrażona, że nie rozumie swojej najmłodszej córki i wstydzi się jej kolejnego dziwactwa.

– A co u niej? Naprawdę wszystko dobrze? Dzwonię do niej od czasu do czasu, ale nie wiem, czy mówi mi prawdę. Znasz mamę, niechętnie mówi o swoich prawdziwych uczuciach. Wolę się upewnić.

– U niej wszystko dobrze, jakby znów poczuła się odpowiedzialna za własne życie. Zastanawiam się, czy wcześniej nie miała depresji. Bo przecież tak chyba objawia się depresja, rezygnacją z odpowiedzialności za siebie, za swoje szczęście.

Roberta pomyślała o wieczorach, kiedy jadły z matką kolacje. Zwykle jadały w salonie, przy włączonym telewizorze, nie mówiąc do siebie zbyt wiele. Czasem Roberta zaraz po kolacji zamykała się w swoim pokoju, w takie wieczory, kiedy nie mogły się nawzajem znieść i Roberta nienawidziła siebie

za złe myśli, których nie potrafiła odpędzić. Słuchała ciamkania matki, która jadła jak małe dziecko z otwartymi ustami, i myślała, że gdyby matka nie brała leków lub jadła mniej zdrowo, jej życie trwałoby krócej. Wyobrażała sobie, że wyprawi matce piękny pogrzeb, i zastanawiała się, jakie wybierze kwiaty i muzykę. Najlepiej, gdyby umarła wiosną, bo tulipany były jej ulubionymi kwiatami. Widziała ciało matki rozciągnięte na swoim stole, róże i szminki, może pofarbowałaby jej włosy na inny kolor niż popielaty blond, w którym jej twarz nabierała niezdrowego odcienia. Patrząc w ekran telewizora i przełykając pośpiesznie sałatkę z jajkiem i ze szczypiorkiem, wyobrażała sobie swoje siostry w nowych czarnych żakietach kupionych na tę okazję, na figury, które nie były już szczupłe. Popijała zieloną herbatę, a pod powiekami migwały jej kadry z pogrzebu, sztywne uściski krewnych i sąsiadów, pojedyncze róże rzucane na trumnę, mowa księdza. A potem stypa i ten dom, który może zostanie sprzedany, tak by Anna i Iwona od razu dostały swoje pieniądze, a może Roberta sprzeda swoje mieszkanie, zlikwiduje lokatę i spłaci ich część spadku po rodzicach, a sama dożyje tu końca swoich dni niczym odlew matki, przeżuwając poluzowaną sztuczną szczęką, powłócząc nogami pokrytymi siatką żyłaków, pocierając o siebie gąbczastymi udami z dołkami pomarańczowej skórki, których nie będzie pokazywać już nikomu, nawet sobie, zdejmując spodnie i wkładając piżamę w słabo oświetlonej sypialni dla starych kobiet. Spędzi resztę życia, nie tęskniąc za niczym i nikim szczególnym.

Odpędzała te głupie, natrętne myśli, ale one przychodziły i czuła, że jest najgorszą córką na świecie. Kto wie, o czym myślała matka, gdy patrzyła w telewizor lub na Robertę z poirytowaniem i troską? Kto wie, co sobie wyobrażała? Być może przypominała sobie moment urodzenia Roberty, niewiele różniący się od momentów urodzenia starszych córek, a z biegiem lat coraz bardziej do nich podobny, zlany w jeden spocony ciąg niemiłych pielęgniarek, nieobecnego męża, bolesnych skurczów. Patrzyła na Robertę jak na kobietę samotną, która nie miała nikogo, kto mógłby wreszcie zdjąć z matki ciężar kochania córki i martwienia się o nią. Być może ona też zastanawiała się czasem, komu i po co potrzebne jest życie Roberty. Chyba przydawała się tylko umarłym, których, jak to mawiała matka, pacykuje zgodnie z widzimisię współczesnych ludzi, bo ich próżność przekracza wszelkie granice, nawet granice śmierci. Matka mogła więc w takie wieczory patrzeć na córkę z odrazą, a kto wie, może również wyobrażała sobie jej przedwczesną śmierć i przeganiała te myśli ze wstydem jako nienaturalne i nieprzyzwoite, niezwiązane z własną córką, ale z drażniącą drugą kobietą przy stole, która zamiast obok powinna gdzieś daleko żyć cudzym życiem, aż się nie stanie jej własnym.

– Większość starszych ludzi ma depresję – Roberta zgodziła się z Iwoną – która ginie w nadmiarze fizycznych dolegliwości. To prawda. Mama zmieniła się po śmierci ojca. Wydaje mi się, że to niekoniecznie był dobry pomysł, bym się do niej wprowadziła i się nią opiekowała.

– Może masz rację. Odkąd wyjechałaś, chodzi codziennie sama na zakupy, coś tam sobie gotuje, bierze leki, a tego kota jak rozpieszcza. Karmi go surowymi rybami. Nazwała go już.

– Jak?

– Panna Cotta. Sprytnie to wymyśliła, prawda? Powiedziała, że jego stopy pachną popcornem. Wyobrazasz to sobie? Naszą matkę wachającą stopy kota? Byłam u niej wczoraj, odkurzyłam dom. Naprawdę nie musisz się martwić, nie o nią w każdym razie.

– A o kogo? U ciebie wszystko okej?

– U mnie owszem, ale Anka się rozwodzi. Pewnie wiesz.



– Nie wiem. Nie rozmawiałam z nią. Mama nic nie mówiła.

– Ach, bo mama nic nie wie i niech tak zostanie. Czekamy na rozwój wypadków, że się tak wyrażę. Nie chcemy jej na razie martwić. Wiesz, jak się wszystkim przejmuję. Wszystkim, co z nami związane. Jezu, jakbyśmy nadal miały pięć lat, a ona mogła zaradzić naszym problemom.

– Dlaczego Anka się rozwodzi?

– W zasadzie to Adam się z nią rozwodzi. Powiedział, że się zakochał.

– Ale on już chyba wcześniej miał kogoś? Anna coś mówiła, że przymyka oko. Zawsze myślałam, że żartuje.

– O ile mi wiadomo, co jakiś czas miał ktosia, czy raczej ktosię, ale tym razem to poważna sprawa, wielka miłość po pięćdziesiątce, ta najgorsza kryzysowa zaraza. Wiesz, co mówią: głowa siwieje... – Iwona relacjonowała tę historię w sposób przećwiczony, jakby omawiała wydarzenia z życia Anny już wcześniej, być może z koleżankami, z których każda dodała do opowieści swoje opinie i powiedzonka. – Wciąż jej powtarzam, że to nie koniec świata. Wyzwania stawiane przez życie nie mają cię sparaliżować, one mają ci pomóc odkryć, kim jesteś.

Roberta kochała siostrę, ale czasem wydawała jej się ona obca z tym podejściem do życia, które przypominało złote myśli, mądrości dla „niesamodzielnego ducha”, takie, jakie umieszcza się w poradnikach pozytywnego myślenia i bezrefleksyjnie powieliła w ramach w internecie.

– No wiesz. To jednak poważna sprawa. Przecież też byś nie chciała, by Mateusz od ciebie odszedł.

– Gdyby nadal dawał mi pieniądze na utrzymanie, na dom i dzieci? A dlaczego nie? Czasem się zastanawiam. Jak by to było fajnie tak zostać sama, żeby nikt się nie wtrącał, nie oczekiwał ode mnie niczego, żadnych już kompromisów i golenia nóg lub podejmowania jego gości, no i można postawić na własny rozwój, samoświadomość. Kuszące.

– Nie jest łatwo być samą – bąknęła Roberta.

Cóż mogła o tym wiedzieć którakolwiek z jej sióstr?

– Domyślam się. – Iwona weszła jej w słowo. Tak naprawdę ani odrobinę się nie domyślała. – Wiesz, ty to masz dobrze. Często mówiłyśmy tak z Anką. Pewnego dnia my też zostaniemy same, jak nam mężowie umrą czy nas zostawią, i to wtedy będzie taki szok i konieczność odnalezienia się w nowej sytuacji, a ty masz to, no wiesz, bardzo dobrze przećwiczone.

Roberta jeszcze raz pomyślała, że jej starsza siostra mówi czasem straszne głupoty. Czuliła się tak jak chwilę wcześniej w lobby hotelu, kiedy odsunęła od siebie pocztówkę. Jak opowiedzieć komuś takiemu siebie? Komuś takiemu można najwyżej powiedzieć coś o sobie. Podać kilka faktów przypominających współrzędne lokalizacji, jakby się było punktem na mapie i niczym więcej.

– Anka siedzi, pije i płacze. Wiesz, co powiedziała mi w pierwszej chwili? Kto będzie jej teraz podjazd przed domem odśnieżał? Jakby to było najważniejsze, gdy rozpada się wieloletnie małżeństwo.

– A ty odśnieżasz sobie sama?

– Ja? Czasem tak, jak nie ma Mateusza.

Roberta wiedziała, że to nieprawda. Mogła się założyć, że Iwona nawet nie wie, gdzie stoi szufla do odśnieżania. Nie chciała się jednak wdawać w dyskusję na ten temat.

– Zadzwońię do niej, ale teraz muszę już kończyć. Jutro chcę dotrzeć do Berlina.

– Wciąż nie chcesz nam powiedzieć, o co właściwie w tym wszystkim chodzi? Jesteś bardzo

tajemnicza. To dodatkowo rozstraja Ankę.

– Nie sędzę. Myślę, że to jej prywatne problemy ją rozstrajają.

Roberta odłożyła słuchawkę i dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy odmówiła cudzej potrzebie obdzielenia jej winą. Poczła się trochę tak, jakby ktoś chciał jej dać jakąś torbę do poniesienia, a ona się na to nie zgodziła. Była jednocześnie z siebie zadowolona i czuła się winna. Już chciała złapać za słuchawkę i poprosić Iwonę, by jednak dała jej tę torbę, że jakoś da radę, ale tego nie zrobiła. Przeprała bieliznę, wzięła prysznic i zasnęła szybko, nie śniąc tej nocy żadnych snów, a przynajmniej budząc się z umysłem kompletnie wyczyszczonym.

Zadzwoiła do Anny rano, po bardzo smacznym hotelowym śniadaniu wliczonym w cenę noclegu. Zalała garść różnorodnych niemieckich płatków zbożowych mlekiem i popiła świeżo wyciśniętym sokiem z grapefruta. Zwykle nie kupowała soku grapefruitowego, bo szkodził matce na żołądek, a dla siebie samej było jej szkoda, ale teraz przypomniała sobie, jak bardzo lubi ten cierpkawy smak. Później wypiła jeszcze filiżankę kawy, patrząc na krzątający się po sali personel i podziwiając sprawność hotelowej maszyny, która przetwarzała gości w kilku dokładnych ruchach obliczonych na jak największą efektywność i dochodowość procesu.

– Danke schön – rzuciła w stronę kobiety w zielonym uniformie, która szybkimi ruchami ręki usunęła ze stołu stojące przed nią puste naczynia. Nie wiedziała, czy tak się robi, ale czuła potrzebę, by podziękować za śniadanie.

Inni goście raczej milczeli z niechęcią, jakby czuli się popędzani do opuszczenia stolika. Nie było wątpliwości, że każdy szczegół został uważnie zaplanowany, w tym także ułożenie dań szwedzkiego stołu. Pomyślano o wygodzie gości, ale na pierwszym miejscu był interes hotelu. Kasyno zawsze wygrywa.

Kobieta uśmiechnęła się do niej w odpowiedzi. Była ładna, młoda, spod nienaturalnej opalenizny, jakby z tubki, prześwitywał szary kolor niewyspanej twarzy. Robercie zrobiło się głupio.

Już poprzedniego wieczoru postanowiła, że porozmawia z Anną rano, bo tylko wtedy mogła liczyć na to, że siostra będzie jeszcze trzeźwa. Anna jednak nie odbierała. W recepcji Roberta dostała wydruk mapki ścieżek rowerowych w kierunku Berlina. Najpierw postanowiła zrobić około trzydziestu kilometrów do Erkner, a stamtąd pokonać kilka kilometrów do jeziora Müggelsee, podobno największego w Berlinie. Recepcjonistka powiedziała jej zrozumiałym dla niej angielskim, czyli pewnie na podobnym poziomie, że jezioro znajduje się na południowy wschód od centrum stolicy.

Dzień był dość ciepły, choć pochmurny. Zostawiła Fürstenwalde za sobą i gdy tylko wskoczyła na rower, przestała myśleć o Poznaniu, Annie i jej problemach. Gdy pedałowiała, było tylko tu i teraz. Rower umiejscawiał ją w tunelu teraźniejszości. Jechała częściowo przez las ubitymi bocznymi drogami, które w Niemczech były świetnie oznaczone. Z przyjemnością patrzyła, jak na drzewach i krzewach z dnia na dzień przybywa liści. Jakby oglądała kraj zniszczony przez okupanta i jednocześnie wiosnę, wyzwoliciela, który odbija ten kraj miasto po mieście, ulica za ulicą, zostawiając za sobą łunę świeżej zieleni i kwiatów o delikatnych jeszcze, lekko przymrożonych kolorach, z wyjątkiem bezczelnej forsycji. Soczyście żółte plamy krzewów rzucały się w oczy jak flagi zatknięte przez alianckie wojska.

Na chwilę się zgubiła, ale Niemcy były krajem rowerzystów i nie brakowało ich na ścieżkach, więc zapytała swoim kulawym niemieckim, jak dotrzeć do jeziora, i wystarczyło jej rąk oraz „rechts” i „links”,

by wrócić na właściwą drogę. Z uśmiechem minęła irlandzką knajpkę o mało oryginalnej nazwie Gilligan's Irish Pub wypisanej zielonymi literami na budynku. Pomyślała, że chyba o to chodzi w irlandzkich pubach, by były swojskie i do siebie podobne, tak jak ich nazwy.

Kiedy wreszcie dotarła do jeziora, była już mocno zmęczona, ale o dziwo niegłodna. Usiadła na ławce i patrzyła na żaglówki. Był kwietniowy poniedziałek, a mimo to kilka pływało po jeziorze w późnopołudniowym słońcu, które wreszcie zaczęło się przedzierać przez chmury. Było naprawdę pięknie i aż nie mogła uwierzyć, że jest w Berlinie. Nie po raz pierwszy przecież, ale pierwszy od wielu lat pomimo tak niewielkiej odległości.

Berlin był najbliższą stolicą europejską, miastem położonym bliżej Poznania niż Warszawa. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tu była. Najpierw jako dziecko, jeszcze z rodzicami, we wschodnim Berlinie. Pamiętała tylko maleńkie mebelki dla lalek, miniaturowe sztuczce, kubeczki i talerzyki, które kupili jej rodzice i nie pozwalali wynosić ich na dwór w słusznej obawie, że Roberta szybko je zgubi. Dzięki temu zabawki nabrały w jej oczach dodatkowej niezwykłości. Stały się przedmiotami szczególnymi, których dotykanie sprawiało jej odświeżającą przyjemność. Nie mogły się szybko znudzić.

Później była w Berlinie już po zburzeniu muru, z Grzegorzem. Była to ich jedyna wspólna wycieczka. Między zimą, kiedy poznała jego rodziców, a majem, kiedy utonął. Wczesną wiosną, jak teraz. Tuż po wieczorze w pustym domu, kiedy biegał jak naćpany i spuszczał w toalecie zegarki przerażony upływem czasu. Wytłumaczyła to sobie nerwami przed egzaminem i zbyt dużą ilością alkoholu, bo przecież nie wyglądał na chłopaka, który bierze narkotyki, starannie uczesany i ubrany, ze schludnie przyciętymi i czystymi paznokciami. Czas jednak pokazał, że w ogóle go nie znała. Kochała się w jakiejś idei Grzegorza, nie w nim samym. Jej wizja Grzegorza była jej chłopakiem. On sam miał się nim stać dopiero z czasem, gdyby nie był zajęty planowaniem samobójstwa. Myśli samobójcze nie sprzyjają miłości.

Położyła się na ławce, odwracając twarz w górę, by na chwilę stać się niewidzialna w słońcu, które padało na nią ukośnie spomiędzy chmur, jak welon. Zdjęła kask i rozpuściła włosy, masując skórę głowy tam, gdzie czuła ból od zbyt ciasnej gumki. Poczła przyjemne zmęczenie mięśni, wręcz zakwasy w łydkach. Czuła, jak koszulka i bluza odlepiają się powoli od skóry. Kurtkę zdjęła i schowała do plecaka, który położyła sobie pod głowę. Ciało i odzież znowu stanowiły dwie osobne warstwy, rozdzielone chłodzącymi bąblami powietrza.

Musiała się zdrzemnąć. Obudził ją cień, jakby ktoś stanął nad nią i zakrył słońce, ale nikogo nie było. Rower nadal stał zaparkowany przy ławce, nawet nieprzypięty. Chmury znowu przykryły słońce, ale ich kłębiące się warstwy były na tyle wysoko, że nie spodziewała się deszczu.

Wskoczyła na rower, by jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś hotelu. Nadal jechała przez dzielnicę Friedrichshagen. W folderze dla turystów, który znalazła w punkcie informacyjnym nad jeziorem, wyczytała, że był to kiedyś raj dla artystów. Z jednej strony nowe apartamentowce, z drugiej zaniedbane budynki. Ta część Berlina przypominała jej Polskę. Droga przez Köpenick była tak malownicza, że znowu poczuła, jakby znajdowała się w dzikiej głuszy, w raczej wiejskim krajobrazie. Nie pamiętała, że w Berlinie jest tyle wody i zieleni.

Poranek wydawał jej się tak odległy, jakby minęły dwa tygodnie, odkąd jadła śniadanie w hotelu w Fürstenwalde. Przez Sprewę przepłynęła się taksówką wodną i jakby przypadkiem znalazła się przy dużym lunaparku, Spreeparku, do którego podjechała, szukając wejścia w zaroślach. Tu właśnie była

z Grzegorzem prawie dwadzieścia lat wcześniej, ale wtedy to było czynne wesołe miasteczko, pełne kolorów, ludzi i życia. Teraz przypominało krajobraz po apokalipsie. Fala smutku spłyciła jej oddech, jakby patrzyła przez szybę na umierającą osobę, której dawno nie widziała, a teraz przyszła odwiedzić chorą i całkiem odmienioną w szpitalu.

Przypięła rower do siatki i przeskoczyła przez płot, ignorując rozmieszczone co sto metrów tablice krzyczące „Betreten verboten”. Aż podskoczyła, gdy gdzieś w oddali zaszczekał pies. Z nadal ściśniętą krtanią weszła powoli do krainy martwych klaunów, zardzewiałych karuzel, przewróconych na plecy dinozaurów. Szereg wagoników przysypanych liśćmi czekał na wjazd pomiędzy szczęki najbardziej psychodelicznego kota, jakiego kiedykolwiek widziała. Pamiętała tego kota. Wjechali w niego z Grzegorzem kolejką górską. Krzyczeli i śmiali się, podnosząc ręce.

Szła przez zarośla z sercem dudniącym w uszach i patrzyła na przewrócone dinozaury. Tyrannosaurus rex machał bezradnie w powietrzu krótkimi łapami. Zapomniany statek wikingów stawiał czoła stadu brudnych łabędzi, a nad wszystkim górował skrzypiący diabelski młyn. Brodziła w przerośniętej trawie, wśród wyrastających gdzieniegdzie metalowych konstrukcji, jakby była jedyną osobą na świecie, która przeżyła tajemniczy kataklizm. Zmiotła ręką w rękawiczce mokre liście z wielkiej obrotowej filiżanki i usiadła w środku. To z tego właśnie lunaparku pochodziło ich jedyne wspólne zdjęcie, jak siedzą w filiżance, może nawet tej. Zdjęcie zrobił ktoś z obsługi, zanim czajnik i filiżanki zostały wprawione w ruch. Ona patrzyła w obiektyw, była o wiele szczuplejsza, miała młodą twarz, która na zdjęciu wydawała się jeszcze młodsza, wręcz dziecinna, a Grzegorz patrzył jej w oczy. Uśmiechał się, jakby miał przed sobą całe życie.

Pomyślała o ostatnich dwudziestu latach. Ktoś jej kiedyś powiedział, że w każdej rodzinie jest taka kobieta. Bezdietna, niezamężna, wyznaczona (tylko przez kogo? najbliższych? samą siebie?) do opieki nad innymi, gdyby zaszła taka potrzeba. Takie kobiety wyprowadzały innym psy, przechowywały koty, odwiedzały w szpitalach, robiły zakupy. Były idealnymi ciotkami od wszystkiego, a tymczasem nie miały nawet swojego święta. Nie było Międzynarodowego Dnia Ciotki.

Wyjęła z plecaka wymiętą pocztówkę. Ta inna Roberta z pewnością nie była taką kobietą. Przypominała bardziej jedną z jej sióstr. A nawet jeśli nie miała własnej rodziny, nie była idealną ciotką, żyła dla siebie. Jeździła po świecie i zawierała ekscytujące znajomości, w nocy tańczyła i piła szampana, a nad ranem czytała listy od kochanków. Mężczyźni pisali dla niej wiersze. Tracili dla niej głowę. Jeszcze jej nie poznała, a już jej zazdrościła. Tak jakby ta inna Roberta przez ostatnie dwadzieścia lat żyła jej życiem. Miała ochotę zgnieść pocztówkę i wyrzucić, wymazać z głowy miejsce spotkania i tekst, a także każdą linię rzeźby Claudel, którą znała już na pamięć. Pomyślała, że ta pocztówka ma na nią dziwny wpływ, prawie jak pierścień z Władcy pierścieni. Zaśmiała się w duchu. Może Muzeum Rodina w Paryżu będzie wobec tego jej Mordorem? Tam powinna oddać pocztówkę adresatowi lub Robercie, a jeśli nikt się nie pojawi, spalić ją, zniszczyć. Schowała kartkę do plecaka i ruszyła w dalszą drogę.

Gdy dojechała do parku Treptower, było już ciemno. W jednym z ogródków piwnych czarnoskóry mężczyzna z dredami zakrytymi chustką stroił gitarę, szykując się do występu. Zatrzymała się tam na chwilę, by wypić herbatę i posłuchać muzyki, a przy okazji zapytać o niedrogi hotel w okolicy.

– Co się stało ze Spreeparkiem? – spytała po angielsku kelnerkę, która przyniosła jej herbatę. Brakowało jej niemieckich słów.

– Ah so. – Dziewczyna oparła ręce na biodrach jak starsza osoba. – Teraz to ruina. Chodzą tam nocą nastolatki i te – zabrakło jej słowa – wagabundy. Podobno są wycieczki po parku w weekendy. Córka właściciela pokazuje. To był tutaj duży skandal, jak zamknęli. Właściciel Witte uciekał przed problemami finansowymi do Peru. Wziął ze sobą kilka wielkich atrakcji.

– Jak to zrobił?

– Nie wiem. Musieli podzielić na części. – Dziewczyna wyciągnęła przed siebie prawą rękę i machnęła nią kilka razy, jakby kroić powietrze nożem. – Wieźli je dużymi statkami. Władze się zgodziły, bo niby te atrakcje były tam wiezione do naprawy. Tylko że on nie zamierzał wracać. Chciał otworzyć lunapark w Limie, ale się nie udało. Potem próbował szmuglować kokainę w takim... – Zabrakło jej angielskich słów i rzuciła niemieckie, niezrozumiałe dla Roberty. – W takim o... – Narysowała na ziemi kwadrat wyimaginowanego dywanu i zamachała rękami, jakby miała się wzbić w powietrze.

Roberta też zapomniała, jak to jest po angielsku, ale przypomniała sobie teraz to wcześniejsze niemieckie słowo, „Teppich”, czyli „dywan”.

– Podobno była tam kokaina o wartości dwudziestu milionów euro. Naprawdę. Jego syn też siedzi w Peru w więzieniu za przemyt. A ten park to próbowali sprzedać na aukcji internetowej.

– Co za historia! Niezwykła. Incredible – odparła Roberta, a za chwilę z radością przypomniała sobie niemieckie słowo i powiedziała jeszcze: – Unglaublich.

Chciała dodać, że zapomniane wesołe miasteczka wyglądają bardziej jak smutne miasteczka, ale nie potrafiła tego przetłumaczyć.

\* \* \*

Głos Anny brzmiał o dziwo trzeźwo, choć godzina była dość późna.

– Gdzie jesteś? Martwiłam się.

– W Berlinie. Wszystko w porządku.

– To w Berlinie załatwiasz te swoje tajemnicze sprawy?

– W Paryżu. – Unikanie odpowiedzi wydało się Robertce trudniejsze od stawienia czoła kolejnym pytaniom.

– To ty do Paryża jedziesz rowerem? Kompletnie zwariowałaś?

– No właśnie – powiedziała Roberta jakby do siebie i za chwilę dodała: – Być może.

– Ktoś na ciebie czeka w Paryżu?

– Być może.

– O Jezu, przestań być taka tajemnicza.

– Naprawdę nie wiem, to taka przedziwna historia. Jak wrócę, wszystko ci opowiem.

– Ale czujesz się dobrze?

– Bardzo dobrze, najlepiej od lat. Chudnę. Jestem coraz sprawniejsza, silniejsza, zdrowsza. Tak mi się wydaje.

– To dobrze. To znaczy dla twojego zdrowia. Wygląd ma tak naprawdę niewielkie znaczenie, w końcu zawsze będą młodsze i piękniejsze.

Roberta poczuła, że Anna chce porozmawiać o tym, co się wydarzyło w jej życiu, tylko nie wie, jak

zacząć.

– Wiem od Iwony. Nic nie mówiłam mamie i nie powiem, dopóki sama nie powiesz.

– W końcu to zrobię.

– Chcesz o tym pogadać?

– Chyba nie mam już siły. Mam wrażenie, że ostatnio rozmawiam tylko o tym. Siedzę w pustym domu i zastanawiam się, po co było to całe życie.

– Jak to po co?

– No wiesz. Samo urządzenie łazienki to dziesiątki godzin spędzonych na wertowaniu katalogów, konsultacji z Adamem i dekoratorem wnętrz, telefonów, worków z cementem, włoskich płytek, których odcienie spędzały mi wtedy sen z powiek. Jakby to miało w ostatecznym rozrachunku jakiegokolwiek znaczenie. Dzieci, robienie im kanapek do szkoły, wożenie na dodatkowe zajęcia, Adam, jego problemy w pracy, bóle głowy, podejrzaną pieprzyki na plecach. Wiesz, ile on ma pieprzyków na plecach? I ta jego hipochondria, umieranie na ból brzucha. Wspólne posiłki, poranki, narty, srarty, a teraz zostałam sama w tym dużym domu. Dlaczego po prostu nie umarłam razem z życiem, które było, ale się skończyło?

Roberta wyłączyła lampkę na biurku w pokoju hotelowym i odsunęła ciężkie zasłony. Hotel był niedrogi, należał, zdaje się, do jakiejś międzynarodowej sieci. Dostała pokój na najwyższym piętrze, z okna rozpościerała się pod nią pulsująca światłem panorama miasta. Pomyślała o porzuconym i ciemnym Spreeparku, złowrogim lesie gdzieś tu niedaleko, ale poza ciepłym kręgiem ogniska.

– Nie mów tak. Dzieci zawsze będą cię potrzebowały, nawet duże dzieci.

– A tam. Wiesz, czego potrzebują dzieci w tym wieku? Pieniądzy i świętego spokoju.

– Ale przecież nadal mieszkają z tobą.

– Pomieszkują. Teodor już się wyprowadził, a Tosia przebąkuje coś o wynajęciu mieszkania ze swoim chłopakiem. Po co mnie samej ten wielki dom?

– Adam naprawdę chce odejść?

– Naprawdę. Tym razem to podobno wiiiiieelka miłość. – Dopiero teraz Roberta poczuła, jak kwaśny oddech tłoczony przez słuchawkę, że Anna wcale nie jest trzeźwa. Jakby cały wypity wcześniej alkohol uderzył jej w tym momencie do głowy. – Powiedział, że to kwestia „serendypiów”. Wiesz, jaki on jest przemądrzały.

– Czyli?

– Czyli musiałam dodatkowo wysłuchać opowieści o cejlońskich księżętach. Dokładnie rzecz ujmując, o trzech księżętach z Cejlonu po arabsku nazywanego Sarandib czy jakoś tak, czekaj, Sarandib czy Serendip, Serendib.

– Nieważne. No i co z tymi księżętami?

– Jak to nieważne? Adam powiedziałby ci, że bardzo ważne. Wiesz, że on nigdy za tobą nie przepadał? Mówił, że jesteś... Zaczekaj chwilkę.

Roberta usłyszała dźwięk nalewanego płynu. Nie miała złudzeń. Wyobraziła sobie Annę z butelką wina i kieliszkiem, sadowiącą się wygodnie na kanapie ze słuchawką wciśniętą między bark a ucho. Pomyślała o Magdzie ze Słubic.

– No więc mówił, że jesteś dziwaczna i nigdy nie wiadomo, co tam sobie myślisz, bo tak mało się odzywasz. Siedzisz tylko i patrzysz wielkimi oczami bazyliuszka.

– A co z tymi książętami?

– No właśnie. Zgodnie z perskimi bajkami ci książęta... Czekaj, czekaj, Adam zaraz by mnie poprawił na „owi książęta”, ale przecież go tu nie ma... No więc ci książęta, podróżując, dokonywali przypadkiem szczęśliwych odkryć rzeczy, których w ogóle nie poszukiwali. Powiedział mi jeszcze, kto wymyślił to wyrażenie w języku angielskim, jakiś Anglik, ale wybaczone, wyleciało mi z głowy. No i właśnie to są „serendypia”, których to jest kwestią.

– „To”, czyli co?

– Czyli ona. Odkrył ją zupełnie przypadkiem, szukając jakiejś substancji, a może związku. Tę by było dopiero, gdyby ją znalazł, szukając związku. Ona również jest chemikiem i wykładowcą. Z Torunia. No ale to nie jest dla nich żadną przeszkodą, w końcu to wiiiiielka miłość, taka z piosenek i filmów. Kto to śpiewał? Krajewski chyba, prawda? Wiiiiielka miłość – zanuciła Anna, fałszując. – A nawet nie zdechł nam pies.

– To wy macie psa?

– Nie mamy psa. W tym cały ambaras.

– Możesz jaśniej?

– To ty nie widziałaś takiego filmu Blue Valentine? To chyba niemożliwe. Zawsze mi się wydaje, że widziałaś wszystkie filmy.

– Tę chyba nie widziałam.

– No więc tam na samym początku zdycha pies. Ginie pod kołami samochodu, bo to ruchliwa ulica bez spowalniaczy, jeżdżą sobie po niej jak wariaci. Główny bohater zakopuje go w ziemi zawiniętego w brezent czy jakiś koc, a potem on i jego żona płaczą i piją... Czekaj, ona chyba nie piła, ale na pewno oboje płaczą i on pali papierosy, bo to jest taki film, że w nim główny bohater pali tylko i pali, i to jest zasadniczy pomysł na niego i jego sposób ekspresji, poza jeszcze traceniem włosów, bo za pomocą gry włosami reżyser ułatwia widzom polapanie się w chronologii filmu. Wymarzona rola dla aktora, który potrafi grać włosami, bo wiadomo, nie każdy potrafi. – Anna zachichotała. – Pamiętasz, kto go gra?

– Chyba nie widziałam tego filmu – powtórzyła Roberta.

– Kto go gra? Kto go gra? Taki przystojniak, na pewno wielki aktor, skoro się zgodził, by mu taką wyłysiałą fryzurę zrobić w tym filmie. W końcu Oscary dają tym, którzy się dają bez wahania oszpecić.

– Nieważne. Co to ma wspólnego z tobą i Adamem?

– Dla ciebie wszystko jest nieważne i nieważne. – Anna uniosła się sztucznym alkoholowym gniewem. – Ech, w zasadzie rzeczywiście nieważne. No więc oni oglądają później taki rodzinny film, na którym ich córka bawi się z tym psem. Wiesz, jeszcze żywym, a później to nie pamiętam, może znowu płaczą. W każdym razie od początku wiadomo, że to będzie film o rozpadzie związku dwojga ludzi. Ten pies to taki symbol, że coś bezpowrotnie minęło, jakiś etap.

– Ale twoje uczucie do Adama też już dawno minęło. Sama kiedyś mówiłaś.

– Takie rzeczy mówi się o swoim wieloletnim mężu, który raz po raz funduje sobie jakiś nic nieznaczący romans. Małżeństwo to układ, ale nikt nie chce się przecież znaleźć poza jego nawiasem.

– Może to i dobrze, że tak się stało – powiedziała cicho Roberta.

– A co w tym niby dobrego? Jestem stara i zostałam sama.

– Ale tak będzie, czy ja wiem, uczciwiej.

– W nosie mam „uczciwiej”. Jestem stara i zostałam sama, a wydawało mi się, że robiłam wszystko, nie odpuszczałam sobie przecież. Śmiałyście się ze mnie, że tak poważnie podchodzę do swoich obowiązków żony, matki i gospodyni. A teraz mogę dołączyć do ciebie i do mamy. – Anna dodała to z nieukrywanym niesmakiem, jakby Roberta z matką były nosicielkami wirusa, którym nie chciała się zarazić, a jednak zaraziła.

– Wiesz, co mi powiedział? Powiedział, że zmarnował ze mną swoje najlepsze lata. Podobno nasze wspólne życie wydawało mu się taką pomyłką, że czasem budził się w nocy i płakał, podczas gdy ja spałam, a w dzień inwestowałam we własny rozwój. W jaki rozwój ja inwestowałam, powiedz mi, proszę? Siedziałam w tym domu jak kuchta, szoferując jego dzieciom.

Anna była rozżalona, więc Roberta nie chciała jej przypominać, że to także jej dzieci.

\* \* \*

Anna i Iwona różniły się w podejściu do swojego w zasadzie podobnego życia. Anna wiele mówiła o prowadzeniu domu i opiece nad dziećmi, jakby źle się czuła z tym, że nie pracuje, i potrzebowała alibi. Wciąż wydawało jej się, że powinna być jakimś wzorem do naśladowania dla młodszych sióstr – dla Iwony, której dom zdawał się zawsze brudny i pogrążony w chaosie, i dla Roberty, która czekała nie wiadomo na kogo i na co. Anna dobrze wiedziała, że życie nie jest poczekalnią. To, co po nas zostanie, to dzieci i wnętrza naszych domów. Anna chciała wszystkich zadowolić, jakby cały czas starała się zasłużyć na miłość. Iwona miała w sobie znacznie więcej luzu i przyjmowała różne koleje losu jak coś, na co nie ma wpływu, więc nie będzie nawet próbować. Zapytana przez kogoś na jakiejś rodzinnej uroczystości o to, czym się zajmuje, odpowiedziała bez zająknięcia:

– Leżę i pachnę. No naprawdę. Daj spokój, nie obraziłam się. Po prostu na ogół tym właśnie się zajmuję. Leżę i pachnę. – Roześmiała się swoim perlistym zaraźliwym śmiechem, który wszystkim przypominał śmiech Pakosińskiej. – Prowadzę próżniaczy tryb życia i dobrze mi z tym.

– Nie przesadzaj. Przecież prowadzisz dom, gotujesz, pierzesz, sprzątasz, zajmujesz się dziećmi – wtrąciła się wtedy Anna. Nie lubiła, gdy Iwona w ten sposób umniejszała i jej prawo do czucia się osobą aktywną zawodowo.

Robercie zrobiło się żal siostry. Pomyślała o czasach, gdy mieszkały z rodzicami w niewielkim mieszkaniu na ostatnim piętrze. Miała wtedy może siedem lat, Anna siedemnaście. Siostra była dla niej kimś w rodzaju drugiej matki, ale ta matka w odróżnieniu od prawdziwej jej imponowała. Była największym powodem do dumy, jaki Roberta wówczas miała.

Rodzice kupili jej lalkę Barbie od znajomej żony marynarza, ale nawet ta lalka, pożądana przez wszystkie koleżanki na podwórku, nie mogła się równać z Anną, pełnowymiarową śliczną i lubianą dziewczyną, prawie dorosłą, której splendor spadał na Robertę jak ciepły płaszcz. Czasem, gdy Anny nie było, Roberta otwierała jej szafę i oglądała ubrania, które miała nadzieję pewnego dnia odziedziczyć, jeśli tylko Iwona za bardzo ich nie znosi. Zawsze istniała też nadzieja, że nie wszystkie przypadną Iwonie do gustu. Dopiero później okazało się, że i tak byłyby na Robertę za małe. W wieku trzynastu lat była już sporo wyższa od obu sióstr. Wtedy jednak wdychała zapach tanich perfum siostry i dotykała nieśmiało jej sukienek i bluzek. Najbardziej podobała jej się biała hiszpanka, delikatna bluzka z bufiastymi rękawkami, która odsłaniała opalone i zgrabne ramiona Anny, a w talii była wykończona szerokim ściągaczem. Do



dziś pamiętała małe guziczki bez dziurek, perłowo połyskujące w słońcu. Anna nosiła do niej krótką, czarną spódniczkę. Tak właśnie Roberta wyobrażała sobie wtedy elegancję. Tę bluzkę Anna zabrała ze sobą, gdy wyszła za mąż. Czasem Roberta żałowała, że o nią nie poprosiła. Nie nosiłaby jej. Była na nią za młoda i matka nigdy by się na to nie zgodziła. Bluzka pewnie ledwo zakrywałaby jej biust, a spod ściągacza wystawałby pępek. Powiesiłaby ją sobie na ścianie, tak jak się wiesza obraz. Nie poprosiła jednak siostry o żadną z jej rzeczy, dzięki której łatwiej byłoby nie tęsknić.

Wszystko wydarzyło się tak szybko. Zdawało się wręcz, że Anna uciekła z domu nocą, pod osłoną welonu, w szeleście szytej tygodniami u krawcowej sukni ślubnej. Wieczorem jak zawsze kładła się spać na swoim tapczanie w ich wspólnym pokoju, a rano wszyscy wysypali się z mieszkania w zamieszaniu i zgiełku. Pamiętała, że brat matki stłukł wazon z kwiatami. A później już nigdy nie wróciła.

Kiedy Iwona odprowadziła dwunastoletnią Robertę z wesela do pustego mieszkania, zostawiając ją z kawałkiem tortu i zapalonym światłem, Roberta, podekscytowana po kilku po kryjomu wypitych kieliszkach wódki, nie mogła się doczekać, aż siostra wreszcie sobie pójdzie i zostawi ją samą. Spojrzała na tapczan Anny. Noc poślubną i wszystkie kolejne najstarsza siostra miała odtąd spędzać ze swoim mężem. Patrząc na ten tapczan, Roberta po raz pierwszy uświadomiła sobie istotę przemijania. Utratę tego, co nigdy nie było na własność. Teraz pomyślała, że wtedy czuła się właśnie tak jak bohaterowie filmu, o którym opowiedziała jej Anna. Jakby zdechł jej pies, którego przecież nigdy nie miała. Urządzenie wielkiego wesela z tej okazji wydało jej się co najmniej nie na miejscu. Poczowała wściekłość na Adama i Annę.

\* \* \*

Teraz, kiedy Anna szlochała w słuchawkę, niepodobna do takiej siebie, jaką zawsze grała, kobiety pewnej własnych racji i zadowolonej ze swojego miejsca na świecie, Roberta przypomniała sobie to irracjonalne dziecinne rozzalenie sprzed lat. Czy to możliwe, by Anna dopiero teraz zdała sobie sprawę, że choćby nie wiem jak próbowała, nie jest w stanie wszystkiego kontrolować? Wiedziała, że Iwona byłaby lepszym słuchaczem. Pewnie nieraz rozmawiała z Anną i próbowała ją pocieszyć, mówiąc o początku nowego życia i o tym, że zazdrości jej wolności, że nigdy nie jest za późno, by wszystko zacząć od nowa. Może nawet przepowiedziała jej przyszłość w wersji optymistycznej. Iwona lubiła horoskopy i wróżby.

\* \* \*

Następnego dnia Roberta popełniła oszustwo: nie chcąc tracić czasu i błądzić po nieznanym mieście, wepchnęła się do U-Bahnu wraz z rowerem i pojechała do Spandau, wysuniętej na zachód dzielnicy Berlina, która wydała jej się najlepszym miejscem, by ruszyć dalej. Wciąż jechała na zachód, zapuszczając się w Europę coraz głębiej. Czasem myślała o tym, co będzie, gdy dotrze do Paryża, czy rzeczywiście wróci do domu, czy może pojedzie dalej. Może wróci do domu dopiero wtedy, gdy okrąży całą kulę ziemską? Kto wie? Tymczasem jednak chciała jak najszybciej znaleźć się na mniej zatłoczonej drodze i skierować się do Rathenow. Na ten dzień wytyczyła sobie odcinek około siedemdziesięciu kilometrów, który prowadził ścieżkami rowerowymi do Falkensee, następnie do Nauen, a później Rathenow, w którym zamierzała zatrzymać się na noc.

Ze wczesnorannych mgieł wyłoniło się słońce i wyglądało na to, że przed nią cały dzień idealnej

kwietniowej pogody, nie wkładała więc nawet kurtki, wystarczyła bluza i kamizelka odblaskowa oraz spodnie do kolan.

Ze zdziwieniem obejrzała pod prysznicem swoje nogi, zastanawiając się, czy to możliwe, by mięśnie ud i łydek zarysowały się tak szybko. Być może już wcześniej tam były, ukryte pod tłuszczem, którego każdego dnia ubywało z jej ciała. Nie ważyła się od momentu, kiedy matka ją o to poprosiła, ale czuła się lżejsza, a może nie tyle lżejsza, ile organicznie przeorganizowana, jakby jej ciało zmieniło fakturę z gąbczastej na twardą i bardziej zbitą. Przylegało mocniej do mięśni. Zauważyła też sporo siniaków na nogach. Zawsze łatwo się siniaczyła, ale tym razem miała wrażenie, że musi zbyt często uderzać łydkami o pedały, jakby jeździła niestarannie i raz po raz nie trafiała.

Jazda tego dnia nie sprawiała jej przyjemności. Zgubiła się kilkakrotnie, jeszcze zanim dojechała do Nauen, i musiała pytać o drogę przechodniów i rowerzystów. Nie spowodowało tego złe oznaczenie dróg, po prostu nie mogła się skupić. Jeśli jazda na rowerze była medytacją, to nie był dobry dzień na medytację, nie potrafiła zapanować nad myślami i ich odgonić. Choć wypływały z tych samych jak zawsze zagadkowych źródeł, zamiast pędzić lub krążyć swobodnie w jej głowie, napotykały opór. Jakby jadąc z wiatrem, myślała wciąż pod wiatr.

\* \* \*

Znowu czuła złość, którą, zdawało się, zostawiła dawno za sobą, frustrację, którą pozornie wyrzuciła do jeziora wraz z telefonem. Tak dawno nie zastanawiała się, dlaczego Grzegorz wysłał jej ten list. Wyparła już nawet jego samobójczą śmierć i to, że jego matka nie potrafiła jej przebaczyć, jakby to Roberta uśmierciła go listem spisany jego własną ręką. Czasem wydawało jej się, że Grzegorz zmarł tylko dla niej, po prostu zniknął z jej życia jak wiele osób i żyje sobie gdzieś tam, ma czterdzieści lat, pracę, żonę, dzieci, w weekendy nadużywa alkoholu, a w domu trzyma piękny stół bilardowy, o którym zawsze marzył. To wszystko wydarzyło się tak dawno, jakby w innym życiu, bo to przecież bzdura, że człowiek ma tylko jedno życie, może ma ich siedem jak kot. Pomyślała, że życie trwa tyle, ile pamięć o nim, pamięć żywa i wyraźna. Stąd trudno choćby dzieciństwo traktować jako część tego samego życia, a nie inne, odrębne. Jak może być tym samym życiem dziesięć lat, z których pamięta się tylko drogę ze szkoły do domu, podwórko z gołębnikiem, imiona koleżanek i numer w dzienniku, jak wytyczne przekazywane osobie kupującej nową tożsamość. Nazywasz się tak i tak, twoja matka jest pielęgniarką w szpitalu, ojciec ma warsztat samochodowy, mieszkasz na tym osiedlu, popatrz na zdjęcia, przyjrzyj się uważnie, wyobraź sobie, że ten trzepak mijasz każdego dnia, a z tą koleżanką chodzisz do szkoły. Chwile pamięta się nieliczne, związane nie z istotnymi zdarzeniami, ale z emocjami. Chwila strachu na kolonii, gdy ktoś, nie wiadomo kto, opowiadał w nocy historię o cmentarzu i czarnej ręce. Chwila smutku, gdy matka wydzielala klapsy, mrugając nerwowo oczami, i zdawało się, że nie będzie jej już można nigdy udobruchać ani zapomnieć jej obcej twarzy. Chwila współczucia, gdy dzieci szły za szaloną kobietą z sąsiedztwa i rzucały w nią kamieniami, i chwila zazdrości, zaskakująco kolczastej, gdy koleżanka przyniosła do szkoły pierścioneł i naszyjnik z górskiego kryształu, tak błyszczące i śliskie jak małe rybki w strumieniu. Chwila triumfu, gdy praca z historii została oceniona na pięć z plusem, bo zabrakło skali. Tak samo ten czas z Grzegorzem zdawał jej się czasem pamięci przerwanej, plastrem sera z wielkimi dziurami w miejscu tego, co robili, o czym rozmawiali, z niewielkimi kawałkami żółtej masy tego, co

pamiętała, bo zabarwiła swoimi emocjami, jakby podstawiała do tych chwil muzykę i pamiętała właśnie ją. Muzykę, której kiedyś słuchała. Może to był Pavarotti śpiewający arię Nessun dorma z Turandota, romantyczna harmonia zacinająca się, gdy Grzegorz biegał po domu i wrzucał zegarki do każdej z trzech muszli w trzech wyłożonych płytkami łazienkach, zgrzytająca przez chwilę złowrogo, jakby włączyła się inna muzyka, psychodeliczne techno. A później jego list i całkowita cisza.

Grzegorz był pierwszym chłopakiem, z którym spędziła noc, więc nie miała porównania. Owszem, widywała wcześniej nagich mężczyzn, ale zmarłych, podczas zajęć w prosektorium, a także na rysunkach w podręcznikach anatomii. Leżeli obok siebie i przez długi czas nie robili nic więcej. Rozmawiali ściszymi głosami w pokoju Grzegorza, zachodziło słońce, jedyne źródło światła, a on nie chciał jej płoszyć żadnym zbędnym ruchem, dlatego nie wstał i nie zapalił lampy. Później podniósł jej rękę do ust i polizał. Nie pocałował. Gest i dotyk języka normalnie uznałaby za obrzydliwe i wstrętne, ale wystarczyło być Grzegorzem, by móc sobie pozwolić na wszystko. Chwytać jej palce i wkładać je sobie po kolei w usta, ssać jej nadgarstki, lizać powieki. Zdjąć z niej bieliznę i pedantycznie ułożyć w kostkę na krześle, zostawiając ją na chwilę, którą zapamięta jako chwilę wstydu, sam na sam z własnym podnieceniem. Chciała mu sprzątać, prać i gotować, myć mu stopy, zrobiłaby wszystko, byle tylko jej tego nigdy nie odebrał. Później duszna cisza pokoju wypełniła jej głowę muzyką, co zapisała w pamięci jako chwilę, kiedy się zakochała. Powtórzy sobie kilka razy w głowie spokojną melodię pełną niskich gardłowych dźwięków. Przyporządkuje temu uczuciu słowa, jakby zapisywała nuty. Szereg czarnych znaków na białym tle, tak jak to robi kompozytor.

Obudziła się wtedy nad ranem z wierszem w głowie. Poezją Broniewskiego, nie wiadomo dlaczego. Grzegorza przy niej nie było. „Ty przychodzisz jak noc majowa, biała noc, uspiona w jaśminie”. Od tej pory patrzyła na niego inaczej, jakby był kimś sławnym, komu się wszystko wybacza, byle tylko móc się otrzeć o gwiazdny pył.

\* \* \*

W miarę jak jechała przez małe niemieckie miejscowości, nastrój jej się poprawiał. Nauen okazało się szkatułkowym miasteczkiem, które chętnie włożyłaby sobie do kieszeni. Spodobała jej się niska, nieco bajkowa architektura. Z zachwytem aż dwa razy przejechała wyludnioną ulicą Goethego, przy której stały staroświeckie latarnie. Całe miasto, ze swoimi aptekami, salonami fryzjerskimi i małymi sklepikami, zrobiło na niej wrażenie filmowej scenografii. W tak sennej scenerii fryzjerki mogły jeździć rowerami z koszykami, a aptekarze w piwnicznych baliach rozpuszczać swoje ofiary. Wszystko przy aksamitnych pieśniach Michaela Bublégo.

Znalazła tam sklep z odzieżą sportową, w którym dokupiła dwie koszulki, bluzę i jeszcze jedną parę spodni na zmianę. Duży plecak był już wypchany do granic możliwości. Musiała wyjąć z niego kurtkę i umieścić oddzielnie na bagażniku.

W drodze z Nauen do Rathenow zauważyła, że ma towarzystwo. Jakiś rowerzysta podążał uparcie jej śladem w stałym tempie, które pozwalało nie wyprzedzić Roberty, ale też jej nie zgubić. Oglądając się dyskretnie, dostrzegła kręcone jasne włosy związane w kitkę pod kaskiem. Poczowała się nieswojo, jakby ktoś ją śledził. Choć zmęczona, jechała teraz coraz szybciej, by zwiększyć dystans, a jednocześnie do przodu pchał ją głód – chciała jak najszybciej dotrzeć do jakiejś restauracji.

W końcu zatrzymała się przy przydrożnym barze, by zjeść obiad, a przy okazji zgubić ogon. Zmęczenie i kilkugodzinna jazda w słońcu dawały się we znaki. Nagle pojawiło się uczucie déjà vu, jakby była tu wcześniej. A może wszystkie przydrożne bary były do siebie podobne i przypominały plastikowe kapsuły?

Kiedy siedziała przy stole skupiona na sznyclu z frytkami i zestawem surówek, do środka weszła rowerzystka z kaskiem w ręce i rozglądała się po sali. Teraz było wyraźnie widać, że włosy są siwe, a kobieta nie jest młoda. Miała przyjemnie okrągłą twarz, zarumienioną od wiatru, i tego rodzaju cerę, która w zasadzie nie wymaga makijażu i którą często mają Skandynawki. Wymruczała coś melodyjnie, jakby wcale nie po niemiecku, a kiedy Roberta uśmiechnęła się przepraszająco, natychmiast usiadła naprzeciwko i otarła niebieskim ręcznikiem wielkości chustki do nosa spocone czoło i usiany piegami dekolt. Stale się przy tym uśmiechała do Roberty, jakby było już postanowione, że zostaną przyjaciółkami.

Znowu wystrzeliła z siebie kilka słów, ale tym razem zabrzmiało to jak seria z karabinu, z wyraźnym chrząknięciem na końcu, jakby przeładowywała magazynek.

– Przepraszam, nie rozumiem. Słabo mówię po niemiecku. – Roberta odstawiła talerz.

– English?

– English, yes. Słabo, ale znacznie lepiej.

– Dobrą tu mają kawę? – Kobieta zerknęła na filiżankę Roberty.

– Chyba tak. – Roberta nie traktowała kawy z nabożeństwem, w ten sposób, który, zdawało się, opanował cały współczesny świat.

– Czy to nie należy do ciebie? – Wyjęła z plecaka zwiniętą w rulon kurtkę Roberty, która musiała wypaść z bagażnika.

– Dziękuję. Jechałaś całą tę drogę, by mi ją oddać? Naprawdę dziękuję. – Miała nadzieję, że mimo pojemnego angielskiego „you” kobieta wyczuwa jej szacunek, bo nigdy nie zwróciłyby się do starszej osoby inaczej niż w formie „pani”.

– Jadę za tobą niemal od Nauen. Widziałam, jak kurtka spada z bagażnika. Pofrunęła. – Kobieta zrobiła ruch ręką jak skrzydłem. – Trudno cię dogonić, wiesz? Szybka jesteś. Masz długie nogi. – Spojrzała z uznaniem na wyciągnięte nogi Roberty.

– Byłam bardzo głodna, dlatego jechałam tak szybko. – Teraz zrobiło jej się wstyd, że chciała zgubić kobietę jak prześladowcę. Przyjrzała się zmarszczkom wokół ust i bladoniebieskich oczu. Wyglądała na sześćdziesiąt lat, a gdyby nie zmarszczki, można by uznać, że jest młodsza, bo miała jędrną skórę.

– Jedz, proszę. Nie chcę ci przeszkadzać. – Wstała, ale Roberta zatrzymała ją ruchem ręki.

Czuła, że powinna podziękować za odzyskaną kurtkę, postawić kobiecie choćby kawę.

– Skąd jedziesz?

– Odwiedziłam córkę w Nauen. Jadę do Rathenow. Mieszkam tam. A ty? – Spojrzała na Robertę z ciekawością.

– Dziś rano wyruszyłam z Berlina. Miałam zamiar dotrzeć do Rathenow, ale szczerze mówiąc, jestem już bardzo zmęczona. Nie wiem, czy to się uda.

– Z Berlina? Nieźle.

– Trochę oszukałam, wiesz. Miasto przejechałam U-Bahnem. Wyjechałam z zachodnich obrzeży.

– I tak nieźle. Masz dobrą kondycję.

Roberta zarumieniła się z zadowoleniem. Wracając z toalety, podeszła do baru i poprosiła o dwie porcje szarlotki z bitą śmietaną i dwie kawy. Postawiła jeden komplet przed kobietą.

– Dla ciebie. Dziękuję. No wiesz. – Ręką wskazała na kurtkę.

– Skąd jesteś? Masz wschodni akcent. Rosjanka?

– Jestem z Polski. A ty? Na początku myślałam, że jesteś Skandynawką.

– Jestem stąd. Mam na imię Franka. – Uśmiechnęła się i wbiła zęby w szarlotkę.

– Roberta.

– Jak ładnie. To typowe polskie imię?

– Raczej nie. Bardzo rzadkie. To znaczy częste dla mężczyzny. Robert. W Niemczech na pewno też macie takie imię.

– Oczywiście. „Robert” znaczy... Jak to jest po angielsku...? „Sławny”, „jasny”, „błyszczący”. Bardzo popularne u nas. Porządne średniowieczne męskie imię. Kobiety też noszą, ale rzadko. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, może pojedziemy razem do Rathenow? Miley się jedzie w towarzystwie. Nie boisz się jechać sama?

– Nie. Jestem przyzwyczajona, ale możemy pojechać razem, jeśli dam radę.

Tak naprawdę nie miała ochoty na towarzystwo, ale nie potrafiła odmówić. Pomyślała, że byłoby to bardzo niegrzeczne. Kobieta wyraźnie nie chciała być sama.

– Masz dzieci? – zapytała Robertę z zaciekawieniem.

– Nie. Jestem... jestem samotna. Single. Nie mam męża ani dzieci. Mam mamę. Mieszkam z mamą. Może to dziwne, ale wiesz, jest już stara.

– Nie widziałam swojej córki od pięciu lat – powiedziała kobieta i Roberta poczuła, że właśnie to chciała jej wyznać od samego początku. – Jest lesbijką i mieszkała ze swoją partnerką. Nie mogłam się z tym pogodzić. Nie podobało mi się, że się z tym obnoszą. Pokazują wszystkim, a czym się tu chwalić? – Milczenie Roberty zachęcało ją do dalszego mówienia. – Ale teraz pojechałam. Zadzwoniła do mnie z płaczem, więc po prostu wsiałam na rower i pojechałam.

– Coś się stało?

– Jej partnerka umarła na raka. I wiesz, jaka była pierwsza myśl, która mi przyszła do głowy? Że teraz moja córka jest przez to mniej lesbijką. Okropne, prawda? Jestem okropną matką.

– Twoja córka potrzebowała cię w trudnej chwili i pojechałaś do niej. Nie ma w tym nic okropnego.

– Ale potrzebowała mnie też pięć lat temu. Chciała, bym polubiła osobę, którą kochała. Ale ja nie potrafiłam. Zaczęłam biegać. Codziennie dziesięć kilometrów. Deszcz czy śnieg. To nie był żaden sport dla mnie. To było po to, żeby nie myśleć o niej i tej kobiecie.

Roberta westchnęła. Pomyślała, jak bardzo samotni są ludzie i jak dziwnie się czasem zachowują, by to maskować. Jakby było w tym coś wstydlivego.

Chciała dotknąć ręki kobiety w geście pocieszenia, ale nie wydawało jej się, by potrafiła to zrobić w naturalny sposób. Z dystansem podchodziła do ludzkiego ciała. Potrafiła się z nim znakomicie obchodzić, ale dopiero wtedy, gdy leżało przed nią martwe. Żywe, naszpikowane zakończeniami nerwowymi, migotało jak ładunek wybuchowy. Wydawało jej się czymś niebezpiecznym, wymykającym się spod wszelkiej kontroli. Łatwiej było unikać interakcji. Obserwować z boku. Bała się, że gdy dotknie

ręki kobiety, z tej ręki przejdzie na nią energia, elektryczny impuls, i obie zaczną robić coś surrealistycznego, na co nie były przygotowane. Na przykład płakać.

– Wszyscy potrzebujemy rodziny. Innych ludzi możemy chcieć, pragnąć. Mogą nas fascynować. Jednak potrzebujemy tylko tych, którzy są z nami spokrewnieni – powiedziała. – Dobrze, że pojechałaś do córki.

– Nie mogłam przestać o tym myśleć. Wydawało mi się to takie chore. One dwie w jednym łóżku. Żyjące ze sobą jak mąż i żona. A teraz czuję się winna, jakbym je przeklęła. Jakbym to ja sprowadziła chorobę.

Roberta chciała jej opowiedzieć o poczuciu winy, ale nawet nie wiedziałyby, jak zacząć. Jej angielski nie był wystarczająco dobry. Niemieckich słów wystarczało tylko na zamówienie kawy czy zapytanie o drogę. Zresztą każdy język by ją zawiódł. Pomyślała o mapie Europy. O kuli ziemskiej i wszystkich ścieżkach i drogach przecinających ją zygzakami. O ludziach pielgrzymujących po tym świecie, jakby ich gnała pokuta.

## Matka

Może właśnie dlatego matka wcale się nie ucieszyła, gdy w połowie kwietnia Anna zaproponowała, że zostanie z nią do powrotu Roberty. Dopiero później najstarsza córka przyznała, że jej piękny dom jest obecnie terenem walk i potyczek. Trwała wojna, z którą nie miała ochoty się zmierzyć. Wbrew temu, co Anna zawsze uważała na swój temat, nie była typem człowieka, który ginie na barykadach czy chwytając byka za rogi. Zdecydowanie należała do grupy, która w momencie zagrożenia bierze nogi za pas. Uważała też, że jej kilkutygodniowa nieobecność dobrze zrobi mężowi i dzieciom na pobudzenie wyobraźni. Powinna to być dla nich wszystkich lekcja po wielu latach, które Anna im poświęciła, rezygnując z siebie. Wcale nie chodziło o to, że matka została bez opieki, tylko o dom rodzinny, który w oczach Anny jawił się teraz jako schron lub kuloodporny bunkier.

– Znakomicie sobie radzę. Wracaj do domu, Anno – powiedziała matka i niespodziewanie dla wszystkich, włącznie z nią samą, okazało się, że to prawda.

Podeszła do mapy, którą przyczepiła magnesem do lodówki, i zaznaczyła na niej zielonym flamastrem kolejny odcinek na trasie Roberty. Zielony kolor symbolizował zielony rower córki. Łatwiej jej było wyobrazić sobie najmłodsze dziecko podróżujące samotnie przez Niemcy wzdłuż tej zielonej kreski. Ostatnio, gdy rozmawiały, Roberta była w okolicy Düsseldorfu i według obliczeń matki z pewnością przekroczyła już granicę z Belgią. Ponieważ matka nigdy nie podróżowała, już same nazwy miejscowości brzmiały w jej uszach ekscytująco. Wyobrażała sobie, że w takich miejscach jak Düsseldorf czy Nijlen ludzie musieli być uśmiechnięci i zdyscyplinowani, a ich życie znacznie bardziej satysfakcjonujące.

Próbowała policzyć, ile dni upłynęło, odkąd Roberta nie wróciła do domu. Wyruszyła zdaje się 1 kwietnia. Tak, z pewnością, początkowo matka myślała przecież, że to jakiś primaaprilisowy żart. Pośmieją się z tej wymyślonej historii, gdy wróci z pracy do domu. No bo kto by pomyślał? Jej najmłodsza córka, zawsze taka odpowiedzialna, obowiązkowa i spokojna, o osobowości tak stonowanej jak sukienki, które nosiła, zamknięta w sobie jak słoik ogórków w spiżarce, skryta i nieufna, wsiada pewnego dnia na rower i rusza w Europę. Zostawia wszystko: starą matkę, dom, pracę i podąża do Paryża, nie wiadomo nawet po co i do kogo. Jeśli w ogóle do kogoś. Jeśli po coś.

Podczas rozmów z Iwoną i Anną próbowały to jakoś powiązać z kanapą. Przecież od kanapy się wszystko zaczęło. Zanim w domu pojawił się ten nieszczęsny, choć, musiała przyznać, bardzo wygodny mebel w kwiatki, Roberta zachowywała się tak jak zawsze. Nienagannie. Dzień mijał za dniem i każdy postępował według potrzeb i przyzwyczajień. Jak to w rodzinie. O ile panował porządek, jadano regularne posiłki i dwa razy w tygodniu włączano pralkę, nie było powodów, by wątpić w harmonijną ciągłość tych dni. Roberta wstawiała rano na dźwięk melodii w telefonie, która docierała do pokoju matki. Córka przynosiła jej lekarstwa do popicia, szykowała śniadanie dla nich obu, brała prysznic i ubierała się do pracy. Po pracy robiła zakupy i około siedemnastej była w domu, by podać przygotowany poprzedniego dnia obiad. Po obiedzie trochę rozmawiały, czasem słuchały muzyki ze starych płyt. Później Roberta najczęściej zniknęła w swoim pokoju, tak jak to robiła od lat. Gdy matka wchodziła, choć robiła to rzadko, bo unikała chodzenia po schodach, Roberta czytała ze stopami opartymi

o ścianę obok kopca ogryzków na talerzyku lub oglądała filmy. Najczęściej oglądała filmy.

Matka martwiła się czasem, że córka wymyślonymi historiami zastąpiła sobie rzeczywistość. Znalazła tam ten rodzaj niedoścignionego piękna i perfekcji, z którym nie mogło konkurować codzienne życie. A było w tym przecież coś martwego. Telewizja zdawała się wymyślona w tym samym celu co Bóg, czyli po to, by ludzie mogli się otrzeć o doskonałość. Celne riposty, na które nigdy nie wpada się na czas. Trafne puenty. Świetnie ułożone włosy, idealne wnętrza domów. Nad życiem głównego bohatera czuwał cały sztab scenarzystów, dialogistów, charakteryzatorów i licho wie kogo jeszcze. Ludzie tymczasem mieli tylko siebie. Działali w pojedynkę, po omacku i na żywo, bez dublerów i kaskaderów. Dlatego ginęli w wypadkach, a od potu świeciły im się tyłki.

Matka nigdy nie była zwolenniczką opowieści fabularnych. Najchętniej czytywała biografie i autobiografie znanych osób, a w telewizji oglądała publicystykę i programy kulinarne. Tyle ich teraz było i pochodziły z różnych, czasem bardzo egzotycznych, stron świata. Przypominały programy podróżnicze. Zachwycała ją mnogość sposobów przyrządzenia, dajmy na to, zwykłego kurczaka. Na ostro po meksykańsku, z czerwoną fasolą i kukurydzą, na słodko, w glazurze z miodu, na słodko-kwaśno po chińsku. Do tego jeszcze desery i całe bloki programów poświęcone szybkim szarlotkom i nieco wolniejszym mazurkom, sernikom na ciepło, na zimno i pomiędzy, babeczkom w stylu pin-up, kompozycjom, których przepisy brzmiały jak poezja. Niezliczona liczba programów o gotowaniu wylewała się z telewizora jakby na przekór czasom, kiedy większości ludzi nie chciało się wysilać i połykali fast foody, mrożonki czy gotowce.

Od czasu udaru, który przeszła kilka lat wcześniej i na skutek którego jej wzrok i sprawność lewej ręki pogorszyły się, matka czytała wolniej, a telewizji słuchała czasem jak radia. Łączyła i zastępowała zmysły, zapewniając tym bardziej obciążonym częsty odpoczynek. Lubiła, gdy Roberta czytała jej na głos, ale czuła wtedy zażenowanie, że wykorzystuje córkę, która nie potrafiła jej odmówić.

Roberta była taka opiekuńcza. Zawsze wydawało jej się, że to wielka szkoda, że córka nie ułożyła sobie życia i nie urodziła dzieci. Byłaby taką dobrą matką. Z pewnością lepszą od średniej córki Iwonki, która i po czterdziestce zachowywała się z niefrasobliwością nastolatki, a dzieci traktowała jak niewygodny obowiązek. Sama jeszcze tak dziecinna, gdy się urodziły, może się bała, że jeśli wróci choćby na chwilę do świata bajek, lalek i wycinanek, już nigdy się z niego nie wyrwie, a dzieci ostatecznie zrujnują jej szansę na dorosłość.

Roberta byłaby też lepszą matką od Anny, dla której dzieci były przedłużeniem jej osoby, ale nie w sensie genetycznym, bardziej jakby nadzorowała zespół podwładnych, których zachowanie i osiągnięcia rzutowały na jej wyniki jako szefowej. Traktowała je ze śmiertelną powagą jak sztywna pani prezes i nie potrafiła zwyczajnie cieszyć się z ich obecności.

Czy ona sama nie była właśnie taka? Czy nie z niej brała przykład najstarsza córka? Jej też wydawało się w tym wieku, że wie wszystko. Musiała zresztą w to wierzyć, by być autorytetem dla swoich córek. Z paniką zdała sobie sprawę, że niczego nie pamięta. Nie miała ani jednego wyraźnego wspomnienia związanego z żadną z nich. Jakby nigdy nie opowiadała im bajek, nigdy się z nimi nie bawiła. Zresztą czasy były inne. Pokolenia były od siebie odgradzone przepaścią. Rodzice nie mieli być kumplami. Mieli wychowywać dzieci. Ach, musiała to przyznać: podobnie jak Anna też nie potrafiła czerpać radości z bycia matką. Iwona w ogóle nie potrafiła nią być, więc to cud, że te jej dzieci, w dzieciństwie rzadko



regularnie karmione, przewijane czy wożone na spacer, wyrosły na sensownych młodych ludzi.

Roberta, potulna i ugodowa, przypominała zmarłego męża. On też lubił się ze wszystkim zgadzać, niechętnie angażując się w konfrontacje, o ile nie dotyczyły zagadnień matematycznych, gdzie wynik nie był przedmiotem interpretacji. Lubiła towarzystwo dzieci, lubiła objaśniać im świat, ale też bawić się z nimi. Emanowała spokojem, którego one potrzebowały najbardziej. Zwracała uwagę na to, co mówią, a jej nieudawana powaga w rozmowach z nimi, tak komiczna, gdy się było dorosłym i patrzyło z boku, stanowiła dla nich źródło dumy. Anna i Iwona zawsze mówiły, że być ciotką jest łatwiej niż matką, a Roberta nie ma dzieci dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie wyczerpują jej baterii, ale matka wiedziała, że chodzi o coś więcej. Roberta miała wrodzone zdolności pedagogiczne. Intuicję. Jak jej zmarły mąż.

Ze wszystkich córek to ona była do niego najbardziej podobna i z wyglądu, i z charakteru. Z wyglądu była w zasadzie podobna do jego matki. To w tamtej rodzinie kobiety były przynajmniej od kilku pokoleń postawne i ciemnowłose, o figurach Amazonek. Ona sama, podobnie jak jej matka i babka, a także pozostałe dwie córki, była drobną blondynką. Być może na to właśnie zwrócił uwagę jej przyszły mąż. Na jej odmienność. Nigdy o tym nie mówił. W tamtych czasach mężczyźni nie analizowali drobiazgowo swoich emocji. W tym wszystkim trzeba być przecież mężczyzną – tak powtarzał jej mąż.

Jakże lubiła opowiadać o tym, jak się poznali, każdemu, kto chciał wiedzieć. Kiedyś dziewczynki zanudzały ją bezustannie. Teraz nikt już nie pytał. Dla wnuków były to czasy tak zamierzchłe jak czarno-białe filmy, których nie lubili oglądać – w zasadzie nie istniały. Może i słusznie. Stare, czarno-białe kobiety rozmawiały ze sobą o dzieciach, wnukach, warzywach wyhodowanych w ogródkach i dolegliwościach trapiących ich ciała jak nieproszeni goście z biletami w jedną stronę. Były mniej niż kobietami. Więcej niż ludźmi. Były instytucjami. Przypominały małe państwka, w których najwięcej problemów sprawia służba zdrowia. Nie było w nich już nic romantycznego, żadnych rewolucyjnych porywów. Stagnacja wymierającego kraju.

Ona jednak lubiła do tego wracać, miała teraz dużo czasu na myślenie. Ponieważ książki męczyły jej wzrok, raz po raz odrywała oczy od liter i kierowała je w sufit lub zamykała, zapadając w coś w rodzaju medytacyjnej drzemki. Rozmyślała wtedy o swoim życiu. Przypominała sobie ludzi sprzed lat i związane z nimi historie. Co do niektórych nie miała nawet pewności, czy wydarzyły się naprawdę. Były jak mity utrwalone w pojedynczej świadomości teraz, gdy brakowało ludzi, z którymi mogłaby wspominać i wplatać wspomnienia w codzienność.

Położyła się na kanapie z autobiografią Lili Palmer, urodzonej w Poznaniu niemieckiej aktorki, która zmarła w Ameryce. Lubiła czytać o życiu osób starszych od siebie. Było ich coraz mniej wśród żyjących, więc odnajdywała coś pokrzepiającego w myśli, że Palmer, gdyby żyła, miałaby dziewięćdziesiąt lat, aż o osiemnaście lat więcej od niej. Podobne myśli nachodziły ją na cmentarzu, na którym z roku na rok spędzała więcej czasu, odwiedzając zmarłych krewnych, sąsiadów, przyjaciół. Spędzała więcej czasu, odwiedzając ludzi na cmentarzu niż żyjących, „w realu”, jak mawiały jej córki, porównując byt cmentarny do wirtualnego. No tak. Może coś w tym było. Może zmarli, których kiedyś tak dobrze знаła, funkcjonowali w wirtualny sposób w jej głowie. Nadal żyli, tylko nie mieli ciał ani żadnego realnego wpływu na jej życie. Byli częścią innego wymiaru podobnie jak ludzie, z którymi kontakt jest tylko wirtualny.

Od śmierci męża prawie nie wychodziła z domu. Nie miała takiej potrzeby i nie czuła wspólnoty z ludźmi, których znała, a którzy jeszcze żyli. Najczęściej byli schorowani i nie przypominali już siebie sprzed lat. Z pewnością to samo można było powiedzieć o niej. Nikomu o tym nie mówiła, ale czasami po prostu miała ochotę wpakować sobie kulkę w łeb, by zachować jako taką godność, zanim zgasną światła.

Wstała ze stęknieniem, by przyrządzić coś do jedzenia dla siebie i kota. Wiosenne skoki ciśnienia dawały się we znaki stawom. Bolał ją kręgosłup. Spojrzała na wiszący na ścianie w kuchni kalendarz ze zdjęciami najpiękniejszych na świecie ogrodów, który Roberta dostała w prezencie od jakiegoś klienta. Swoją drogą, czy to nie była zuchwałość, by nazywać je w ten sposób? Cóż to za komisja zebrała się, by je wyselekcjonować? Matka uznała, że należałoby je nazwać pięknymi ogrodami. Byłoby przecież uczciwiej. Denerwowała ją hiperbolizacja towarzysząca dzisiejszym czasom. Wszystko musiało być „naj”, jakby wszystko było towarem na sprzedaż.

Do końca kwietnia zostało już tylko kilka dni. Córki nie było więc w domu prawie od miesiąca. Wydawało się jednak, że minęło więcej czasu. Może dlatego, że po raz pierwszy w życiu mieszkała całkiem sama.

Jej dom rodzinny był przeludniony, miała przecież aż pięcioro rodzeństwa. W takich warunkach nie można było liczyć na prywatność, nawet w łazience. Odkąd wyszła za mąż, obok byli zawsze mąż i dzieci, a po śmierci męża Roberta wprowadziła się z powrotem do domu. Nigdy tak naprawdę nie była sama. Nawet przez krótki czas szkoły pomaturalnej mieszkała w bursie w czteroosobowym pokoju, w którym ona i jej trzy współlokatorki wchodziły wiecznie na siebie niczym zbiegające się na rogu ulice. Nawet unikając kontaktu wzrokowego, milcząc, ślęcząc nad książkami, miały świadomość swojej obecności. Wtedy jej to zresztą nie przeszkadzało. Była przyzwyczajona do fizycznej bliskości innych ludzkich ciał. Dzięki temu czuła się mniej samotna w nowym, dużym mieście, mniej tęskniła za domem.

Na początku, gdy Roberta zadzwoniła i powiedziała, że podróżuje i nie wróci do domu przez jakiś czas, matka poczuła wyłącznie rozdrażnienie. Denerwowała się, gdy coś działo się bez planu, a to z pewnością nie zostało uzgodnione wcześniej. Irytowała się nawet wówczas, gdy Roberta musiała pracować wieczorami i w te dni sama podgrzewała sobie obiad lub robiła jajecznicę.

Jej bardzo podobne do siebie dni były nie tyle przeżywane, ile odprawiane na kształt mszy. Składały się z poszczególnych rytuałów. Rytualne były pory posiłków, a nawet niezbyt zróżnicowane menu. Raz w tygodniu jadły ryby, zwykle w piątek, choć ani matka, ani Roberta nie były religijne. Raz w tygodniu była pieczeń, raz schabowe, raz mielone, raz makaron. Jednego dnia jadły coś na słodko, racuchy lub naleśniki z dżemem (Roberta) i serem (matka). Rytualne były jej ulubione programy telewizyjne, do których się przywiązywała. Należały do stałego rozkładu dnia, wokół którego jej myśli owijały się miękko, nie napotykając przeszkód. Dawało jej to poczucie bezpieczeństwa. Młodzi nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo starzy ludzie potrzebują poczucia bezpieczeństwa. Wszelkie choroby były dla nich nie tylko dolegliwościami męczącymi fizycznie. Zakłócały wewnętrzną stabilizację i powodowały, że żyli w stanie permanentnego napięcia. Przy tym wróg atakował znienacka, gwałcąc wszelkie konwencje w pozbawiony skrupułów sposób. Choroby przypominały terrorystów.

Trudno się więc dziwić, że gdy odłożyła słuchawkę po tej pierwszej rozmowie z córką 1 kwietnia, trzęsły się jej ręce. Zaraz jednak postanowiła wziąć się w garść. Miała przecież siedemdziesiąt dwa lata,

była dorosłą kobietą. Nawet bardziej niż dorosłą – starą kobietą. Kiedy, na miłość boską, miałyby sobie dać radę sama, jeśli nie teraz? Gdy zadzwoniły do niej dwie starsze córki, była już na to przygotowana. Choć z wielką przyjemnością sprowadziłyby jedną z nich lub nawet obie do siebie, chociażby po to, by przestały myśleć tylko o sobie, chciała ten czas potraktować jak wyzwanie. A przecież kiedyś lubiła wyzwania, doskonale poradziła sobie z wychowaniem trójki dzieci w trudnych peerelowskich czasach, gdy każdy człowiek musiał być mistrzem improwizacji. Co mogło być trudnego w zajmowaniu się samą sobą? Myśla się przecież, ubierała i jadła wciąż, dzięki Bogu, samodzielnie. Owszem, nie wychodziła sama, ale nie dlatego, że nie potrafiła tego zrobić – po prostu nie miała na to ochoty. Widziała w życiu już wszystko i wszystkich, których miała ochotę oglądać. Wszystko, co było do przeżycia i doświadczenia, już było za nią. A jeśli chodzi o gotowanie, to nie tak, że przez ostatnie lata zapomniała, jak to się robi. Kiedyś gotowała przecież każdego dnia. W razie czego miała też do pomocy programy kulinarne, których słuchała codziennie, jakby były słuchowiskami pełnymi apetycznych dźwięków siekania i skwierczenia. Brzmiały jak dom z jej dzieciństwa.

W dniu, kiedy Roberta nie wróciła z pracy, matka zjadła po prostu to, co córka zostawiła rano pod pokrywką dla nich obu. Znalazła tam kawałek suchej pieczeni wieprzowej (Roberta nigdy nie była zbyt dobrą kucharką), kaszę gryczaną i garść kiszonej kapusty. Przeżuwając powoli posiłek, słuchała wiadomości. Gdy weszła do kuchni, by opróżnić talerz z resztek i opłukać go strumieniem ciepłej wody (uważała, że korzystanie ze zmywarki to marnowanie energii), z przerażeniem dostrzegła osmalony czajnik na wciąż włączonym gazie. Jak to się stało, że nie usłyszała gwizdu? Wyrzucony z impetem gwizdek leżał na podłodze, a pusty już czajnik podgryzały niebieskawe płomienie. Szybko wyłączyła gaz i usiadła przy stole, by uciszyć kołatanie serca. Jedynie tego się bała. Niedoskonałości swojego umysłu, który wyłączał się od czasu do czasu jak zepsute urządzenie. Byłe nie wyłączył się w nieodpowiednim momencie, bo to mogło być tragiczne w skutkach. Nie podpalić kuchni, nie poślizgnąć się w łazience, nie spaść ze schodów i nie udławić się jedzeniem. Powtórzyła to sobie po cichu kilka razy jak mantrę. Na te zagrożenia musiała uważać. Cała reszta wydawała się stosunkowo łatwa do opanowania.

Jako była księgowa ufała cyfrom i kolumnom. Na drugi dzień wstała więc z mocnym postanowieniem stworzenia szczegółowego planu działania. Nazwała go Kryzysowym Planem Działania. Usiadła przy stole zaopatrzona w blok techniczny, linijkę i kilka kolorowych flamastrów trzymany od dawna w szufladzie. Używał ich jeszcze mąż, gdy przychodziła do niego młodzież na korepetycje. Nie widziała potrzeby, by je wyrzucać tylko dlatego, że go przypominały. Przecież nie chciała o nim zapomnieć. Wręcz przeciwnie. Och, córki tak przeżywały przemijanie, z trudem żegnały się z każdym etapem swojego życia, bo jeszcze nie rozumiały, że nic nigdy nie przemija. Teraźniejszość odkłada się w żyłach jak zły cholesterol. Będąc w jej wieku, człowiek tkwił w przeszłości mocniej niż w przyszłości i nie było w tym nic dziwnego ani bolesnego. Ot, naturalna kolej rzeczy.

Ze zdziwieniem zauważyła, że flamastry jeszcze nie wyschły. Były mniej śliskie, zostawiały matowy ślad, ale wystarczyło mocniej przycisnąć. Z lewej strony zrobiła wąską kolumnę, w której zapisała jeden pod drugim dni tygodnia. Linie poziome pociągnęła w znacznych odległościach od siebie, tak by zmieścić w nich poszczególne bloki godzin. Podzieliła każdy dzień na blok dzienny, od ósmej do dwudziestej pierwszej, oraz blok nocny, od godziny dwudziestej pierwszej do ósmej rano, przy czym poszczególne godziny podzieliła na dodatkowe rubryki. Blok godzin porannych obejmował czas od ósmej rano do

dwunastej w południe, południowych – do godziny piętnastej, popołudniowych – do osiemnastej i wreszcie wieczornych – do dwudziestej pierwszej. Taki podział wydawał jej się naturalny i dopasowany do rytmu zgodnego z jej naturą. Odsunęła od siebie kartkę na odległość ręki i przez chwilę z zadowoleniem oceniała schludność grafiku i wykorzystanie różnych kolorów. Poczowała się jak w programie telewizyjnym Adama Słodowego, który kiedyś mąż lubił oglądać z córkami, a później majstrowali te różne silniczki czy budki dla ptaków. Adam Słodowy zawsze wydawał jej się sympatycznym mężczyzną. Ciekawe, czy rzeczywiście był miłym człowiekiem.

Do dalszej pracy zabrała się już z ołówkiem w ręku. Zdawała sobie sprawę, że w miarę korzystania z planu konieczne mogą się okazać pewne poprawki i w związku z tym nie powinna nanosić na arkusz niczego w sposób trwały.

W bloku porannym, w godzinach od ósmej do dziewiątej, wpisała więc ołówkiem: „wstanie z łóżka i lekka gimnastyka rozciągająca (dopiero teraz przyszło jej to do głowy; nie gimnastykowała się od lat, ale wydawało jej się, że tak właśnie powinien wyglądać dobrze rozpoczęty dzień każdego człowieka), mycie i ubranie się”. W godzinach od dziewiątej do dziesiątej wpisała: „naszykowanie i zjedzenie śniadania, przyjęcie lekarstw, posprzątanie po śniadaniu”. Godzina dziesiąta wydawała jej się idealną porą na to, by wybrać się na zakupy. Tak dawno tego nie robiła, że nie miała pojęcia, ile czasu może jej to zająć, więc na wszelki wypadek założyła, że zakupy zrobi od dziesiątej do jedenastej. Godziny od jedenastej do trzynastej postanowiła przeznaczyć na oglądanie programów kulinarnych, z których mogła czerpać inspirację do przygotowania sobie ciepłego posiłku. Na zakupy zamierzała chodzić z kartką uwzględniającą określoną w przepisach listę produktów. Obiad miał odtąd być nie dziełem przypadku, ale zaplanowaną z ołówkiem w ręku przyjemnością. Zamierzała go szykować od trzynastej do czternastej. Teraz, gdy Roberta nie było, nie musiała na nią czekać i mogła jeść obiad znacznie wcześniej. Rozpisała cały dzień, wyznaczając nawet całą godzinę, między siedemnastą a osiemnastą, na życie towarzyskie. Nie była pewna co do tego punktu, bo wciąż nie miała ochoty na spotkania z ludźmi, ale w czasie tej godziny miała zamiar dzwonić do dwóch pozostałych córek lub chodzić na cmentarz. Wieczorem dopisała jeszcze jedną godzinę ćwiczeń fizycznych między dziewiętnastą a dwudziestą. Nie wydawało jej się to prawdopodobne, ale postanowiła, że się postara. Zrobi to dla tego ślicznego wielokolorowego arkusza.

Na drugiej kartce wypisała wielkimi literami, jakie leki musi przyjąć o jakiej porze dnia. Tę instrukcję także przygotowała w kilku jaskrawych kolorach, by się nie pomylić.

Na trzeciej wypisała z wykrzyknikami najważniejsze zalecenia do zapamiętania, czyli cztery razy NIE: NIE spalić kuchni, NIE poślizgnąć się w łazience, NIE spaść ze schodów, NIE zadławić się jedzeniem. Stwierdziła, że o innych sprawach pomyśli, gdy pojawi się konkretna potrzeba.

Gdy już przygotowała Kryzysowy Plan Działania, uczucie lęku trochę zmalało. Podczas kąpieli przypomniawszy sobie o praniu, którego również nie robiła od wielu lat i nie wprowadziła tej czynności do Planu, ale nie zamierzała brudzić zbyt wielu rzeczy. Postanowiła codziennie zmieniać bieliznę, ale przez większość czasu chodzić w dresie, który nadawał się także na zakupy. Taki dres wystarczyło przecież wyprać dwa razy w tygodniu.

Po chwili spojrzała na kota. Ten dziwny zwierzak pojawił się w domu w dniu, kiedy wyjechała Roberta, i czasem wydawało jej się, że zastępuje córkę. Musiała przyznać, że kot był znacznie bardziej ekstrawertyczny od jej najmłodszej córki, możliwe jednak, że powodem był jego wiek. Roberta natomiast

już jako dziecko była spokojna i zamknięta w sobie. Czasem denerwował ją ten sam apatyczny dystans, jaki cechował także męża. Jeśli kiedykolwiek istniał człowiek, który naprawdę przeproszał, gdy ktoś nadepnął mu na stopę, był nim właśnie on. Zdawało się w dodatku, że i on, i najmłodsza córka robili to wszystko, by zapobiec jakimś katastrofom, które czyhały nad głowami. Uważała to za przejaw dziwnej buty, bo żadna osoba nie ma takiej mocy. Nikt nie jest superbohaterem.

\* \* \*

Spotkali się z mężem na prywatce urodzinowej jej współlokatorki w tak zamierzchłych czasach, że jej samej wydawały się filmem, ale nie czarno-białym. Wręcz przeciwnie, to teraźniejszość była czarno-biała, wysycona z tamtych intensywnych barw. Wtedy zimy zdawały się waniliowo puszyste jak ilustracje do Królowej śniegu, wiosny pastelowe na wskroś, lata lepkie od dojrzałych owoców, jesień rdzawe i melancholijne.

Zwróciła na niego uwagę, bo był jedynym chłopcem, który się nią nie interesował. Jakby drobne blondynki z zadartym nosem nie były w jego typie. Był ubrany na czarno, w materiałowe spodnie i gruby golf, który podkreślał jego chudość i bladą twarz. Pół tej twarzy przesłaniały czarne okulary w grubych oprawkach, które nosił, zanim jeszcze zrobiły się modne za sprawą Cybulskiego. Wydawał jej się bardzo wyrafinowany i o wiele starszy, ale od koleżanki dowiedziała się, że wcale nie jest starszy, tylko studiuje matematykę. Uznała to wyjaśnienie za zabawne.

– Wiesz, oni tam są tacy poważni. Liczą tylko i liczą. Prędeż mi kaktus urośnie na dłoni, niż zaprosi cię na jakieś ciastko czy kawę.

Postanowiła więc wziąć sprawy w swoje ręce i poprosiła go o pomoc w rozwiązaniu zadań. Nie przypuszczała, że umówi ją ze swoim kolegą.

– On lepiej tłumaczy – wyjaśnił.

Był tak nieśmiały, że aż ocierało się to o zadufanie w sobie. Tak go na początku odbierała. Dopiero potem okazało się, że bał się odrzucenia. Śmiali się później, że równie dobrze mogłaby rzucić mu się pod nogi. Jej długie blond włosy traktował jak niebezpieczne liany i odwracał od nich wzrok. Ponieważ starał się nigdy nie zostać z nią sam na sam, była przekonana, że po prostu mu się nie podoba.

Dopiero później, po ślubie, już jako młody nauczyciel matematyki w pobliskim liceum wyzbywał się nieśmiałości. Kontrolując trzydzieścioro młodych ludzi i stojąc przed nimi dzień w dzień przez kilka godzin, jakby to były dzikie zwierzęta, nie tylko budował swój autorytet nauczyciela, ale też zdobywał umiejętność utrzymania kontaktu wzrokowego.

– Być nauczycielem to trochę jak być aktorem, a nawet komikiem – tłumaczył jej na samym początku małżeństwa, gdy praca była czymś na tyle nowym i egzotycznym, że poświęcał jej dużo uwagi.

Spędzali na rozmowach wiele wieczorów, bardziej bawiąc się w dom, jak to oceniła po latach, niż tak naprawdę go prowadząc. Byli przecież tacy młodzi. Z powagą oddawali się najprostszemu zajęciu. W całkowitej ciszy, którą już wkrótce miała zakłócić Anna, później Iwona i wreszcie Roberta, jedli obiad, a potem wspólnie po nim sprząkali w niewielkiej i ubogo wyposażonej kuchni. Ona zanurzała ręce w ciepłych mydlinach, wyciągała kolejne talerze i sztuczce, płukała i podawała mu, a on je wycierał ścierką. Kiedy ścierka była wilgotna, odwieszał ją skrupulatnie na kaloryfer i brał świeżą z szuflady. Mówił, że lubi dotyk i zapach świeżo wykrochmalonej ścierki do naczyń, więc zawsze dokładała je do

pościeli, którą niosła do osiedlowego magła. Tak po prostu, w wiklinowym koszu przykrytym starym obrusem. Myśląc o tym teraz, o sobie i sąsiadkach podążających do magła z koszami pod pachą, widziała je roześmiane w słońcu niczym bohaterki włoskich filmów z lat sześćdziesiątych.

Czasem przerywała mycie naczyń i pryskała mu mydlinami w twarz, próbując zburzyć coś z tej nabożnej powagi, ale nie lubił, gdy zachowywała się w ten sposób. Strofował ją. Prosił, by nie była dziecinna. Była przecież żoną nauczyciela liceum, nie byle kogo w lokalnej społeczności. Przecież wszyscy na ulicy kłaniali się mu z szacunkiem. Nigdy nie zmierzwił jej włosów, nie pochlapał wodą, nie złapał wpół i nie przechylił nad kuchennym blatem, nie pocałował w świetle dnia. Wydawało jej się, że dopiero dokazując jak dzieci, wyglądałoby tak, jak naprawdę powinni wyglądać zakochani. Może nawet zdjęliby mokre od mydlin ubrania, stojąc obok siebie i parszcząc jak źrebięta. Nie tak jak zwykle, gdy każde zamykało się w łazience, by wynurzyć się stamtąd w kompletnym nocnym stroju, on w piżamie, ona w koszuli nocnej, jakby szykowali się nie do snu, ale na nocny bal.

Zastanawiała się, czy inni mężowie też są tacy. Niektórzy wydawali jej się bardziej beztroscy, weselsi. Na przykład sąsiad z dołu przekomarzał się z nią żartobliwie, gdy wracała z ciężkimi zakupami do domu. Kłaniał się jej czasami wyimaginowaną czapką. Ostatecznie jednak nie było wiadomo, w jaki sposób zachowuje się, myjąc naczynia z własną żoną. Może jej mąż też flirtował z nauczycielkami w pokoju nauczycielskim? Choć trudno jej było to sobie wyobrazić. Nie, doprawdy, flirt z kobietą był dla niego bardziej zawiły niż rachunek różniczkowy czy całkowy. Czasem w kolejkach za kawą, cukrem, masłem, chlebem (zdawało się, że pół swojego życia spędziła w kolejkach, że mniej czasu zajmowały ludziom pierwotnym polowania na mamuty) rozmawiała z innymi kobietami, ale nigdy o tym. Mąż to mąż. Dopust boży. Co to w zasadzie za różnica: ten czy inny? Nie pamiętała chwil przeżytych z nim jako miłosnych. Wszystkie kłębiły się w nierozwiązywalnym węźle codzienności.

Nawet ich skromny ślub we wspomnieniu docierał bardziej obrazem odświętności. On wysoki, młodzieńczo szczupły i tak bardzo przystojny w czarnym garniturze, tym samym, którym włożył rok wcześniej na pogrzeb ojca. Ona w krótkich kremowych koronkach, które były najcudowniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek miała na sobie. Tę skromną sukienkę uszyła jej mama, przerabiając obfite, bufiaste cudo przesłane w najbardziej oczekiwanej paczce od ciotki z Francji. Pamiętała więc ślub jako podniosłą chwilę wypełnioną poczuciem nieodwołalności. Jakby ślub był nie umową społeczną, celebracją uczucia między dwojgiem ludzi, ale aktem żywiołu, na który nic nie można poradzić.

Zastanawiała się, czy wszystkie kobiety z jej pokolenia pamiętały to w ten sam pozbawiony romantycznej otoczki sposób. Przecież przed ślubem nawet nie spała ze swoim przyszłym mężem w jednym łóżku. Nie było też mowy o nocy poślubnej w niewielkim domu teściowej, w którym ją spędzili, a raczej świt i poranek, który się po niej wtoczył w oparach alkoholu i podbijanych echem odgłosach chrapania. Nie umieli być ze sobą zupełnie nadzy. Tylko raz widziała swojego męża nagiego, gdy przez przypadek weszła do łazienki. Z kłębow pianny wynurzał się czubek penisa i zrobiło jej się głupio, jakby w wannie siedział obcy mężczyzna. Jej mąż był dobrym człowiekiem, choć nie okazywał jej czułości, jaką dziś widywało się w niemal każdym filmie. Nie miała jednak wątpliwości, że ją kocha.

W jakimś programie, w którym młode kobiety rozmawiały o miłości, usłyszała, że w małżeństwie czy związku w zasadzie nie chodzi o to, czy kocha się tę drugą osobę, ale o to, czy się lubi siebie takiego, jakim się jest z tą osobą. Powiedziała wtedy Robercie, że wydaje jej się to symbolem nadmiernie

zindywidualizowanych czasów. Ludzie potrafili kochać już tylko siebie. Roberta stwierdziła, że chodzi raczej o uzmysłowienie sobie tego, jakim się jest w relacji z innym człowiekiem, i że są to sprawy, nad którymi z pewnością ona i inne kobiety z jej pokolenia nie zastanawiały się nadmiernie, bo życie było wtedy cięższe.

– Być może, dziecko, być może – odparła – ale to nie znaczy, że my nie kochaliśmy.

Żal jej było młodych kobiet. Były mądrzejsze, bardziej skomplikowane, ale przez to znacznie bardziej zagubione. Jej córki czy młode kobiety z telewizji wydawały się tak pewne siebie i tak otwarcie rozprawiwały na tematy, których wcześniej nie poruszano. Czasem wydawało jej się, że rozmawiają o wynalazkach, których nie znała. Mówiły o zdradach, rozwodach, tożsamości wirtualnej, schizofreniach, multifreniach, skomplikowanych potrzebach seksualnych. Każda z nich brzmiała jak psycholog z dyplomem, stanowiły same dla siebie nieustanne źródło fascynacji, jakby były pierwszym pokoleniem, które odkryło w sobie nowy, dodatkowy chromosom.

Udział Roberty w rozmowach siostr polegał bardziej na słuchaniu niż mówieniu. W tym też przypominała swojego ojca. Tak bardzo, że momentami matkę chwyciło to za serce i ścisnęło, aż brakowało tchu. Gest, z jakim odgarniała ciemne gęste włosy z czoła, wkładając w nie palce w dwóch szybkich ruchach, młodzieńcza niezgrabność, która została już na zawsze jak utrwalony tik. Nic nie dały lekcje baletu i tańca, na które ją zapisała na początku szkoły podstawowej. Podobnie jak jej ojciec zgadzała się uprzejmie na wszystko, ale do czasu. Z niczego nie wycofywała się stopniowo, tylko nagle, jakby pękła zbyt mocno dokręcona sprężyna.

Pewnego dnia po prostu oznajmiła, że więcej nie pójdzie do domu kultury na zajęcia, a matka ma ją wypisać. Podobnie było ze studiami. Po zdaniu egzaminów na drugim roku oznajmiła, że nie wraca na studia, tylko idzie do pracy w zakładzie pogrzebowym, którym kierował ten dziwny, mały, łysy człowiek z bródką, przypominający profesora Filutka z rysunków w „Przekroju”. Próbowali się wtedy dowiedzieć, skąd ta nagła zmiana planów, ale córka zacięła się i nie chciała z nimi na ten temat rozmawiać. Odebrała swoje dokumenty z uczelni i już następnego dnia zaczęła chodzić do pracy. Matka wiedziała, że na jej ośli upór nie ma rady, i nie zadawała więcej pytań. Także jej obecny wyjazd, nagły i niespodziewany, nosił znamiona tamtych ucieczek. Zapytanie Roberty o przyczynę było równie bez sensu jak wówczas, co nie znaczy, że matka nie była ciekawa.

\* \* \*

W ten pierwszy wieczór weszła do pokoju Roberty, jakby spodziewała się, że mimo wszystko ją tam zastanie. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Nie wiedziała, co by to mogło być. Może wygrana w konkursie, w którym główną nagrodą był pobyt w Paryżu, a może list od dawno niewidzianej koleżanki z Francji czy też jakiś kurs związany z jej pracą. Otwarte z impetem drzwi stuknęły o kaloryfer i ten dźwięk wystraszył matkę. Wydawało jej się, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

W środku jak zawsze panował porządek. Płyty z ulubionymi filmami Roberty stały na półce, obok leżał porządnie ułożony stos winylowych płyt, do których miłość odziedziczyła po ojcu – znowu jako jedyna ze wszystkich córek. Zresztą ona jedna pozwalała ojcu rozwijać się w sobie, jakby był przyjazną bakterią potrzebną do zachowania równowagi, chroniącą organizm przed chorobami autoimmunologicznymi. Siostry raczej podśmiechiwały się lub wręcz jawnie krytykowały ojca, powtarzając głupawe komentarze

szwagrów.

Biurko, to samo od wielu lat, Roberta odziedziczyła po Annie, gdy tylko najstarsza córka wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu. Drewno było już całkiem ciemne, upstrzone jaśniejszymi plamami w tych miejscach, gdzie w ciągu lat stały cięższe przedmioty: lampka Anny czy stojak na płyty.

Otworzyła szufladę. Na wierzchu leżała papeteria i stara koperta zaadresowana do Roberty. Wzięła ją w dwa palce. W miejscu nadawcy napisane było samo imię, Grzegorz. Wyczuła w kopercie zgiętą kartkę papieru. Zaczęła wyjmować list, ale szybko włożyła go z powrotem i wrzuciła kopertę do szuflady, jakby nagle poparzyła ją w dłonie. Zamknęła szufladę z głuchym trzaskiem. Nie miała zamiaru grzebać w prywatnych rzeczach córki. To byłoby nie w porządku.

Zanim wyszła, zatrzymała się na chwilę przy szafie. Za pierwsze zarobione w zakładzie pogrzebowym pieniądze Roberta kupiła sobie antyczną szafę z ozdobnym owalnym lustrem. Nie była wcale droga, córka wyszperała ją na targu staroci. Matka codziennie oglądała się w lustrze, myjąc w łazience twarz, ale dawno nie widziała całej sylwetki. Patrzyła na nią mała, stara kobieta. Nigdy nie była wysoka, ale zdawało się, że w ostatnich latach jeszcze zmalała, przygarbiła się, a może skurczyła. Spróbowała się wyprostować, ściągnęła łopatki, jednak niewiele to dało. Jedynie głowa była wyciągnięta pod dziwnym kątem, jakby należała do kukiełki. Dotknęła skóry na szyi i westchnęła. Po co komu tyle skóry na szyi? Jeszcze trochę i będzie z niej mogła zrobić szalik. Zdjęła spinę i rozsypała włosy wokół twarzy. Jak mogła się tak zapuścić? Włosy wyglądały na brudne. Roberta farbowała je od kilku lat na ten kolor, ale jeśli nawet kiedyś zdawał się pasować do jej twarzy, to teraz tylko podkreślał jej wiedźmowaty wygląd. Nos, dawniej dumnie zadarty, teraz opadał. W zasadzie nie było części ciała, której nie byłoby śpieszno do ziemi. Zdawało się, że za chwilę będzie mogła rękami objąć własne kostki. Spięła z powrotem włosy spiną, zła na siebie, że oddaje się tego rodzaju bzdurnym myślom, i postanowiła w grafiku wpisać wizytę u fryzjera. Mogłaby chodzić do fryzjera co cztery tygodnie, dajmy na to w każdy poniedziałek. Była co prawda przerażona, że ktoś obcy miałby dotykać jej brzydkich matowych włosów i że przez pół godziny będzie musiała siedzieć i patrzeć na swoją starą twarz w lustrze, ale postanowiła pomyśleć o fryzjerce jak o lekarzu, którego też trzeba znosić. Kolejny dopust boży.

\* \* \*

Pierwszego dnia, kiedy wyszła z domu na zakupy, zaskoczyło ją, jak wielu ludzi chodzi po okolicy o dziesiątej rano. Jakby w ciągu ostatnich kilku lat przybyło na osiedlu emerytów. Wszędzie witano ją przyjaznym „dzień dobry”. Niektórych poznawała, inni być może kłaniali się z sąsiedzkiej uprzejmości. Z zakłopotaniem dotknęła swojej głowy. Była pewna, że brudnawo wyglądające włosy dodają jej lat, i pożałowała, że nie włożyła czapki, ale po pierwsze był bardzo ciepły kwietniowy dzień, a po drugie stwierdziła, że raczej nikt nie zwraca uwagi na tak starą kobietę jak ona. Ludzie mieli inne problemy na głowie.

Po osiedlu chodziło też sporo młodych kobiet z wózkami. Wszystkie jedną ręką prowadziły wózek, a w drugiej trzymały telefon, do którego cały czas mówiły. O czym one, do licha, tak zażarcie dyskutowały, no i jak się czuły te dzieci w wózkach? W końcu nie były przewożonymi na taczkach workami kartofli. Chciała opowiedzieć o tym Robertce zaraz po powrocie do domu, ale przypomniała sobie, że córki tam nie będzie. Przemierza samotnie rowerem Europę niczym jakaś Amelia Earhart



przelatująca nad Atlantykiem. Czy ktoś w ogóle jeszcze pamiętał, kim była Amelia Earhart? Usłyszała o niej od kolegi, który interesował się awiacją. Był to ostatni chłopiec, z którym spotykała się, zanim poznała przyszłego męża. Jeszcze dziś pamiętała, jak błyszczały mu oczy, jakby chciał, by zobaczyła to, co on widzi, dwa samoloty w tych oczach. Córki mówiły, że teraz wszystko można przeczytać w internecie, wszystkiego można się dowiedzieć. Zgadzała się z nimi, z pewnością musiało to być ogromne udogodnienie, ale nikt chyba nie siadał po prostu i nie czytał o awiacji. Kto więc pobudzał zainteresowanie, kto zarażał oczami, w których leciały samoloty? Zapomniała w swoim życiu wiele rzeczy, ale do dziś pamiętała, że Amelia Earhart była pierwszą kobietą, która samotnie przeleciała nad Atlantykiem. Ach, cóż to była za kobieta! Jak mogła nie zaimponować jej, przyszłej księgowej, podekscytowanej, gdy wszystkie konta ładnie się bilansowały?!

Czasem ubolewała nad tym, że żadnej z córek nie wychowała w ten sposób. Tak, by były silnymi, samodzielnymi kobietami. Anna zawsze wszystko wiedziała najlepiej, a ostatecznie wyszła za mąż szybko, jakby się paliło, i nie tylko nie poszła na studia, ale nawet nie znalazła pracy, uważając, że zajmowanie się domem, mężem i dziećmi to jej zawód. Eteryčna Iwonka, najweselsza ze wszystkich córek, niefrasobliwie zaszła w ciążę jeszcze przed ślubem i z jakiegoś powodu uznała, że jest zbyt głupia i zbyt leniwa, by robić cokolwiek innego. Roberta, zamknięta w sobie i zakompleksiona, poświęciła całe swoje życie innym niczym jakaś święta. Oczywiście, że korzystały z tego wszystkie: Anna, Iwonka, ona sama.

Kiedy Roberta ponownie wprowadziła się do domu po śmierci ojca, także uznała to za znakomity pomysł. Po co miały mieszkać osobno, gotować osobno, oddzielnie robić zakupy? Dwie samotne kobiety w dwóch pustych przestrzeniach: jaki to miało sens? Była przede wszystkim osobą praktyczną i lubiła, kiedy życie się bilansowało tak jak rachunki w księgach. Kochała swoją najmłodszą córkę. Kochała wszystkie trzy, ale każda wydawała jej się w jakiś sposób niepełna i niepodobna do niej. Żadna nie potrafiła pogodzić pracy zawodowej z rodziną, w czym więc się przejawiały te ich dodatkowe chromosomy? Może one coś zgubiły, zamiast zyskać w tej ewolucji?

Roberta jako kobieta bezdzietna budziła w niej dodatkowe obawy. Zdawała się przez to wiecznie niedojrzała, niczym dorosła dziewczynka. Poza tym matka bała się, że tęsknota za macierzyństwem obudzi się w córce w najmniej odpowiednim momencie. Chyba miała świadomość, że czterdzieści lat to za późno na pierwszą ciążę, nawet biorąc pod uwagę postępy dzisiejszej medycyny. Słyszało się o tym cały czas. Nawet młode kobiety miały problemy z zajściem w ciążę. Mówiono, że to jedna z chorób cywilizacyjnych. A przecież każdy wiedział, nawet tak stara kobieta jak ona, że tego nie można odkładać. Przecież na wszystko jest czas i miejsce. Ach, te współczesne kobiety ze swoimi dodatkowymi chromosomami, chciały zjeść ciastko i mieć ciastko, chciały mieć wszystko, a potem godzinami rozprawiały o tym, że nie mają niczego.

\* \* \*

Po powrocie do domu matka ponownie wyjęła blok i położyła go na stole. Przygotowała drugą kartkę i na górze wpisała czerwonym flamastrem: „Lista tematów”. Chciała o tym wszystkim porozmawiać z Robertą, gdy córka wróci. Nie o swoich dywagacjach dotyczących Roberty, jej sióstr, ich wyborów, chromosomów nabytych czy zagubionych, ale o innych kwestiach, które przysły jej do głowy na przykład

podczas dzisiejszej wycieczki do sklepu spożywczego.

Jako pierwszy wpisała temat młodych matek ignorujących swoje dzieci w czasie spacerów. Z rozpędu wpisała pod spodem punkt drugi i postukała flamastrem w stół, zastanawiając się chwilę. Po co pojechałaś do Paryża? Dlaczego rowerem? Dlaczego przestałaś chodzić na balet? Dlaczego zrezygnowałaś z medycyny? Od kogo jest list w twojej szufladzie? Dlaczego zdecydowałaś się na tak dziwną pracę? Dlaczego nie wyszłaś za męża? Dlaczego nie urodziłaś dzieci?

Z zaskoczeniem przyjrzała się kartce bloku technicznego pokrytej rozrzuconym, gniewnym pismem w czerwonym kolorze, które przypominało marsz rozwścieczonych czerwonych mrówek. Podarła ją na kilka części i wyrzuciła do kosza. Sięgnęła po kolejną i tym razem przygotowała po prostu schludną tabelę, wpisując tylko pierwszy punkt. Była pewna, że do powrotu Roberty tematów do zreferowania córce nasunie jej się co najmniej kilka.

Choćby kot. Dostarczał jej niespodziewanie wielu wrażeń. Początkowo przychodził tylko na kuchenne okno, później zaczęła go wpuszczać do domu. Najpierw na kilka godzin, jakby przychodził z wizytą. Kiedy wchodziła rano do kuchni, czekał już na parapecie zwinięty w puchaty szary kłębek i wpatrywał się w ciemne przecinki ptaków. Gdy tylko zarejestrował jej obecność, odwracał się i stawał na tylnych łapkach, a oczy błyszczały mu jak latarki. Choć tak na niego gderала przy Robercie, zaczęła go wypatrywać. Cieszył się jej obecnością jak dawno temu córki. Ach, być znowu kobietą, która sprawia, że rzeczy się dzieją. Mieć taką moc.

Otwierała mu drzwi i nalewała mleka na spodek. Łasił się do jej łydek aż strach, aż się bała, że się na tej kociej miłości przewróci. Pierwszego dnia, gdy tylko zjadł, od razu chciał wrócić na zewnątrz. Drugiego został nieco dłużej. Obwąchał kuchnię, przytykając mały, lśniący nosek do płytek i szafek. Ochoczo podbiegł do kanapy, jakby była czymś już znanym, ułożył się na niej w zgrabny kształt i zasnął.

Pewnego dnia kupiła mu w sklepie surową rybę i zmieliła ją w mikserze. Choć wydało jej się to dziwną fanaberią, z rodzaju tych, na które sama sobie nie pozwalała, z przyjemnością patrzyła na zapał, z jakim to małe zwierzę pochłaniało nową zawartość spodka. To dopiero była zachłanność na życie. Pulsowała w niej przy tym jakaś czułość, jak w czasach, gdy córki czy wnuki były nieporadnymi maluchami. Spodek zdawał się niezbyt wygodny. Zmielone części ryby spadały na płytki, a jej ciężko się było schylać. Choć nie było tego w grafiku, postanowiła wybrać się do najbliższej galerii handlowej w poszukiwaniu miski dla kota. Z pewnością był tam sklep zoologiczny lub choćby sklep z rzeczami dla domu.

Nie poprosiła o pomoc żadnej z córek, choć tak byłoby najprościej. Jedna z nich mogłaby kupić i przywieźć jej taką miskę, ewentualnie zawieźć matkę samochodem do sklepu, ale nie chciała nikogo wtajemniczać w to, że zwierzak zajmuje tak dużo miejsca w jej sercu. Anna z pewnością powiedziałaaby coś kąśliwego o swoich dzieciach, jakby matka zaniedbywała już dorosłe wnuki, a Iwonka stroiłaby sobie z niej żarty. Poza tym cieszyła się na wyprawę autobusem. Od pierwszego spaceru po osiedlu z każdym dniem nabierała coraz większej ochoty, by wypuszczać się dalej. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie pamięta, kiedy ostatni raz korzystała z komunikacji miejskiej. Jeśli była potrzeba, wszędzie woził ją mąż, a później córka. Sama nigdy nie próbowała zrobić kursu na prawo jazdy. W tamtych czasach kobiety rzadko siadały za kierownicą, anieliczne samochody przemierzające się po ulicach były domeną mężczyzn, tak jak młotek, spodnie czy przekleństwa. Mąż był dobrym i uważnym kierowcą, a wożenie jej

sprawiało mu przyjemność. Kiedy zmarł, rolę szofera przejęła Roberta. Zresztą po jego śmierci matka nie miała zbyt wielu potrzeb, by kontaktować się ze światem zewnętrznym. Czasem odwiedzała przychodnię lub cmentarz. Teraz, gdy o tym pomyślała, jej przygnębienie, może nawet depresja, wydało się czymś oczywistym. W końcu te miejsca działają na człowieka przygnębiająco.

Dopiero gdy doszła do przystanku, uświadomiła sobie, że nie ma biletu. Czy emeryci musieli go kasować, czy też mogli jeździć za darmo? Nie miała pojęcia. Na przystanku stała młoda kobieta z dzieckiem, ale nie chciała jej zaczepiać z obawy, że wydałaby jej się kosmitką. Postanowiła się cofnąć i kupić bilet w sklepie. Mogła przecież pojechać późniejszym autobusem, nigdzie jej się nie śpieszyło. W sklepie powiedziano jej jednak, że musi kupić bilet w automacie, bo już od dawna ich nie sprzedają, a to stało się wyzwaniem nie do przejścia. Szukała jakiegoś przycisku, by uruchomić diabelskie urządzenie, które przypominało skrzyżowanie komputera z tablicą ogłoszeń, ale nie znalazła. Uznała to za niedorzeczne. Jak można zakładać, że wszyscy ludzie wiedzą, jak obsługiwać takie automaty? Ten w dodatku wydawał się nieczynny. Zniechęcona i zła postanowiła po prostu pojechać na gapę. Może emeryci byli zwolnieni z opłat, a w razie czego wytłumaczy kontrolerowi tę sytuację. Na miłość boską, nie stworzy przecież biletu, skoro nie sprzedają ich w sklepie, a jedyny automat na osiedlu nie działa.

Kiedy wsiadła do autobusu, dostrzegła w nim kolejny automat, nieco inny, mniejszy, więc podeszła do niego z nadzieją, że z takim malutkim sobie poradzi. Autobus szarpnął jednak, gwałtownie ruszając z przystanku, musiała więc szybko usiąść na najbliższym wolnym miejscu, by się nie przewrócić.

– Czy mógłby mi pan kupić bilet? – zapytała siedzącego naprzeciwko młodego chłopaka.

Mógł być w wieku jej najstarszego wnuka Teodora. Był porządnie ubrany i miał miły wyraz twarzy, który nie zmienił się, gdy się do niego odezwała. Mimo wszystko spróbowała jeszcze raz, przekrzykując szum i warkot silnika. Dopiero wtedy zauważyła, że chłopak ma słuchawki w uszach. Spojrzał na jej poruszające się usta i wyjął jedną z uprzejmym uśmiechem.

Powtórzyła swoją prośbę po raz trzeci, tym razem z nutą zniechęcenia, jakby była turystką w obcym kraju, którego języka wcześniej uczyła się z książek, i ostatecznie okazało się, że ten prawdziwy nie ma z książkowym nic wspólnego. Podała chłopakowi wysuwane z portmonetki drobne. Ze smutkiem zarejestrowała, że cała operacja zajęła mu kilka sekund. Poczuli się stara.

Tym bardziej ucieszyło ją, gdy szybko odnalazła sklep zoologiczny na samym parterze centrum handlowego. Zaszła się za regałem z towarami przeznaczonymi dla kotów. Bez końca oglądała naczynia i różne kocie zabawki, aż w końcu zdecydowała się na trzy miski: czerwoną, niebieską i zieloną, tak by mogła oddzielnie podawać mu karmę suchą, karmę mokrą oraz wodę.

Karmy pomogła jej wybrać młoda dziewczyna z obsługi, z długimi włosami przypominającymi grube sznurki, schowanymi pod różową chusteczką. Choć miała kolczyk w nosie, okazała się bardzo miła. Za jej radą matka wzięła dodatkowo dwie myszki na tasiemkach ozdobionych kolorowymi piórami i dzwoneczkiem. Myszki były dość drogie i pomyślała, że sama mogłaby zrobić zabawki z włóczki, ale głupio jej było przed sprzedawczynią, która poświęciła jej tyle czasu, więc położyła je na ladzie. Później weszła jeszcze do sklepu z gazetami, by kupić bilet na drogę powrotną. Tym razem miała więcej szczęścia, bo ekspedientka potwierdziła, że sprzedają bilety.

– Nie orientuje się pani, czy przysługuje mi jakaś ulga jako emerytce? – Zebrała się na odwagę, rozpościerając w uśmiechu wachlarz zmarszczek.

Ekspedientka tylko wzruszyła ramionami zniecierpliwiona. Jak to się działo, że kobieta w podobnym wieku w sklepie zoologicznym była taka miła, a tutaj odpowiedziano jej wzruszeniem ramionami? Może w sklepach z towarami dla zwierząt od sprzedawców wymaga się cierpliwości i dobroci, a w sklepach dla ludzi już nie?

– Nie potrzebuje pani biletu, jeśli ma pani ukończone siedemdziesiąt lat – wtrąciła się stojąca za nią kobieta. – Wiem, bo teściowa, odkąd skończyła siedemdziesiątkę, kursuje po całym mieście jak szalona. Potrafi po kostkę masła jechać na drugi koniec Poznania.

Ucieszona wyszła z kolejki, zastanawiając się, czy nie powinna być jak teściowa tej kobiety. Tamta prowadziła tak aktywne życie, nawet jeśli aktywność sprowadzała się do wycieczek po masło. Po chwili jednak stwierdziła zdegustowana, że byłoby okropnym marnotrawstwem czasu i zajmowaniem miejsca, gdyby krążyła środkami transportu bez większego celu tylko dlatego, że przysługują jej nieodpłatne przejazdy. Gdyby jednak nabrała ochoty, by zapisać się na jakieś stałe zajęcia w innej części miasta... tak, wtedy miałyby to sens.

Ożywiona tą myślą wróciła do domu. Kot pojawił się nagle na oknie kuchennym, jakby na nią czekał. Z dumą zastąpiła wyszczerbiony spodek nowymi miseczkami. Do jednej wsypała kolorową suchą karmę, a do drugiej wlała wodę z kranu. Obserwował jej krzątanie z ciekawością, liżąc raz po raz futerko długim, szorstkim językiem, który zdawał się pokryty metalowymi haczykami.

– Panna Cotta! – zawołała pieszczotliwie. Postanowiła go wreszcie nazwać, jakby podjęła decyzję, że go adoptuje, a jego towarzyskie wizyty zmieni na zamieszkanie.

Kot ostrożnie obwąchał nowe nabytki i wgryzł się w suchą karmę. Tego dnia został w domu dłużej. Wychodził na dwór w zasadzie tylko za potrzebą i wieczorami. To był wygodny system, bo nie musiała mu kupować kuwety i specjalnego żwirku, który też oglądała w sklepie zoologicznym. W nocy położył się w nogach jej łóżka, ale nie chciała go do tego przyzwyczajać. Wyjęła więc z szafy dużą, starą poduszkę, na której sypiał jej mąż, i położyła ją obok łóżka. Kot dreptał po niej, ugniatając wszystkie wybrzuszenia łapkami i, o dziwo, nawet się tam położył, ale kiedy przebudziła się w nocy, usłyszała jego mruczenie na tym samym miejscu, w nogach łóżka. Żółte oczy chwilę świeciły w ciemności, po czym zgasły. Poczuli się uspokojona jego obecnością i szybko zasnęła.

\* \* \*

W nocy przyśniła jej się Roberta. Spotkała ją niedaleko automatu, w którym nie udało jej się kupić biletu tego ranka. Córka miała na sobie tylko jeden but, za to duży i błyszczący jak kalosz. Poruszała się w taki sposób, jakby szła z daleka i nie zamierzała się zatrzymywać. Zwolniła tylko obok maszyny, utykając mocno na lewą nogę w samej skarpetce. Rozmawiały w dziwny sposób, bo matka stała w miejscu, a córka wciąż szła, przy czym przez cały czas była odwrócona do matki przodem i nie zniknęła jej z pola widzenia.

– Dziecko, gdzie jest twój drugi but?

– No właśnie nie wiem, mamu. Szukam. Szukam go i szukam już od tyłu dni. Chodzę i wypytuję, ale nikt nic nie wie. Ktoś mi go chyba ukradł lub zabrał.

– Kto by ci but ukradł? Kiedy i gdzie?

– Myślę, że to się mogło stać na lodowisku. Zdjęłam buty, by włożyć łyżwy. Mknęłam po lodowisku

jak ptak. Szybowałam. Powinnaś była mnie widzieć, mamó. Byłam taka zgrabna, taka lekka, jakbym płynęła, i ani razu się nie przewróciłam. A kiedy zesłam z lodowiska, buta już nie było. Tylko ten jeden.

\* \* \*

Matka obudziła się rano z niewyraźnym wspomnieniem snu, nieprzyjemnym raczej, jakby coś nie zostało załatwione. Bilet nie został kupiony, but nie został odnaleziony. Co miał oznaczać ten sen? Czy na tym polegała podróż Roberty? Na jakiejś odwróconej wersji bajki o Kopciuszku, w której zamiast czekać na księcia z bajki, sama rusza na poszukiwanie? Czy jeśli znajdzie drugi but, znajdzie jego? Kto tak naprawdę czekał na nią w Paryżu i czy to możliwe, by w to wszystko był wmieszany jakiś mężczyzna? Te wieczne tajemnice córek. Matka westchnęła z niechęcią. Anna nic nie powiedziała, gdy zięć wyprowadził się do innej kobiety, Iwona nigdy nie zwierzała się z problemów finansowych, a teraz Roberta. Za kogo one ją miały? Za jakąś niedołączną babcię, która niczego nie zrozumie i którą trzeba chronić przed najmniejszym przejawem tego, co rzeczywiste?

Kot miauknął i potruchtał za nią do łazienki. Nie wiedziała, że można w ten sposób oswoić zwierzę. Traktował ją jako gwarancję swojego bezpieczeństwa i otwieracz do lodówki. Nigdy nie było wiadomo, kiedy kobieta wstanie i wyjmie z niej jedzenie, a on z pewnością nie był głupi i nie chciał przegapić tego momentu. Chodził więc za nią krok w krok, tak na wszelki wypadek. A może naprawdę ją polubił tak jak ona jego? Lubiła mu się zwierzać ze swoich planów. Sprawiał jej także przyjemność widok ucieszonego kota, gdy wracała do domu.

Wzięła prysznic, uważając przy wychodzeniu z kabiny, by się nie poślizgnąć na kilku płytkach. Zawsze była uważna, ale teraz, gdy Roberta wyjechała, starała się uważać jeszcze bardziej. Powtarzała sobie, że obecnie może liczyć tylko na siebie, i sprawiało jej to dziwną przyjemność.

Weszła do pokoju córki, tym razem delikatnie przytrzymując drzwi, tak by nie uderzyły o kaloryfer. Z bijącym sercem ponownie otworzyła szufladę. List nadal tam leżał. Przeraziło ją nagłe mruknięcie kota, który wślizgnął się za nią do pokoju, przebiegł w kilku susach po dywanie i wskoczył na parapet, by tam z ciekawością oddać się obwąchiwaniu kaktusów Roberty. Pod kopertą znalazła stary wycinek z gazety, coś o przeszukiwaniu dna Jeziora Kierskiego i odnalezieniu ciała młodego mężczyzny, studenta medycyny. Autor krótkiego i dość suchego w treści artykułu zaznaczył pod koniec, że w tej sprawie jest prowadzone śledztwo i jeszcze nie wiadomo, co spowodowało śmierć mężczyzny.

Czy Roberta mogła mieć coś wspólnego z tą śmiercią? Mogła przecież znać tego chłopca. Matka spojrzała na datę wydania gazety w stopce – dwadzieścia lat temu, maj, tuż przed ostatnimi egzaminami na drugim roku. Była już niemal pewna, że córka miała coś wspólnego z tym zdarzeniem, a na pewno znała chłopaka i być może miało to związek z jej tajemniczą rezygnacją ze studiów. Nie pamiętała, by Roberta spotykała się z kimś w tym czasie. Wokół niej nigdy nie kręcili się chłopcy, inaczej, niż gdy dorastały starsze córki.

Wtedy do domu wiecznie dobijała się jakaś młodzież. Telefon się urywał. Martwiąc się o nie, żałowała, że nie są choć odrobinę mniej popularne. Roberta była inną nastolatką. Swoją wewnętrzną ciszą emanowała na zewnątrz, otaczała się nią jak bańką. Najczęściej słuchała płyt, czytała, oglądała filmy. Sama lub z przyjaciółką. W zasadzie tak jak teraz. Telefon rzadko dzwonił i matka nie pamiętała, by w ogóle odwiedzali ją jacyś chłopcy. Westchnęła. Gdyby tylko córka się tak nie garbiła, gdyby nie

zrezygnowała z zajęć baletu, gdyby troszkę schudła. Wszystko wyglądałoby inaczej.

Teraz, gdy ciekawość matki została pobudzona zawartością artykułu, czuła ogromną chęć, by wyjąć list z koperty i go przeczytać. Ponieważ lubiła postępować fair, musiała to sobie jakoś zracjonalizować. Czy matka nie powinna wiedzieć, w co uwikłało się jej dziecko? A może groziło jej niebezpieczeństwo? Może ktoś zabił tego chłopaka, wrzucił jego zwłoki do jeziora, a obecnie podążał śladami Roberty, która po wielu latach odkryła tożsamość zabójcy?

Zawstydziała się. Gdyby córka tu była, śmiałyby się, że matka naczytała się historii kryminalnych i coś sobie ubzdurała. Mimo wszystko jednak wydawało jej się, że w liście może tkwić wyjaśnienie zagadkowego wyjazdu córki, i czytając go, zdoła zapobiec nieszczęściu.

\* \* \*

*Witaj, Erko!*

*Czas zdjąć bursztyn, czas zmienić słowa, czas zgasić lampę nad drzwiami. Tak to jakoś szło, prawda?*

*Najważniejsze napiszę na samym początku. Kocham Cię. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek to ode mnie usłyszałaś, więc pora najwyższa, zważywszy na okoliczności, nie sądzisz? Zadaję Ci tyle pytań, zdawałoby się, że jest to jeden z tych listów, na które się odpisuje, a jednak tam, dokąd się wybieram, nie będę oczekiwał odpowiedzi. Trudno też zostawić jakikolwiek adres zwrotny, który nie trąciłby patosem. Wybacz.*

*Piszę do Ciebie i słucham muzyki Ennia Morriconego, ścieżki do Ostatniego Mohikanina, i od razu robi mi się pod palcami szerzej i dalej, tak że ginie horyzont tego listu, jakby miał się nigdy nie skończyć. Kiedy go dostaniesz, a jak mnie zapewniono, poczta dostarczy go najwcześniej w poniedziałek, nie będę miał już ciała. Pozbędę się go. Nie pytaj jak. To nieważne. Ciało to zbędny balast, kiedyś i Ty to pewnie zrozumiesz.*

*Nie chcę, by ktokolwiek mnie szukał. Niektórzy będą myśleli, że po prostu zniknąłem, może zaginąłem, tak jak wielu ludzi każdego dnia. Podobno w skali roku w Polsce to aż piętnaście tysięcy. Spora liczba jak na zapadanie się pod ziemię, więc jedna osoba więcej nie robi tu różnicy. Pragnę jednak, byś Ty jedyna wiedziała, jak to było ze mną naprawdę. Inni niech sobie myślą, co chcą. Nie obchodzą mnie.*

*Naprawdę to jest tak, że już nie potrafię budzić się codziennie rano. Zmęczyła mnie przygniatająca liczba nowych poranków. Nie chcę już być przykładnym synem pana doktora i pani doktor. Nie chcę studiować medycyny. Nigdy nie chciałem. Kompletnie nie rozumiem, dlaczego dałem się wmanewrować w ten przekręt stulecia. Tak naprawdę chciałem być kierowcą tira. Poważnie. Myślę, że to musi być niezły odjazd, tak wsiadać do szoferki i prowadzić wielką bestię gdzieś po horyzont. Budzić się każdego dnia pod innym niebem. Wiem, co byś powiedziała, bo już trochę Cię znam. Powiedziałaabyś, że nie muszę być na utrzymaniu rodziców, mogę rzucić studia i robić to, co chcę, choćby zostać kierowcą tira. Ty może byś tak potrafiła. Jesteś taka odważna. Nigdy nie spotkałem kogoś tak odważnego jak Ty. Roberta Lwie Serce. Weszłaś w samo ciemne jądro tego piekielnego domu w cienkim sukienkowym trapezie, z którego później szydziła moja matka. Wybacz ćpunowi tę bezpośredniość. Tak się dzieje, gdy tabletki podprowadzane ojcu już*

nie wystarczają. Mam nadzieję, że zawsze taka będziesz. Trochę naiwna. Myślę, że nie miałaś pojęcia o moich uzależnieniach. Nie pasowało to do wizerunku ulizanego gościa w odprasowanych koszulach, prawda?

Jesteś taka cudownie niewinna. Z kimś takim mógłbym spędzić życie, gdybym zamierzał je spędzać, ale życie to nie wakacje w ciepłych krajach. Problem polega na tym, że bez względu na to, czy byłbym kierowcą tira, lekarzem, czy poławiaczem perłę, za każdym razem musiałbym być sobą. A sobą nie mam już siły być. To chyba najlepsze określenie. Nie wiem, dlaczego mówi się o samobójcach, że nie chcieli żyć. Nie mogę mówić za nas wszystkich, nie znam przecież ani jednego reprezentanta tej licznej grupy, bo dla nas liczy się skuteczność, ale to nie tak, że nie chcemy. Bardzo chcemy, tylko nie mamy siły. Ty, Erko, jesteś tak samowystarczalna, z normalnego domu, tak uroczo zrównowazona, że nie poznałaś się na mnie. Na moich kłamstewkach i wadach. Wcześniej czy później jednak otworzyłyby ci się oczy i kopnęłabyś w tyłek mnie i całą tę porąbaną rodzinę, która nie powinna się dalej rozmnażać. O tak, wiem, co mówię. Wierz mi, że pisząc te słowa, odczuwam wyjątkową radość, że jestem jedynakiem. Pozostaje się tylko modlić (to zadanie dla Ciebie) i mieć nadzieję, że ojciec nie zapłodnił i już nie zapłodni innych kobiet. Nie wzdrygaj się, to prawda. Tych chorych genów nie należy przekazywać. Ta historia kończy się tutaj. Na mnie.

Kochana Erko, być może ten mój pierwszy, a zarazem ostatni list do Ciebie wyda Ci się smutny, ale uwierz mi, nie taki był mój cel. Wręcz przeciwnie, nie chciałem zniszczyć Ci życia, a tak by się to skończyło. Szybko byś uciekła, gdzie pieprz rośnie, albo się ze mną męczyła, wychowując obciążone genetycznie wnuki Jej i Jego: Pana poniżającego Panią i Pani poniżającej syna. To ich największe życiowe dokonania. Dyplomami lekarzy i pamiątkami z konferencji medycznych mogą sobie podetrzeć tyłki. W końcu ja też znalazłbym sobie kogoś do poniżania, tak jak niektórzy znajdują sobie kogoś do kochania. Nie myśl też nigdy, że mogłaś mnie ocalić. Zaufaj mi. Żyj pięknie, bądź szczęśliwa.

Grzegorz

Matka zgięła kartkę z powrotem na pół. Ze zdziwieniem zauważyła, jak bardzo trzęsą jej się ręce. Ciekawe, że z niektórych emocji człowiek nie zdaje sobie sprawy, po prostu je czuje, potrzebuje jakiejś zewnętrznej manifestacji: stukotu serca, drżenia rąk, łez, potu.

Rozumiała, jak czuł się ten chłopak. Ostatnio sama żyła przecież tylko z rozpędu. Jej życie można było nazwać dogorywaniem, odpoczynkiem po tym, co już było i przeminęło, nie wiadomo kiedy. Ale przecież ona już przeżyła swoje życie, a on był taki młody. Czy naprawdę nie było wokół niego nikogo bliskiego, kto mógłby mu jakoś pomóc? Swoją drogą depresja matki też rozwijała się swobodnie i nikt nie zdawał sobie z niej sprawy. Nawet ona sama, aż do teraz.

Domyśliła się, że w ten sposób pozbył się ciała – to jego nasączone wodą zwłoki znaleziono na dnie jeziora. Czy jej córka była przy tym? Czy czuła się odpowiedzialna za jego śmierć? Winna, że się nie domyśliła, nie zapobiegła? Jak to się stało, że nawet nie wiedziała, że Roberta miała chłopaka, a był to dość poważny związek, sądząc po tonie listu. Był to ktoś na tyle ważny, że bywała w jego domu i poznała jego rodziców, ktoś, kto ją kochał. Ona na pewno też go kochała, a przecież ani razu nie zaprosiła go do siebie. Czy aż tak się ich wstydziła, czy był inny powód?

Kot zeskoczył z zalanego późnym słońcem parapetu i z miaukiem wskoczył na jej kolana, natychmiast zwijając się tam w ciepłą kulkę i zapadając w drzemkę. Nie przestawała jej zadziwiać kocia umiejętność zasypiania w kilka chwil niemal w każdych warunkach. Podobne zdolności miał jej zmarły mąż. Machinalnie przejechała drżącą ręką po sierści kota, ale za chwilę delikatnie zdjęła go z kolan i podniosła się, by odłożyć list do szuflady. Wstała zbyt gwałtownie, zatoczyła się i szybko usiadła. Objęła kolana rękami, na których wyraźnie rysowały się żyły. Odetchnęła kilka razy głęboko.

Córka nie zwierzyła się ani z tego związku, ani z tej tragedii, ukrywała swoje życie, jakby się bała, że matka może je tylko zepsuć. Dlaczego nie miała do niej zaufania? Czy naprawdę była tak złą matką? Musiała być okropna, skoro nikt nie chciał z nią rozmawiać o tym, co naprawdę było istotne.

Przypomniał jej się dzień, kiedy zmarł jej mąż. Najgorsze i najlepsze zarazem było to, że odszedł podczas snu. Wszyscy powtarzali, że dzięki temu nie cierpiał, ale ona czuła się okropnie, myśląc, że leżała tuż obok niego i nie mogła mu w niczym pomóc, a on nie próbował jej w żaden sposób o to poprosić. Być może przebudził się na krótki, ostatni moment świadomości, ale nawet nie złapał jej za rękę. Tak naprawdę nie widziała niczego dobrego w tym, że odszedł podczas snu. Brakowało jej zakończenia, pożegnania. Choćby takiego listu jak ten. Może oprócz testamentów ludzie powinni zawsze pisać też listy pożegnalne na wypadek nagłej śmierci?

Wieczorem jak zwykle przebrał się w łazience w piżamę, położył po swojej stronie łóżka i włożył na nos okulary do czytania. Sięgnął po jeden z opasłych tomów leżących na szafce nocnej. Uwielbiał amerykańskie powieści sensacyjne o szpiegach CIA, weteranach wojny w Wietnamie i atakach terrorystycznych. Jednym z jego ulubionych autorów był Tom Clancy. Mówił, że taka lektura najlepiej wycisza jego umysł po godzinach ślęczenia nad matematyką. Nie rozumiała tego, że można się wyciszyć przy wartkiej akcji i podwodnych wybuchach, ale każdy miał przecież prawo czytać to, co chce.

– Trzeba jutro przyciąć wiśnię. Już dawno miałem się tym zająć – powiedział.

Gdy zasnął, zdjęła mu okulary z nosa i odłożyła książkę na stolik grzbietem do góry. Właśnie takie były jego ostatnie słowa. W ten sposób się z nią pożegnał.

Początkowo nawet nie płakała. Była za bardzo zaskoczona, jakby człowiek, który przez całe swoje życie postępował wobec niej w sposób dobry i sprawiedliwy, nie dotrzymał swojej części umowy. Pomyślała, że są przecież ludzie żyjący wyłącznie siłą woli, aby opiekować się drugą osobą, która tego potrzebuje. Dlaczego po udarze nie położyła się do łóżka i nie odgrywała zniedołężniałej starej babci? Dlaczego wtedy nie miała depresji? Może by nie odszedł, bo czułby się potrzebny.

Po stypie, kiedy w domu zostały już tylko córki i wzięły się do sprzątanía, poszła do sypialni. Położyła się na łóżku, nie zdejmując czarnych, grubych rajstop, spódnicy i bluzki. Na swojej poduszce położyła poduszkę męża, jeszcze z wgłębieniem po jego głowie. Podniosła książkę Clancy'ego i przeczytała dwie strony, na których była podparta jak na kolumnach rozchodzących się w dwa delikatne łuki. Nie wiedziała, w którym dokładnie miejscu jej mąż skończył lekturę, mógł to być dowolny z tych akapitów. Przeczytała te strony, a później kolejne, aż skończyła książkę i odłożyła ją na półkę. Świtało.

Wychodząc z pokoju Roberta, w którym zapadł już zmierzch, pomyślała, jak wielką traumą musiało być to wszystko dla młodej dziewczyny. Czy to możliwe, by ta rowerowa podróż miała coś wspólnego ze zdarzeniami sprzed lat? Kładąc się tego wieczoru spać, postanowiła, że gdy Roberta wróci z Paryża, poprosi ją, by wprowadziła się z powrotem do swojego mieszkania. Najwyższy czas, by każda z nich



wróciła do własnego życia.

## Wiek dojrzały

1 maja

Kiedy Roberta przekroczyła granicę z Francją, był 1 maja i do daty spotkania jej tajemniczej imienniczki z jeszcze bardziej tajemniczym adresatem zostały już tylko cztery dni. Tak naprawdę trzy, bo jeśli miała trafić na dwunastą do Muzeum Rodina w nieznanym mieście, powinna była się w nim obudzić w dniu, na który wyznaczono spotkanie. Zgodnie z wysłużoną i pokreśloną mapą do przejechania zostało jej około dwustu trzydziestu kilometrów. Czasu miałyby więcej, gdyby nie kilkudniowa gorączka, która dosłownie zwała ją z nóg, gdy tylko wjechała do Belgii. Nie pomogła też dosyć dżdżysta końcówka kwietnia. Dość już miała podobnych do siebie dni na śliskich jezdniach i zabłoconych leśnych drogach, gdy szary kapuśniak bębnił o jej kask, a rower trzeba było czyścić każdego dnia. Z początkiem maja pogoda wreszcie się poprawiła i pokazało się słońce, a temperatura przypominała letnią, więc była dobrej myśli.

Roberta, która przekroczyła granicę z Francją, zdawała się w niewielkim stopniu przypominać tę zaledwie miesiąc wcześniej pijącą kawę na poznańskim Sołacz. Nie chodziło tylko o zmiany fizyczne, choć oglądając się w lustrach w małym centrum handlowym uroczego Saint-Amand-les-Eaux po francuskiej stronie nieistniejącej już granicy, z trudem się poznawała. Była sporo szczuplejsza, nawet twarz wydawała się chudsza, oczy większe i ciemniejsze niż kiedykolwiek. Nie ważyła się od czasu wyruszenia w podróż, ale zdawało jej się, że musiała wypocić co najmniej dziesięć kilo. Nie tylko cały czas pozostawała w ruchu, ale też mniej jej się chciało jeść. Włosy były potargane, a pod wpływem wiosennego słońca zjaśniały, szczególnie na końcach, tam gdzie nie chowała ich pod kask. Nabrały więc teraz bardziej miedzianego koloru. Skóra twarzy była nie tyle opalona, ile ogorzała od słońca, wiatru i deszczu. Wszystkie te elementy zostawiły ślady, przed którymi zwykle zaleca się chronić cerę za pomocą drogich kremów, a jednak jej wysmagana twarz miała w sobie więcej radości niż ta nakremowana. Największa zmiana dotyczyła jednak jej sylwetki. To, na co nie pomogły dziecięce zmagania na zajęciach tanecznych, stało się faktem i sama zwróciła na to uwagę. Chodziła wyprostowana, głowę nosiła wysoko, nie wbijała wzroku w ziemię. Było to właściwie konieczne podczas podróży. Zasady bezpieczeństwa wymagały, by uważała na wszystko, co ją otacza. Czowała się lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

W sklepie zaopatrzyła się w kilka koszulek i nową parę spodni, a także okulary przeciwsłoneczne. Jej wzrok przykuła wielobarwna apaszka, która w dziwny sposób przypominała o kanapie. Chustka w czerwone, różowe i pomarańczowe plamy wydała jej się najweselszą rzeczą w sklepie, więc mimo wysokiej ceny dołożyła ją do zakupów. Nawet jeśli miałyby jej nigdy nie włożyć, będzie pamiątką z Francji, bo zdjęć nie robiła. Od czasu do czasu ją wyjmie i podróż stanie się znowu realna.

Zapytała o niedrogi hotel w okolicy. Ekspedientka poleciła jej Hôtel du Pasino i poszła na zaplecze, by wydrukować dla niej niewielką mapkę. Nie po raz pierwszy zadziwiło ją, jak serdeczni potrafią być ludzie dla obcych. Hotel wcale nie był niedrogi, ale nie chciała szukać już niczego innego, zwłaszcza że powoli zapadał zmierzch. Zostawiła rower na podziemnym parkingu hotelowym i ruszyła na obchód niewielkiego miasteczka.

Było czyste i wygładzone, z kilkoma perłami średniowiecznej architektury. Najbardziej zachwycił ją ratusz, który na początku błędnie zidentyfikowała jako kościół. Weszła do środka i wyprosiła broszurę poświęconą miejscowości, choć początkowo zdawało się, że wszystkie pracujące tam osoby porozumiewają się wyłącznie w języku francuskim. Okazało się jednak, że potrafi być przekonująca.

Z broszury dowiedziała się, że miejscowość rzeczywiście jest niewielka i liczy niespełna dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Pod tym względem była podobna do polskich Słubic. Oba miasta leżały zresztą przy granicy. Jednak Saint-Amand-les-Eaux trochę ją zaskoczyło swoją jakże zachodnioeuropejską obfitością. Było tam muzeum poświęcone historii opactwa, teatr, mediateka, czyli duże centrum biblioteczno-medialne. Ponadto Centre Aquatique, które poleciła jej recepcjonistka, dodając swoją angielszczyznę o słodkim francuskim akcencie – sprawiającym, że była jeszcze bardziej urocza, nawet jeśli mniej zrozumiała – że być może Roberta chciałaby się rozruszać. Roberta nie tęskniła ani za ruchem, ani za wodą, nie pływała od wielu lat, ale wążając się po okolicy, dotarła także tam i obeszyła budynek dookoła.

– Jak się pani ma? – zaczął ją po francusku starszy mężczyzna, który wyprowadzał psa na smyczy zawiniętej wokół przegubu.

– Bien. – Przypomniało jej się to słówko. Minęła go szybko z uśmiechem.

Czyżby wziął ją za Francuzkę? Rozbawiła ją ta myśl. Być może sprawiła to chustka, którą kokieteryjnie zawiązała na szyi, układając ładną dużą kokardę po prawej stronie. Apaszka niezbyt pasowała do reszty prostego rowerowego stroju: czarnych legginsów, czerwonej koszulki i rozpiętej czarnej bluzy, ale tu czuła się w niej na miejscu. A może właśnie dlatego ją pozdrowił, bo wyglądała na osobę nie tylko nie z tego miasta, ale też nie z tego kraju? Nie zauważyła, by którakolwiek Francuzka spotkana na ulicy wyglądała jak ta inna Roberta z pocztówki w jej wyobraźni. Nie nosiły mocnego makijażu, sukienek ani kolorowych apaszek. Tak naprawdę wyglądały bardzo podobnie do kobiet przemierzających ulice Poznania. Najczęściej nosiły dżinsy i bluzy. Może była to kwestia wygodnego i spokojnego życia prowincji, z dala od zgiełku. Zapewne paryżanki nosiły się inaczej.

Z przyjemnością przedfilowała chodnikami w swoim nowym nabytku, który matka z pewnością by skrytykowała jako plamę koloru przyciągającą uwagę ludzi do jej wzrostu i długiej jak u żyrafy szyi. Matki tu jednak nie było, a ona już nie przejmowała się uwagą ludzi. W sklepiku oznaczonym szyldem Tabac kupiła pocztówkę z ładnymi zdjęciami miejscowości i znaczek. Ponieważ dawno nie odzywała się do Wojtka, postanowiła napisać właśnie stąd. Ostatnią pocztówkę chciała mu wysłać już z Paryża. Jeśli się uda, miała zamiar kupić taką ze zdjęciem rzeźby Wiek dojrzały, od której ta cała historia się rozpoczęła. Pomyślała, że to mu się spodoba, zważywszy na jego słabość do kamieni.

Już w pokoju hotelowym zdjęła chustkę i usadowiła się na łóżku, podkurczając wysoko kolana i kładąc na nich hotelowy folder, a na nim pocztówkę. Rozejrzała się wokół siebie. Pokój przypominał wszystkie poprzednie, które zlewały się w jedno dość wygodne, a jednak bezosobowe wnętrze, dając złudne wrażenie, że wcale nie podróżuje naprawdę, lecz tylko zamknęła się w kapsule wypełnionej przedmiotami z hurtowni z wyposażeniem dla hoteli.

„Drogi Wojtku”, napisała. Trochę ją zadziwiła własna bezpośredniość – na poprzednich pocztówkach nie zwracała się do niego w ten sposób. Nie mogła jednak tego teraz wykreślić, a drugiej pocztówki nie miała. „Dotarłam do Francji i powinnam zdążyć do Paryża na 5 maja. Mam nadzieję, że nadal trzymasz za

mnie kciuki. We Francji jest wszystko bardzo po francusku poza kobietami, które wcale nie chodzą w sukienkach, apaszkach, pończochach i z czerwoną szminką na ustach. Wyglądają jak Polki lub Australijki. Być może kobiety są ubrane w ten sposób już tylko na zdjęciach w magazynach i na filmach. Nie mam pojęcia, jak się ma kanapa, ale kot podobno ma się dobrze. Został zaadoptowany przez moją mamę. Nie mam już więcej miejsca, więc Cię pozdrawiam. Roberta”.

Przez chwilę żuła końcówkę długopisu, czytając treść jeszcze raz. Wydała jej się dziwacznie zalotna, wszystkie te informacje o apaszkach, pończochach i szminkach nie pasowały do niej. A może pasowały? W ciągu ostatnich dni zaczęła zdawać sobie sprawę, że była za bardzo przywiązana do określonych myśli na swój temat. Zupełnie tak, jakby żyła według zaprogramowanych wytycznych, niezdolna do zmian. Kto i kiedy je zaprogramował, nie wiadomo. Im dalej była od domu, tym mniejsze miało to znaczenie, jakby jej tożsamość w dziwny sposób wiązała się z konkretnymi współrzędnymi na mapie.

Wzięła długi prysznic, podczas którego rozmyślała o powrocie do domu. Do tej pory unikała tej myśli, koncentrując się wyłącznie na osiągnięciu celu w określonym czasie, ale teraz musiała się nad tym zastanowić. Nie myślała nawet o tym, w jaki sposób wróci. Raczej nie miała ochoty jeszcze raz przejeżdżać na rowerze tej samej trasy. Już teraz czuła w nogach wszystkie pokonane kilometry. Owszem, była silniejsza, sprawniejsza, ale wszystko to sprawiało jej przyjemność, bo jechała ku rozwiązaniu zagadki. Powrót do domu był banalną sprawą, na którą w dodatku nie miała specjalnej ochoty.

Pomyślała o swoim pokoju, z którego niemal się nie ruszyła przez ostatnie lata. Pomyślała o kolekcji kaktusów na parapecie, dużej antycznej szafie, łóżku i biurku. O liście Grzegorza, który wypalał dziurę w szufladzie i zdawał się jej teraz, z dystansu kilometrów, napisany krwią. Była pewna, że gdy go otworzy po powrocie, znajdzie tam strupy. Pomyślała ze smutkiem, że tamten pokój i tamten list to właśnie jej życie, dlatego bez względu na wszystko będzie musiała tam wrócić. Wiedziała, że cokolwiek się stanie czy nie stanie w Paryżu, to przecież nie będzie jej historia. Ona tam, w muzeum, obok rzeźby Claudel, będzie tylko podglądaczem. Roberta z pocztówki nie była nią, ona nie była tamtą Robertą, zamazany adresat nie mógł być nikim, kogo znała, nawet jeśli dawno temu mieszkał blisko domu rodziców. Nie mógł być przecież Grzegorzem. Co za absurd, ten chłopak nie żył od dwudziestu lat, jego ciało znaleziono na dnie jeziora, a potem skremowano. Odbył się pogrzeb, jego matka wpadła w rozpacz, jego ojciec odszedł. Takie były fakty. Nie mogła sobie tego wszystkiego wymyślić. Historia tej innej Roberty nie była więc jej historią, nie mogła się tak po prostu w nią wplątać tylko dlatego, że nosiła to samo rzadko spotykane imię. Nie mogła sobie przywłaszczyć życia innej kobiety tylko dlatego, że w jej życiu nie działo się nic ekscytującego. Wiedziała jednak, że cokolwiek stanie się czy nie stanie w Paryżu, nie będzie mogła po prostu wrócić do domu i żyć dalej tak, jakby nic się nie zmieniło.

Pomyślała o matce i postanowiła do niej zadzwonić. Ostatni raz słyszały się, zanim wjechała do Belgii. Zastępowanie czasu przestrzenią przychodziło jej teraz w naturalny sposób. Doba dzieliła się na lokalizacje. Przestrzeń była łagodniejsza od czasu, bardziej bezosobowa, nie było w niej poczucia utraty, bo przecież każdy kilometr, każde miejsce, gdzie była i które zapamiętała, było czymś zyskanym.

– No, wreszcie dzwonisz. Martwiłam się. Gdzie jesteś? – Głos matki był niespodziewanie radosny, stęskniony.

– Nie martw się, mam. Wszystko w porządku. Jestem już we Francji, w takiej uroczej małej miejscinie Saint-Amand-les-Eaux. Wszystko tu jest śliczne. To taka miejscowość z europejskiego filmu o ludziach

z małych miasteczek.

– Zdrowa jesteś?

– Tak, zdrowa. Szczerze mówiąc, nigdy w życiu nie czułam się lepiej. Schudłam.

– Z pewnością. Tyle pedałujesz. Ile kilometrów zostało ci do Paryża?

– Około dwustu.

– Wiesz już, kiedy wrócisz?

– Nie jestem pewna. Niedługo. A jak ty sobie radzisz, mamó? Wszystko w porządku?

– My tu radzimy sobie świetnie, ja i Panna Cotta. Wprowadził się na dobre. Kupiłam mu miski i zabawki. Sama pojechałam do centrum handlowego, do sklepu zoologicznego. Świetnie sobie poradziłam.

– Autobusem?

Matka prychnęła w telefon z zadowoleniem.

– Pewnie, że autobusem, ja. Wyobrażasz to sobie?

– Nie mogłaś poprosić Iwony czy Anny? Przecież mają samochody. Podwiozłyby cię. – Roberta poczuła rosnące stare uczucie irytacji.

Dlaczego matka nie lubi prosić o pomoc jej starszych sióstr?

– Och, wiesz, jakie one są... – zaczęła matka, zawsze gotowa, by się pożalić, ale za chwilę jakby zmieniła zdanie. – Zresztą muszę ci się przyznać, że sprawiło mi to sporo radości. Jeżdżę autobusem. Poszłam do fryzjera. Zmieniłam kolor włosów, tamten już mi nie pasował.

Matka mówiła z entuzjazmem, którego Roberta dawno nie słyszała w jej głosie. Najpierw poczuła rozczarowanie, jakby nie tylko nie była matce do niczego potrzebna, ale wręcz hamowała ją w jakiś sposób, stała na drodze do tego entuzjazmu. Po chwili jednak doszła do wniosku, że bez względu na przyczyny dobrze słyszeć ją taką. Silniejsza, weselsza, przypominała matkę sprzed śmierci ojca.

– Naprawdę się cieszę, mamó. Jaki kolor wybrałaś?

– Ach, taki ciemny blond. Fryzjerka mi poleciła. Jak przyjedziesz, zobaczysz. A wiesz, że Anna się rozwodzi?

– Tak, słyszałam.

– No pewnie. Zawsze o wszystkim dowiaduję się ostatnia.

Roberta postanowiła tego nie komentować.

– Jak to wszystko znosi?

– Źle. Tak źle, że chciała się do mnie wprowadzić i poczekać do twojego powrotu.

– Z pewnością nie dlatego o tym pomyślała. Martwi się o ciebie.

– Obawiam się, że właśnie dlatego. Chciała u mnie przeczekać burzę, ale tak się nie da. Trzeba stawiać czoła faktom. Wy, dziewczynki, zawsze to ignorujecie.

Roberta miała wielką ochotę przewrócić oczami i tak właśnie zrobiła, przypominając sobie, że nie widać jej przez telefon. Gdy matka nie pochwalała postępowania jednej z nich, uwielbiała traktować je wszystkie jak jedno dziecko o imieniu „dziewczynki”. W ten sposób krytyka zdawała jej się chyba mniej osobista. Jakby ich problem polegał na tym, że wciąż były dziećmi, jej dziećmi, a nie na błędach, jakie popełniały w życiu.

– Ach, mamó. To nie takie proste, prawda? Żadna z nas nie musiała sobie z czymś takim radzić. Tata

był ci taki oddany.

– Oczywiście, że był mi oddany, ale miałam w tym przecież swój udział. Z mężczyznami trzeba umieć postępować. Wasze pokolenie, zdaje się, utraciło tę umiejętność.

– Cóż, nie mogę mówić za siebie, nigdy nie miałam męża i nie wybieram się za męża. Czy chociaż Iwona jakoś sobie radzi? – Czują, że jeszcze chwila i się posprzeczną.

– Ach...

Roberta wręcz usłyszała, jak matka macha ręką, odganiając jej słowa jak natrętne owady.

– Kończmy już, wydasz fortunę na tę rozmowę. Trzymaj się zdrowo, kochanie. Porozmawiamy, jak wrócisz.

Słyszała znajomy pośpiech w głosie matki, ale też coś nowego. To nawet nie była tęsknota, to była troska.

2 maja

Na następny dzień Roberta zaplanowała trasę liczącą około osiemdziesięciu kilometrów, z noclegiem w Péronne. Poprosiła w hotelu o budzenie o szóstej rano, bo już o siódmej chciała być w drodze. Zjadła jajecznicę z czterech jaj i kilka tostów, popiła czarną kawą, co powinno było utrzymać ją w dobrej kondycji przez kolejnych kilka godzin.

Dzień wstał piękny, wręcz letni. O siódmej rano było bardziej rześko niż chłodno, tak jak czasem bywa w lipcu, w poranki przepowiadające upały. Ten odcinek trasy, być może ze względu na pogodę, wydał jej się najpiękniejszy. Spokojna asfaltówka wiała się malowniczo wzdłuż rzeki Scarpe, która migotała w słońcu. Krajobraz był dość płaski i niezbyt wymagający, ruch na drodze też raczej niewielki. Roberta czuła się szczęśliwa i spokojna, prowadząc swoją zaufaną zieloną maszynę przez francuskie pola i schludne małe miejscowości. Mijała ceglane domy z plamami pierwszego bzu za płotem. Kwitły drzewa owocowe i powietrze upajało zapachami. Czy maj był taki piękny także w Polsce, czy po prostu tego nie zauważała, tkwiąc zwykle w pracy, nie wyjeżdżając za miasto? Powietrze za miastem o tej porze roku zdawało się mieć inną gęstość i inny aromat. Nie czuło się tego, jadąc samochodem. Aż chciała zatrzymać mijających ją kierowców i wyciągać z aut, kazać im głęboko odetchnąć, pokazywać bocianie gniazda.

Jechała ulicami o tak romantycznych nazwach jak Rue du Petit Cataine czy La Frécotte i po raz pierwszy, odkąd wyruszyła z Poznania, zapragnęła, by podróżował z nią ktoś, z kim mogłaby się tym wszystkim podzielić. Wcale nie chodziło o to, że czuła się samotna – do tego była przyzwyczajona, lubiła własne towarzystwo. Bardziej o to, że ten piękny majowy krajobraz ją onieśmielał. Jakby to wszystko było zbyt wspaniałe dla jej skromnej osoby. Jakby wpadła na szybką kawę do kawiarni, a tam odbywało się eleganckie przyjęcie na jej cześć. Doszło do niej, że ma wielką potrzebę, by tu wrócić, być może przejechać tę trasę ponownie, ale tym razem z kimś bliskim, z kim będzie to chciała przeżyć jeszcze raz, zamiast pokazywać zdjęcia.

Nie robiła zdjęć nie tylko dlatego, że nie miała aparatu. Mogła przecież kupić tani telefon z wbudowanym aparatem fotograficznym. Oglądanie wszystkiego przez wizjer aparatu oddaliłoby ją jednak od siebie samej, od tego, co przeżywała. Wierzyła, że zadziałałby tu ten sam mechanizm, który sprawiał – jak przyznawali znani fotograficy relacjonujący niebezpieczne zdarzenia z zagrożonych wojną

czy żywiołami części świata – że patrzenie przez okienko aparatu znieczuliło na oglądane nieszczęście czy okrucieństwo. Używanie aparatu, wewnętrzny przymus rejestrowania ciekawych, historycznych czy zwyczajnie pięknych widoków, znieczuliłoby ją w ten sam sposób. Nie potrafiłaby stać się na chwilę tym, na co patrzy.

Po przejechaniu czterdziestu kilometrów poczuła zmęczenie, więc postanowiła zatrzymać się w Cambrai, dokąd prowadził drogowskaz. Była spocona i najchętniej wykapałaby się w rzece. Miejscowość była niewielka, jak wszystkie spotykane na tej trasie, ale gdy weszła do pierwszego z brzegu lokalu, by zjeść obiad i trochę odpocząć, poczuła się zawstydzona. Zamiast standardowego baru, jakiejś przydrożnej budki z zapiekankami, czekała na nią niewielka, ale urządzona ze smakiem restauracja. Stoliki były nakryte do eleganckiej kolacji, na białych obrusach stały przezroczyście kieliszki. Czyżby dogoniła ją własna wyobraźnia i ktoś urządzał uroczystą kolację na jej cześć? Skrępowana zrobiła krok w tył w kierunku przypiętego przy ulicy roweru.

– Mademoiselle. – Niemal spod ziemi wynurzył się elegancki kelner, który obrzucił ją raczej ciekawym niż krytycznym spojrzeniem.

– Nie jestem ubrana – wyrzuciła z siebie speszona po angielsku.

– Ależ skąd. Nie jest pani chyba... – przez chwilę szukał angielskiego słowa – na golasa, prawda? – Wyszczrzył krzywe zęby, dzięki czemu poczuła się trochę pewniej.

– No, nie jestem.

– A skoro nie jest pani na golasa – kontynuował jowialnie, jakby mówił do dziecka – to jak najbardziej może pani tutaj zjeść coś dobrego.

W restauracji apetycznie pachniało, a ona była już zmęczona i głodna, postanowiła więc usiąść przy jednym z eleganckich stolików, bardziej w głębi sali.

Kelner polecił jej półmisek małży w białym winie z kozim serem i szpinakiem. Posiłek miał ją kosztować tyle co nocleg, postanowiła jednak zaszaleć. Tak wykwintna restauracja w niewielkiej miejscinie, która według Roberty równie dobrze mogła się znajdować na końcu świata, była zaskoczeniem. Myślała, że na prawdziwy smak Francji będzie mogła poznać dopiero w Paryżu.

Gdy zjadła, wyjęła z plecaka pocztówkę z rzeźbą Claudel i oparła ją o butelkę z octem winnym. To było jej wierne towarzystwo w tej podróży: pocztówka i przypadkowe kobiety. Właśnie zastanawiała się, czy przed końcem podróży spotka kogoś jeszcze, gdy otworzyły się drzwi i do restauracji wpadła dziewczyna w zaawansowanej ciąży. Ponieważ była drobna, wydawało się, że idzie za brzuchem jak za kompasem, że brzuch nie jest częścią niej, że wygląda, jakby chciała go dogonić. Wymieniła z kelnerem kilka bardzo emocjonalnych zdań, z których Roberta rzecz jasna nic nie zrozumiała, ale wystarczył ton i gestykulacja, by zdiagnozować sprzeczkę.

– Musisz ją zawieźć do szpitala. Ona rodzi. – Kelner wyrósł przy stoliku Roberty ze swoją miękką francuską angielszczyzną. Był zdenerwowany, nie potrafił ustać w miejscu i chodził za dziewczyną.

W oczach Roberty wyglądało to więc tak, jakby pierwszy szedł brzuch, za nim dziewczyna, a za nią kelner.

– Ale jak to ja? Nie mam samochodu. A ty? Vous? – dorzuciła francuskie słówko, choć nie była pewna, czy oznacza ono „ty”, czy „pan”.

– Jak to nie masz samochodu? A czym tu przyjechałaś?

– Rowerem.

– Kto jeździ rowerem? – Złapał się za głowę w przesadnym geście.

Podczas tej rozmowy dziewczyna mocno i miarowo oddychała przez usta w sposób, który Roberta widziała na filmach. W końcu wykrzyzczała coś po francusku i Roberta była pewna, że są to inwektywy pod adresem chłopaka.

– Ty nie możesz jej zawieźć? – zapytała kelnera, wskazując raczej brzuch niż dziewczynę; zdawał się być też jego sprawą.

– Nie mogę zamknąć restauracji. Jestem dziś sam. Dzwonię do szefa, a ty już jedź. – Podał jej kluczyki, nie pytając nawet, czy potrafi i może prowadzić. – Samochód jest tu, czarny, szpital jest prosto, Juliette ci powie.

– A mój rower? – zapytała rozpaczliwie Roberta.

– Nie martw się o rower. Jedź.

Już w samochodzie przypomniała sobie z rozpaczą, że na stoliku zostawiła pocztówkę Roberty. Miała nadzieję, że nie zginie. Wydało jej się dziwne, że jeszcze przed chwilą siedziała spokojnie przy stoliku i przeżuwała małże, a teraz prowadziła cudzy samochód z ciężarną pasażerką. Juliette prawie wcale nie mówiła po angielsku, ale znakomicie radziła sobie z językiem min i gestów. W przerwach uśmiechała się do Roberty przepraszająco. Roberta nigdy nie rodziła, nie była też przy porodach żadnego ze swoich siostrzeńców, ale postanowiła po prostu zachować spokój i skoncentrować się na szybkim i bezpiecznym dojechaniu do szpitala. Miała nadzieję, że dziewczyna nie zacznie rodzić w samochodzie, bo właściwie nikt nie wspomniał, czy odeszły jej już wody i kiedy zaczęły się skurcze. Gdy pomyślała, że dziewczyna mogła wpaść do restauracji w ostatniej chwili, mocniej przycisnęła pedał gazu.

– Merde – jęknęła dziewczyna, gdy Roberta ostro wjechała na krawężnik i zatrzymała samochód pod szpitalem.

To przekleństwo Roberta akurat znała. Powoli wprowadziła dziewczynę do izby przyjęć, gdzie natychmiast ogarnął ją obcojęzyczny chaos. Niesympatyczna czarnoskóra pielęgniarka o twarzy upstrzonej jaśniejszymi plamkami posadziła Juliette na wózku i odwiozła w sobie tylko znanym kierunku, a Robertcie wcisnęła formularz do wypełnienia. Roberta podeszła z nim do kobiety schowanej za szkłem.

– Czy mówi pani po angielsku?

Kobieta pokręciła przecząco głową, ale Roberta postanowiła mimo to wyjaśnić sytuację.

– Nie mogę tego wypełnić, bo nie znam francuskiego. Nie znam tej kobiety. Przywiozłam ją tylko na izbę przyjęć.

Kobieta ponownie pokręciła głową i przesunęła formularz z powrotem w jej kierunku z administracyjnym uporem. Jak widać, biurokracja panowała w każdym kraju. Roberta odsunęła od siebie formularz, po prostu odwróciła się na pięcie, wyszła na zalaną słońcem ulicę i wsiadła do samochodu.

Teraz, kiedy opuściły ją emocje, rozejrzała się po jego wnętrzu. Był w nim bałagan. Pod każdym siedzeniem walały się jakieś śmieci, opakowania po batonikach, puste plastikowe butelki, foliowe worki z nazwami francuskich sklepów, które nic jej nie mówiły. Nie zastanawiając się, wzięła jeden z worków i zaczęła sprzątać. To było silniejsze od niej. Zawsze lubiła ład wokół siebie – lepiej jej się wtedy myślało. Kiedy już uprzątnęła wszystkie śmieci i umieściła worek w szpitalnym kontenerze, stwierdziła,



że powinna wrócić do restauracji. Kelner mógł nie mieć innego środka transportu, a czekanie z dziewczyną, której poród mógł potrwać wiele godzin, wydawało jej się bez sensu. Odpaliła silnik czarnego renault mégane i przejrzała płyty schowane w kieszeni w drzwiach kierowcy. Same francuskie. Francuzi zaczęli jej się wydawać nie tyle patriotami, ile ludźmi zamkniętymi w jakiejś odmiennej epoce, kiedy do innych krajów podróżowało się miesiącami dorożką lub statkiem i w związku z tym kraje te w codziennej wyobraźni przeciętnego mieszkańca po prostu nie istniały.

Włożyła do odtwarzacza płytę Joego Dassina, jedyne wykonawcy, jakiego znała, bo rodzice mieli jego winyl z tą samą okładką przedstawiającą mężczyznę o rozmarzonych oczach i owłosionej klatce piersiowej, wystającej spod rozpiętej koszuli. Po chwili w samochodzie popłynęły romantyczne dźwięki Et si tu n'existais pas.

Wyjeżdżając na drogę główną, którą zdaje się nie tak dawno temu przemierzała rowerem, myślała o tym, jakie to dziwne, że ten facet zufał jej w kwestii nie tylko zdrowia swojej żony czy dziewczyny i przyszłego dziecka, ale też samochodu. Przecież nie byłaby to niekorzystna wymiana – samochód za rower. Przypomniała sobie o pocztówce opartej o butelkę octu, zsunęła okulary przeciwsłoneczne na oczy i przyśpieszyła. Wypadło jej kilka godzin dnia, a do Péronne zostało jeszcze jakieś czterdzieści kilometrów. Po tych wszystkich emocjach nie miała ochoty na dalszą jazdę, ale było to konieczne, jeśli miała się pojawić w Paryżu na czas.

Kiedy wróciła, kelner chodził gorączkowo przed restauracją, paląc papierosa. Wyglądał trochę inaczej, ale początkowo nie potrafiła rozpoznać, na czym ta zmiana polega. Po prostu się przebrał. W dzinsach i spranej białej koszulce, oczywiście z francuskim napisem, wyglądał na młodszego i mniej pewnego siebie. Na jej widok uśmiechnął się i wyciągnął rękę po kluczyki.

– Jak ona?

– Dobrze. Wszystko okej.

– Twój rower jest w środku. Przyjechał szef. Nic nie płacisz za obiad, to moje podziękowanie.

Roberta weszła do restauracji, która teraz wydała jej się mniej elegancka. Może dlatego, że poczuła się tu stałym gościem, który zna pracownika lokalu, a nawet jego ciężarną dziewczynę Juliette. Wie rzeczy, które są niedostępne dla zwykłego turysty. Z jednej strony chciała poczekać, aż kobieta urodzi, chciała zobaczyć noworodka. Z drugiej jednak zdawała sobie sprawę z uciekającego czasu.

Zabrała rower i pocztówkę, która nadal była tam, gdzie ją zostawiła. Kiwnęła na pożegnanie łyseму właścicielowi o przysadzistej sylwetce i ciemnej karnacji, który przypominał grubszą wersję Louisa de Funèsa, i wyniosła swój rower po schodkach na ulicę, niemal wpadając na kilkusobową grupę wtaczającą się właśnie do restauracji.

\* \* \*

Do Péronne dotarła wieczorem skrajnie zmęczona. Krajobraz, który tak ją czarował przez pierwsze czterdzieści kilometrów, z każdym kolejnym wydawał jej się coraz bardziej monotony, usypiający. Nie musiała nawet pytać o hotel, bo zaraz po wjeździe do centrum miasteczka zauważyła przyzwoicie wyglądający Hôtel Saint Claude. Na własny użytek przetłumaczyła sobie jego nazwę z angielska jako Hotel Świętej Chmury i stwierdziła, że spędzenie tu nocy może mieć dodatkową zaletę w postaci uchronienia jej przed deszczem na końcu podróży. Pomodli się do świętej Chmury, by przez kolejne dni

nie spadła już ani kropla, co mogłoby pokrzyżować jej plany.

Nie była specjalnie głodna, więc w niewielkiej boulangerie kupiła tylko dwa suche rogaliki na kolację i powlokła się do hotelu, obiecując sobie krótki spacer po mieście na drugi dzień zaraz po śniadaniu.

Całe szczęście nie było problemu z jej rowerem, który recepcjonistka zamknęła na klucz w pomieszczeniu przypominającym składzik. Zapytała, skąd Roberta jedzie. Na wieść, że z Polski, nawet nie uniosła brwi. Widocznie była przyzwyczajona do różnego rodzaju gości i samotna podróż rowerem wcale nie była najdziwniejszą rzeczą, jaką widziała w ciągu długiej pracy w hotelu. Cieszyła się raczej, że Roberta nie ma żadnych specjalnych życzeń i nie będzie sprawiać problemów.

Wraz z kluczem do pokoju wręczyła jej broszurę, którą poświęcono głównie dwóm największym atrakcjom tego regionu: szesnastowiecznemu zamkowi i Muzeum Wielkiej Wojny. Nie było wolnych pokoi jednoosobowych, co w zasadzie ją ucieszyło, bo gdy tylko otworzyła drzwi, zobaczyła ogromne podwójne łóżko. Wystrój pokoju był dość wysłużony, wszędzie panowała czerwień, która kiedyś mogła zostać uznana za romantyczną, ale obecnie budziła skojarzenia ze świetlicą szkolną. Marzyła jednak tylko o odpoczynku i po szybkim prysznicu i przepraniu bielizny zapadła w niespokojny sen.

\* \* \*

Znowu przyśnił jej się Grzegorz.

Siedzieli w izbie przyjęć szpitala, do którego zawiozła Juliette, ale we śnie to ona była w ciąży. Jej monstrualny brzuch zasłaniał wszystko, więc nie widziała ani swoich stóp, ani podłogi pod sobą. Jakby była samą głową osadzoną na czubku dużego cyrkowego namiotu. Dopiero kilkanaście metrów dalej widziała wodę, która płynęła po białych szpitalnych płytkach rwącym potokiem.

– Odeszły mi wody – zwróciła się do niego z przestachem.

Miał odwróconą głowę i w zasadzie nawet nie wyglądał jak Grzegorz, ale we śnie miał jakby przyczepiony identyfikator z imieniem.

– Co ty opowiadasz? Przecież nie jesteś w ciąży. To są moje wody. – Odwrócił się do niej i wtedy poznała jego twarz, była lekko napuchnięta.

Spojrzała w dół na swoje stopy. Brzucha już pod nią nie było. Zostały tylko łydki i bosa stopy.

Poczuła żal i rozczarowanie, jakby ciąża Francuzki spotkanej w restauracji była we śnie jej ciążą, jakby poród Juliette był czymś, co miało się przydarzyć jej.

– Nie pamiętasz? – spytał Grzegorz. – Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj. Uratowałeś mnie, bo wiedziałeś, gdzie będę. Przybiegłeś na pomost, zaczęłaś krzyczeć i ci dwaj panowie w łódce mnie wyłowili. Przyjechałeś ze mną do szpitala. Ocaliłeś mnie.

W jego miejsce pojawiła się czarnoskóra pielęgniarka i podała jej noworodka. Był cały czerwony, z różowymi plamami przy kępkach włosów. Pachniał krwią.

\* \* \*

Obudziła się z płaczem, gdy na dworze było jeszcze ciemno. Zapaliła lampkę obok łóżka i spojrzała na zegarek – trzecia w nocy. Zasypiając ponownie, próbowała zapomnieć o śnie, ale skutek był odwrotny. Obrazy ze snu siłą wdzierały się pod powieki. Średnia siostra, która interesowała się ezoteryką i oprócz „mądrości w ramkach” lubiła zapamiętywać znaki zodiaku każdej napotkanej osoby, a rzeczywistość postrzegała jako najeżoną symbolami, powiedziałaaby jej z pewnością, że spotkanie Juliette wcale nie

było dziełem przypadku. Powiedziałyby, powołując się na Junga, że różne nasze potrzeby i pragnienia materializują się w danym momencie, na pewnym etapie naszego życia, a my nazywamy to dość naiwnie przeznaczeniem. Powiedziałyby też, że woda to symbol duszy, a ciąża jest symbolem nowych planów i nadziei.

Roberta przewróciła się na drugi bok. Czy w takim razie Grzegorz i jej poczucie winy związane z jego śmiercią stało na drodze do urzeczywistnienia tych planów? Ale jakie ona mogła mieć plany? Co symbolizował noworodek? Czy to tylko zwykłe nawiązanie do tego, co przeżyła w ciągu dnia, czy coś więcej? Pamiętała poczucie wielkiego rozczarowania, gdy brzuch zniknął, i siłę noworodka, gdy się pojawił. Jego mocny zapach, który sprawił, że się obudziła. Czy budził się w niej z opóźnieniem instynkt macierzyński, czy też noworodkiem była ona sama?

3 maja

Na drugi dzień obudziła się późno, z bólem głowy i spuchniętymi oczami, jakby pół nocy przepłakała. Był 3 maja i zostało jej niewiele czasu na pokonanie ostatnich kilometrów, nie miała więc zbyt wielu godzin na zwiedzenie miasteczka. Obejrzała zrujnowany zamek z zewnątrz. Zrezygnowała ze zwiedzania Muzeum Wielkiej Wojny poświęconego pierwszej wojnie światowej, które znajdowało się na jego terenie. Przed budynkiem kłębiła się grupa niemieckich turystów z niską przewodniczką w neonowo żółtym swetrze. Z jej drobnego ciała wydobywał się potężny głos i dopiero po chwili Roberta zauważyła cienkie słuchawki z mikrofonem jak u instruktorki fitnessu w modnym klubie. Przez to zdawało się, że kobieta nie tyle opowiada o zamku i bitwie nad Sommą, którą stoczono nieopodal, ile wydaje komendy do podskoków i wysięgów. Niemcy nie wyglądali na szczególnie ruchliwych, ale za to wydawali się zadowoleni z przebywania w zorganizowanej grupie. Roberta była pewna, że gdy tylko skończą zwiedzanie, wypiją kilka zimnych piw i już w autokarze będą śpiewać nieco sprośne piosenki.

Zamek wydał jej się masywny i ponury jak fragment murów obronnych. O wiele bardziej spodobał jej się koronkowy gotycki kościół Świętego Jana Chrzciciela, ze stojącym przed nim pomnikiem Marie Fouré. Obok pomnika z białego kamienia znalazła tablicę, na szczęście dwujęzyczną, z której wyczytała, że Marie Fouré wykazała się wyjątkowym męstwem podczas oblężenia miasta w 1536 roku. Pomyślała, że gdy wróci do domu, sprawdzi, na czym polegало jej męstwo. Francja wyraźnie lubiła swoje kobiety, choćby Joannę d'Arc, Mariannę czy śpiewającą prezydentową Carlę Bruni.

Roberta wskoczyła na rower. Do Compiègne miała około siedemdziesięciu kilometrów, następny przystanek – Paryż. Poczowała jednocześnie podekscytowanie i przerażenie, jak dziewczyna, która śpieszy się na randkę w ciemno.

Pogoda nadal była ładna, odświeżona, niedzielna. Ruch na drogach większy niż w sobotę, jakby wszyscy chcieli spędzić niedzielę koniecznie w innym miejscu. Nie potrafiła czytać obcych tablic rejestracyjnych, które z pewnością oznaczały konkretne regiony, może nawet miasta, ale była pewna, że paryżanie uciekają na prowincję, a prowincjusze kierują się w stronę stolicy. Kierowcy jeździli tu w znacznie bardziej nonszalancki sposób niż w Niemczech czy nawet w Belgii, więc musiała się mieć na baczności. Ani na chwilę nie zdejmowała kasku, zostawiła też na koszulce z krótkimi rękawami kamizelkę odblaskową, którą kupiła w Niemczech, by być jak najlepiej widoczną. Nie zanosilo się na deszcz, więc miała nadzieję, że dzisiejszy odcinek pokona bez problemów.

Trasa biegła wzdłuż słynnej Sommy i jak zawsze początkowo wprawiła Robertę w zachwyt, gdy wypoczęte po nocy i domagające się dziennej porcji aktywności ciało znalazło się pod wpływem majowego powietrza i wysiłku fizycznego. Świat chłonęła synestetycznie, nadając dźwiękom barwy, a barwom dźwięki, ale po południu, w miarę zmęczenia i bólu, czuła już znużenie i smutek przydrożnych cmentarzy, domów i magazynów.

Z ciekawością przyglądała się ludziom, którzy wyglądali normalnie, jak wszędzie. Kobiety nie jeździły rowerami z koszyczkami, z bagietkami pod pachami i beretami na głowach, choć wciąż miała nadzieję spotkać takie w Paryżu. Dopóki mijane osoby się nie odzywały, wyobrażała sobie, że są Polakami. W zasadzie nie różnili się bardzo.

Jadąc drogą do Compiègne, miała poczucie déjà vu, może za sprawą Grzegorza, który kiedyś opowiedział jej o swojej wyprawie do Francji.

\* \* \*

Do Berlina pojechali wtedy razem przeładowanym pociągiem, ale dalej, jak mówił, powinni pojechać autostopem.

– Dokąd dalej? – spytała Roberta.

Tak naprawdę była doroślejsza z nich dwojga, choć to on sprawiał wrażenie starszego. Jego spokój był pozorny, podobnie jak radość życia. Mówił, że powinni pojechać dalej, do Belgii, do Antwerpii, do Lille. Opowiadał o Paryżu, w którym był kiedyś z kolegą. Pracowali na zmywaku w restauracji po to, by wieczorami chodzić po mieście bez sensu i celu. Mówił, że takie szwendanie się to po francusku „flâner” i oznacza przyjemność obcowania z miastem, jakby było drugim człowiekiem.

Później zrozumiała, że Grzegorz był poetą, ale takim, który nie zamyka słów w tomikach wierszy jak w klatkach. Nie trzeba pisać poezji, by być poetą. Na początku nie zdawała sobie z tego sprawy, poznawała go z ostrożnością, jak to miała w zwyczaju, z nieufnością kogoś, kto niejednokrotnie rozczarował się w kontaktach z innymi ludźmi. Z czasem zaczęła mu ufać i ulegać jego wpływowi, tak jak się ulega sztuce bez względu na jej walory artystyczne, jeśli tylko wystarczająco mocno porusza emocje. Zdawała sobie sprawę, że jest w nim coś skrzywdzonego i połamanego, ale lgnęła do tego jak do hipnotycznych wizji. Gdyby przekuł swój wewnętrzny nerw, podskórny lirykę, w coś zewnętrznego, w namacalne dzieła sztuki, być może byłby szczęśliwszy. Oswoiłby dysonans między tym, jak świat wygląda, a tym, jak mógłby wyglądać, gdyby albo świat, albo jego oczy były inne. Odnalazłby w tym jakiś rodzaj ukojenia. On jednak nie potrafił lub nie chciał tego robić.

Roberta wystarczała mu za całe audytorium. Przystawiała sobie jego poglądy, jakby nie miała własnych. Pod jego pozornym spokojem kryła się pogarda dla innych ludzi. Mówił, że nie urodził się mizantropem, że się nim stał. Czasem zastanawiała się, czy ktoś, kto nie lubi ludzi, może być dobrym psychiatrą. Tłumaczył jej, że interesują go jednostki jako przypadki, jako symbole do interpretacji, ale ludzie w masie budzą jego odrazę. Nie rozmawiał z innymi nie dlatego, że był nieśmiały jak Roberta, ale dlatego, że nie miał na to ochoty.

Kiedyś śmiała się pół nocy, gdy z sarkazmem opowiadał o różnych osobach ze studiów. Rano było jej z tego powodu wstyd. Kiedy szli razem ulicą i starsza kobieta wyrzuciła zmięty papierek na chodnik, przeraziła ją gwałtowność, z jaką zareagował – sama poszłaby przecież dalej. Kogo obchodziły śmiejące

staruszki? Kogo obchodzili przeklinające nastolatki i mężczyźni, którzy pili piwo w tramwaju, a potem zostawiali pod siedzeniami puste puszki? Kogo obchodziło, że ktoś znowu oddał mocz w windzie, nie sprzątnął po swoim psie, wysłał pięciolatka po zakupy, odebrał telefon w kinie, obsłużył w nieuprzejmy sposób? Kogo obchodziło, że ludzie się do siebie nie uśmiechają? Trwała wojna, podczas której wygrywał silniejszy i to on pisał historię, więc gdzie miejsce na uśmiechy?

To nie tak, że Roberta nie zdawała sobie sprawy z ludzkich wad i słabości. Traktowała je jednak z czułością, jakby sama nie była człowiekiem, jakby jej to nie dotyczyło. Przyglądała się tylko z dystansu z tolerancją i uśmiechem Giocondy. Niezmiennie przerażało ją i zachwycało to, że Grzegorz nie tylko natychmiast zauważał każdą taką rzecz, ale też dodatkowo wybrzmiewało to głośnym echem w jego głowie, psuło mu nastrój, wpędzało w milczenie, w ten dziwny spokój, który po pewnym czasie już dobrze znała.

Mawiała, że ma szkiełko w oku, że we wszystkich dostrzega najgorsze instynkty, najczarniejsze myśli, brzydotę. Uśmiechał się wtedy do niej i odpowiadał, że ona patrzy na świat przez różowe okulary, ale to dobrze, bo to znaczy, że nie spotkało jej w życiu nic złego.

Później, kiedy przeczytała jego list, pomyślała, że być może tak było, ale każdy ma swoje dzieciństwo z lękami i niepewnością, każdy ma prawo do własnych traum. Zastanawiała się, czy rzekomym stoicyzmem nie zasłaniała młodzieńczego wygodnictwa, oportunistu, braku wiary w siebie i w to, że na cokolwiek może mieć wpływ.

Wielokrotnie dyskutowała z Grzegorzem w swojej głowie, nawet gdy go już nie było. Musiała wierzyć, że w ludziach jest tylko to, co dobre, a brzydota to efekt uboczny. W innym wypadku weszłaby do jeziora i nigdy z niego nie wyszła. Grzegorz był jak przywódca, którego charyzma działała tylko na nią; reszta uważała go za nudnego, zasadniczego dziwaka. Ale oni przecież nie znali go tak dobrze jak ona. Tylko ona wiedziała, jaki jest naprawdę. Czy nie uważała tak każda zakochana dziewczyna?

Grzegorz natomiast podkreślał, że Roberta jest absolutnie wyjątkowa. Często mówił, że jest autentyczna, niczego nie udaje. Imponowało jej to – jakby przywódca sekty wybrał ją na swoją dziewczynę. Dziewczynę czy ofiarę?

Później często zastanawiała się, dlaczego związał się właśnie z nią. Naiwna i niepewna siebie, zakompleksiona – czy nie była idealną pożegnalną dziewczyną? Nawet jeśli nie zrobił tego z premedytacją, musiał przecież wiedzieć, że właśnie na jej życiu odciśnie największy ślad. Brzydota dopada jak wirus, oblepia jak brud z podniesionej i wyrzuconej do śmietnika puszki po piwie. Lecząc świat, można się zarazić jego chorobą.

„Nie jesteś tym, na co patrzysz, jesteś tym, co widzisz”, pomyślała Roberta, uspokajając oddech, gdy wreszcie pod wieczór dotarła do sieciowego hotelu Ibis w Compiègne, gdzie miała spędzić ostatnią noc przed dotarciem do Paryża. Przez niemal dwadzieścia lat widziała zmarłych, musiała coś o tym wiedzieć.

4 maja

Roberta obudziła się z myślą, że wróci na medycynę. Nie wiedziała, czy po dwudziestu latach uczelnia uzna zaliczone pierwsze dwa lata studiów, czy też będzie musiała zacząć od nowa, to jednak nie miało znaczenia. Nawet jeśli byłoby to konieczne, była zdeterminowana. Zdumiewające, jak oczywista wydała jej się ta decyzja, gdy jeszcze na wpeł śpiąca kołysała się w bladej pościeli, jakby do rytmu szemrzącego

w oddali deszczu. Tylko nie to. Z ziewnięciem dobudziła się wreszcie i spojrzała w okno, które poprzedniego wieczoru zasłoniła ciężkimi storami. Były gładkie i nie przepuszczały światła. Po zimnym piwie wypitym w hotelowym barze tylko tego chciała – całkowitej ciemności.

Teraz miała nadzieję, że za oknem szmerze strumyk, którego zmęczona nie zauważyła wczoraj, ale okna były zachlapanie zacinającym deszczem. Żaden majowy kapuśniak – łało równo i krajobraz w jednej chwili wydał jej się smutny i jesienny. Ze zdziwieniem zauważyła, że hotel stoi przy dość ruchliwej drodze. Wczoraj nie zwróciła na to uwagi, a szyby nie przepuszczały hałasu. Z jękiem przeklęła świętą Chmurę, bez względu na to, czy istniała, czy sama ją sobie wymyśliła, i przyłgnęła nosem do szyby. Musiała się dziś dostać do Paryża i miała nadzieję, że deszcz wkrótce przestanie padać lub choć zelżeje. Spojrzała na zegarek, który wskazywał już godzinę dziesiątą, i zaklęła jeszcze raz, tym razem po francusku.

– Merde. – Obróciła na języku obce słowo, naśladowując akcent Juliette i niemiłosiernie wyzymając „r”, jakby to nie była głoska, ale mokra skarpetka.

Przekleństwo było skuteczne, ostre i krótkie. Pośpiesznie się ubrała, bo wykupione przez nią śniadanie hotel wydawał tylko do jedenastej. Przed wyjściem się rozejrzała. Wygodne łóżko, płaski telewizor, którego zresztą nie włączyła podobnie jak we wszystkich miejscach, gdzie nocowała, biurko i szafa w neutralnym kolorze drewna. Miejsce na teczkę, krawat i płaszcz biznesmena. Geometryczne kształty wewnątrz, takie, do jakich była przyzwyczajona od dziecka. Kolejny miły i bezosobowy pokój służący potrzebom chwilowego człowieka, człowieka turysty. Wszystko, co niezbędne, by było funkcjonalnie i przyjemnie, ale by nie można się było zadomowić. Hotelowe wnętrza przypominały jej ludzi, którzy żyli z innymi, ale tylko pozornie. Owszem, innym było z nimi miło, wygodnie, ale nikt nie mógł się do nich wprowadzić. Nie dopuszczali do tego. Wszelkie próby postawienia doniczki z kwiatkiem czy powieszenia zasłonki w kolorowy rzucik, jednym słowem, wszelkie próby udomowienia wnętrza kończyły się wypluciem na zewnątrz. Samowystarczalni ludzie, dla których inni byli jak hotelowi goście. Gdzieś pod spodem skrywali swoje prawdziwe ja, jak pomieszczenia dla pracowników w hotelowym podziemiu. Nie tak ładne, brudnawe, mniej praktyczne, ale naznaczone indywidualnością i autentycznością, która płynie ze zwykłego zużycia. Obcym wstęp wzbroniony. Czy sama stała się takim samowystarczalnym człowiekiem w ciągu ostatnich dwudziestu lat?

Kiedy zeszła do niewielkiej hotelowej restauracji, deszcz nadal padał. Rozpoznała muzykę: Philip Glass, ścieżka dźwiękowa do filmu Godziny. Po tygodniach słuchania w hotelowych restauracjach drażniących radiowych hitów to było jak głaskanie uszu ciepłą i delikatną dłonią. Miała ochotę nadstawić głowę jak kot. Gości było niewielu, większość przypuszczalnie zdążyła już dawno zjeść śniadanie i ruszyć w dalszą drogę. Poczowała się wściekle głodna, więc ruszyła na obchód szwedzkiego stołu, który zdawał się mocno przetrzebiony, ale na szczęście resztką jajecznicy była nadal ciepła i zostało kilka żytnich bułek. Bardziej z łakomstwa niż z głodu zjadła jeszcze rogalik z czymś, co przypominało budyń, i popiła go mocną kawą.

Siedziała przy oknie, zaklinając pogodę spod czerwonych materiałowych rolet podciągniętych wysoko w ten pochmurny poranek. Przy stoliku w kącie sali dostrzegła kobietę w podobnym wieku. Uśmiechnęła się do niej, ale kobieta nie odwzajemniła uśmiechu, tylko odwróciła wzrok. Roberta wyciągnęła mapę i ostrożnie rozłożyła ją na stoliku. Do Paryża zostało jej jeszcze około siedemdziesięciu kilometrów.

Miała nadzieję, że będzie ich trochę mniej, bo zamierzała się zatrzymać w jakimś hotelu zaraz na obrzeżach, gdy tylko dotrze do linii metra. Był to jednak spory odcinek, a przewidywała, że jej tempo na pewno będzie wolniejsze, biorąc pod uwagę zmęczenie po ostatnich kilku dniach jazdy. Jeśli miała dotrzeć do Paryża przed zmrokiem, powinna wyjechać najpóźniej o trzynastej. Tymczasem było już po jedenastej i wciąż padało. Zniechęcona złożyła mapę wzdłuż podziurawionych linii zgięć i wrzuciła ją do plecaka. Czują na sobie wzrok kobiety, ale nie zamierzała się już do niej uśmiechać. Wyjęła broszurę, którą przygotowano także w języku angielskim, i sprawdziła, co może ze sobą zrobić po wymeldowaniu się z hotelu.

Compiègne wyglądało na spore miasteczko, o wiele większe niż jej się wcześniej wydawało. Ucieszyła ją wzmianka, że znajduje się tu linia startowa znanych we Francji wyścigów kolarskich Paryż–Roubaix. Odnotowała też z ulgą, że ze stacji kolejowej łatwo może się dostać do Paryża pociągiem. Nie chciała w ten sposób oszukiwać na sam koniec trasy (choć kogo i czego miałyby to oszustwo dotyczyć, nie potrafiła powiedzieć), ale dobrze było wiedzieć o takiej możliwości. Bez względu na wszystko musiała na noc być w Paryżu.

W recepcji nie było niestety parasola, który mogłaby pożyczyć, ale okazało się, że może zostawić rower na dodatkowych kilka godzin po wymeldowaniu. W pobliżu znalazła sklep z pamiątkami i pelerynami przeciwdeszczowymi. W takiej niezbyt twarzowej fioletowej pelerynie ruszyła w kierunku zamku, o którym wyczytała, że był letnią rezydencją Ludwika XV, a świetność przywrócił mu Napoleon. Zanim dotarła na miejsce, zaczęło się przejaśniać. Biorąc pod uwagę napięty grafik, chciała od razu wracać po rower i wyruszyć w drogę, ale skusiły ją majowe ogrody, geometryczne, klasyczne, na francuską modłę, a w nich pierwsze kwitnące róże, palmy i barokowy przepych.

Ostatecznie opuściła Compiègne około czternastej i szybko ruszyła w drogę, mijając dziesiątki studentów na rowerach, których tajemnicza eksplozja wyjaśniła się, gdy minęła budynek politechniki i morenowaty kształt kampusu. Miejsowość była urokliwa. Roberta żałowała, że nie może w niej spędzić całego dnia, ale jednocześnie wyjeżdżała ze zniecierpliwieniem, skupiając wszystkie siły na dotarciu do mety.

W obcisłej, czarnej rowerowej koszulce przełamanej neonowym blaskiem kamizelki czuła się jak uczestnik wyścigu kolarskiego z numerem na plecach. Żałowała, że przy drodze nie stoi nikt, kto mógłby jej kibicować na finiszu. Wyobraziła sobie siwe włosy matki, gniewną czarną grzywkę Magdy ze Słubic, poważną twarz Anny w krótkiej fryzurze przypominającej kask, Iwonę zagadaną, odwróconą bokiem, Wojtkę w czerwonych rękawiczkach bez palców, choć z pewnością ich już nie nosi, bo jest za ciepło, Marzenę z dziećmi, ubraną odświętnie jak do centrum handlowego, Grzegorza, nagiego, o ciele, które po tylu latach i tylu martwych, nagich męskich ciałach wciąż pamiętała. Może dlatego, że skrywało to, na czym jej najbardziej zależało, jakiś jej obraz, wcale do niej niepodobny, nie ten, który odbijał się na fotografiach, ale ten wyidealizowany, do którego chciała dążyć i się z nim zrównać, jakby został jej kiedyś zadany.

Wyrzuciła te myśli z głowy i skoncentrowała się wyłącznie na jeździe, na powtarzaniu tych samych automatycznych ruchów, jakby to była mantra. Ruch na drodze był duży i wzmagał się z każdym kilometrem przybliżającym ją do Paryża. Starła się zachować równe tempo piętnastu kilometrów na godzinę i od czasu do czasu zerkała na licznik. Znowu w drodze towarzyszyła jej rzeka, oznaczona na

tabliczkach jako Oise. Przypuszczała, że może wpadać do Sekwany. Do Paryża wjechała zaraz po zachodzie słońca, w niezauważalny sposób, tak jak się wjeżdża do wielkich miast przez ich rozlane przedmieścia. Minęła lotnisko Le Bourget, za chwilę Sekwana-Saint-Denis i już La Villette. Zeszła z roweru i rzuciła się na trawę. Była w Paryżu. Znowu miała *déjà vu*.

Spojrzała na zegarek, zbliżała się dwudziesta pierwsza. Ciemne niebo nad miastem prześwietlały promienie słońca, które przed chwilą zaszło. Nie miała już sił na dalszą jazdę, a La Villette z ogromnymi połaciami zieleni i boho wibracjami w powietrzu wydawało jej się równie dobrą dzielnicą miasta na nocleg, jak każda inna. Spytała tylko mężczyznę, który właśnie zamykał swoją budkę z zapiekankami, czy w pobliżu znajduje się stacja metra.

– Métro – rzucił, wgrzając się w „r”, jakby klął, i dodał kilka niezrozumiałych słów, wykonując ręką ruch zagniewanego węża na piasku.

Roberta stwierdziła więc, że to nie może być daleko. Po raz pierwszy poważnie pomyślała o tym, kiedy i w jaki sposób dostanie się z powrotem do Poznania. Nie było mowy o wskoczeniu na rower. Była już wytrawną rowerzystką, nie przypominała amatorki sprzed miesiąca, ale wiedziała, że potrzebuje solidnego odpoczynku. Pomyślała, że bez względu na przebieg jutrzejszego dnia zostanie w Paryżu kilka dni. Będzie mogła spokojnie zwiedzić miasto.

– Nie chce pan roweru? – zapytała po angielsku, wskazując ręką na jeszcze ciepłe siodełko.

Mężczyzna spojrzał na nią dziwnie i wzruszył ramionami.

– Ale po co mi rower? – odpowiedział również po angielsku i wskazał ręką na zaparkowany na krawężniku samochód.

Roberta powlokła się chodnikiem w kierunku rozjarzonej światłami ulicy, przy której z pewnością znajdował się hotel lub choćby kawiarnia, gdzie ktoś mógłby wskazać jej drogę.

Spytała jeszcze kilka napotkanych osób, czy nie chcą roweru, ale wszystkie reagowały w ten sam sposób – nieufnie, jakby nie wiedziały, o co jej chodzi, i podejrzewały, że to ona czegoś od nich chce. W końcu nie chciało jej się już dalej go prowadzić. Przecież i tak nie mogła go zabrać samolotem do Polski. Z żalem oparła go na nóżce na rogu ruchliwej ulicy, stwierdzając, że z pewnością ktoś go sobie szybko przywłaszczy. Zdjęła duży plecak z bagażnika i zarzuciła go sobie na plecy, mniejszy wzięła do ręki. Przeciągnęła ostatni raz dłonią po siodełku, odpędzając łzy, które złożyła na karb zmęczenia, ale teraz, gdy dojechała do celu, czuła dziwny smutek. Nie oglądając się za siebie, ruszyła w kierunku Quai de l’Oise, gdzie podobno znajdował się niedrogi hotel. Okazało się, że to znowu hotel sieci Ibis, co w zasadzie przyjęła z ulgą – wiedziała, czego się może spodziewać. Spodobała jej się ta nowa nonszalancja kogoś, kto często jeździ po świecie.

Pokój rzeczywiście przypominał ten, który niedawno zajmowała w Compiègne. Zestaw do kawy i herbaty, wygodne łóżko, jasne drewno, seledynowe zasłony sięgające ponad płytę biurka wbudowanego pod oknem. Spotęgowało to tylko poczucie *déjà vu*. Czy to możliwe, żeby już kiedyś była w Paryżu? Pomysł, że mogłaby tego nie pamiętać, uznała za niedorzeczny, za sztuczki zmęczonego umysłu. Wyjęła z plecaka pocztówkę, przebiegła wzrokiem po znanych na pamięć liniach rzeźby Claudel Wiek dojrzały. Zdaje się, że sama właśnie dotarła do tego wieku, o ironio... rowerem.

Raz jeszcze sprawdziła datę wyznaczonego spotkania, wszystko się zgadzało. Teraz, kiedy do godziny dwunastej 5 maja zostało mniej niż dwanaście godzin, poczuła się bardzo zdenerwowana. Przecież nadal



nie wiedziała, kogo i czego może się tam spodziewać. Odwróciła pocztówkę i nie tyle przeczytała, ile wyrecytowała z pamięci krótki tekst. Słowa wydawały jej się znajome z pewnością dlatego, że widziała je już tyle razy, wryły jej się w pamięć kształty poszczególnych liter, drobne kobiece pismo lekko pochylone w prawą stronę. Znowu zaczęła sobie wyobrażać Robertę, która przybiegnie zdyszana w ten czarujący sposób, w jaki przybiegają delikatne kobiety, być może lekko spóźniona, kilka minut po dwunastej.

Wyrzuciła z większego plecaka cały swój mizerny zapas odzieży. Kamizelka odblaskowa, kolorowa apaszka, trzy T-shirty, jedna czarna koszulka rowerowa z długimi rękawami, kurtka, bluza, dwie pary spodni rowerowych, długie i za kolano, kilka par bawełnianych majtek i bielizna termalna, skarpetki – to wszystko. Nic z tego nie nadawało się na jutrzejsze spotkanie.

Znowu przyłapała się na myśli, że zachowuje się tak, jakby to ona miała się tam jutro z kimś spotkać. W pewnym sensie tak było. W pewnym sensie spotka się z Robertą lub mężczyzną, z którym Roberta się tam umówiła. Nie wiedziała nawet, czy zdobędzie się na odwagę, by do nich podejść. Jeśli zjawią się oboje, nie będzie im chciała przeszkadzać. W końcu co miałyby powiedzieć, jak się zachować? Podejść jak podglądacz, machając starą pocztówką niczym biletem wstępu? Przyjść jak na przedstawienie nie z własnego życia? Być ponurym świadkiem rozczarowania, jeśli pojawi się tylko jedno z nich, lub wścibskim widzem zakłopotania na czyjś widok po tak wielu latach? W jaki sposób miałyby się wkupić, jaką swoją zasługą? Pokonanie półtora tysiąca kilometrów rowerem mimo wszystko nie wydawało się wystarczające. Niewystarczające było też zatarganie znalezionej przy śmietniku kanapy do domu ani odnalezienie w jej wnętrzu cudzej korespondencji sprzed lat. Teraz, kiedy tu dotarła, poczuła się beznadziejnie głupio. Jej plan i romantyczna wizja uczestniczenia w jakimś niemal międzyplanetarnym, a nie zwykłym spotkaniu wydały jej się dziecinne. Miały sens tylko wtedy, gdy... na spotkanie nie przyjdzie żadne z nich. Wtedy byłoby tak, jakby historia, która była ich przeznaczeniem, stała się jej przeznaczeniem, a ona z podglądacza zamieniła się w uczestnika, kogoś w rodzaju wykonawcy testamentu. Ich życie na krótką chwilę stałoby się jej życiem.

Podeszła do okna i spojrzała na ciemny park i rozjaśniony światłami kanał, gdzie stały przycumowane wycieczkowe i prywatne statki. Wyobrażała sobie, jak piękny będzie poranek. Wśród niskiej zabudowy i platanów, szerokich ulic i mostów, okazałych fasad mieszczańskich kamienic i szarych cynkowanych dachów, które do tej pory znała tylko z filmów, łamanych, wykończonych charakterystycznymi kominami niczym kropkami nad „i”, nadających miastu, gdy patrzyło się na nie z góry, wygląd rozsypanych pod niebem kartek, zadrukowanych siwym atramentem.

Wreszcie poczuła się podekscytowana, szczęśliwa, że dotarła i jest właśnie tu. Zasunęła zasłony i wyjęła z plecaka mapę Paryża wraz z dołączonym małym planem metra, którą dostała w recepcji. Według mapy najbliższa stacja znajdowała się w odległości około trzystu metrów. Różnokolorowa łamigłówka metra wydała jej się logiczna. Postanowiła, że wstanie przed siódmą i zaraz po szybkim śniadaniu pojedzie najpierw na stację Chaussée d’Antin do słynnej galerii handlowej Lafayette. Recepcjonistka zapewniła ją, że są tam też rzeczy w normalnych cenach, więc plan był taki, że kupi sobie coś do ubrania i kilka kosmetyków, dzięki którym wykona coś w rodzaju szybkiej metamorfozy w publicznej toalecie. Później ruszy na stację Varenne i odnajdzie Muzeum Rodina. Najprawdopodobniej będzie tam za wcześnie, ale to dobrze – pozwoli jej to spokojnie zwiedzić muzeum i zlokalizować

rzeźbę.

Zamówiła w recepcji budzenie i chciała zasnąć, ale szybko okazało się, że jest zbyt podekscytowana. Łóżko nie pasowało do jej ciała, Robertcie zdawało się, że pościel krępuje ją jak bandaż. Choć może to jej ciało nie pasowało do łóżka? Wyobraziła je sobie jako trapez wpisany w okrąg, z trójkątami stóp i dłoni wyrzuconymi poza linie prześcieradła.

Zaczęła się głaskać, jakby próbowała wyprasować nieistniejące kanty. Przeciągnęła stopą wolno po łydce. Palcami lewej dłoni dotknęła zewnętrznej linii uda, powoli dotarła aż do pośladka. Kciukiem rysowała coraz szersze okręgi wokół pępka, jak kręgi rozchodzące się na jeziorze tam, gdzie wpadł kamyk, a gdy okrąg był już tak szeroki, że dotarł pod ciężką pierś, mocno ścisnęła ją w dłoni. Zabolało. Pomyślała o wszystkich przejechanych kilometrach, zmęczeniu i moknięciu, o ciele, które ani razu nie zawiodło, i jej ruchy nabrały czułości, jakby postanowiła wreszcie podziękować ciału. Czuła rozchodzące się pod palcami ciepło. Zwilżyła w ustach palec wskazujący i chwyciła sutek w dwa palce, drażniąc go, aż poczuła podniecenie.

Długo nie uprawiała prawdziwej miłości – minęło dwadzieścia lat. Ani szwagrowie, ani siostry nie mieli racji, bo w ciągu tych lat zdarzały jej się przelotne relacje seksualne z mężczyznami, ale w niczym nie przypominały miłości, raczej masturbację z udziałem osób trzecich, a dla niej seks, taki jak zapamiętała, znaczył o wiele więcej. Był spojrzeniami, które wymieniali z Grzegorzem, gdy przytrzymywał się na ramionach tuż nad jej ustami, ale też chwilą, gdy zbierali grzyby i słońce złapane w pajęczynę nadawało jej szlachetność klejnotu, a oni, śmiejąc się, rozlewali kawę z termosu do metalowych kubków; i muzyką Ennia Morriconego, której słuchali w pewien deszczowy poranek. W takim kochaniu się nic nie przemijało, nic nie odchodziło, nic nie było utracone. Odkładało się warstwa na warstwie, by za pośrednictwem ciała dosięgnąć drugiego człowieka tam, gdzie był najautentyczniejszy. Po przypadkowym, powierzchownym seksie zawsze czuła się jeszcze bardziej samotna niż wcześniej.

Jęknęła cicho, wycierając ręką wilgotne wnętrze ud. Nie było w niej już żadnych ostrych linii, wszystkie zostały wygładzone. Podniecona sięgnęła dłonią głębiej, w lepkość, której teraz pragnęła najbardziej. Oblizwała wargi, odsłoniła zęby. Pragnęła ciała wychodzącego ku niej, uzewnętrznienia marzenia, tak by mogła je dotknąć i przytrzymać dłużej. Podążała palcami coraz głębiej, rozpychając się, panosząc się w sobie, szukając korzenia przyjemności. Gdy go znalazła, krzyknęła głośno jak inna kobieta.

5 maja

Rano odebrała hotelowy telefon półprzytomna, dziękując po polsku recepcjonistce, która powiedziała kilka słów po angielsku, ale z tak mocną francuską melodią, że Roberta nie zrozumiała żadnego z nich. Po polskim „dziękuję” dodała słabe angielskie „thank you” i odłożyła słuchawkę.

Rozsunęła zasłony i z zachwytem spojrzała na kwitnące miasto. Po zmiennej aurze dzień wstał taki, jak sobie wyobrażała. W nocy chyba padało, bo zieleń wydawała się intensywniejsza, wręcz szmaragdowa, a błękit nad szarymi dachami podświetlała różowawa poświata po wschodzie słońca. Może to było słynne paryskie światło?

Wzięła krótki prysznic i włożyła strój rowerowy: czarne legginsy i bluzę z długimi rękawami. Na szyi

zawiązała kolorową apaszkę. Obejrzała się w dużym lustrze w korytarzu, optycznie powiększającym niewielką przestrzeń. Przypomniało jej się lustro z Hadesu, który teraz zdawał się tak odległy, jakby minęły lata, odkąd ostatni raz siedziała przy swoim biurku. Zawsze wydawało jej się ciekawe, jak łatwo umysł ulega złudzeniom. Sześcian Neckera, trójkąt Kanizsy, iluzja księżycowa, wypełnianie plamki ślepej i wiele innych zjawisk, o których czytała, kiedy to mózg interpretuje informacje dostarczone przez narząd wzroku w dogodny dla niego sposób, posługując się zasadą podobieństw czy kontynuacji, wielokrotnie po prostu idąc na łatwiznę.

W lustrze widziała wysoką kobietę przypominającą insekta, czarną ważkę ze szczyptą koloru przy skrzydłach, taką, jakie siadywały na dziobie kajaka, gdy była z Grzegorzem na spływie. Stopy rozrzuciła daleko przed siebie i ważki lądowały między nimi jak małe helikoptery. Spod wiosła wydobywał się snop iskier, jakby na dnie rzeki wybuchały fajerwerki. Żałowała, że nie zrobiła wtedy zdjęcia, jak wyglądał świat, gdy czuła się szczęśliwa, wtopiona w krajobraz i drugiego człowieka, niemal nieoddychająca z przejęcia, ufna tak, jak ufać może szczęściu tylko ktoś, kto nie doświadczył początku ani końca choćby jednej historii.

Do podręcznego plecaka włożyła wysłużoną brązową portmonetkę, pocztówkę i mapę miasta. Po namyśle schowała jeszcze do bocznej kieszeni hotelowy długopis i mały notes.

Nie mogła nic przełknąć, wypila więc tylko szklanekę soku pomarańczowego i filiżankę kawy w przytulnej jadalni, utrzymanej w czerwono-kawowej tonacji. Wyjęła z plecaka kartkę papieru i napisała na niej tekst z pocztówki. Znała go przecież na pamięć. Dopiero wtedy odwróciła pocztówkę i porównała charakter pisma – był podobny, choć jej litery były większe, bardziej wyprostowane. Czy to możliwe, że chciała się tu spotkać za dwadzieścia lat z Grzegorzem? Przecież 5 maja Grzegorz już nie żył i dobrze o tym wiedziała. Z kim innym mogła chcieć się spotkać? Ze sobą? Zakłęła pod nosem. Mężczyzna siedzący przy stoliku obok, otoczony kilkoma talerzami wyładowanymi jedzeniem aż po brzegi, spojrzał na nią z zaciekawieniem. Ze złością zgniotła kartkę papieru w kulkę i umieściła w pustej filiżance. To właśnie teraz jej umysł ulegał omamom. Zbyt wiele czasu spędziła sama, śniąc dziwne sny, naciskając pedały, budząc się w dziwnych miejscach niemających z nią nic wspólnego, wspominając Grzegorza. Czuła się przez tę podróż jakby przeredagowana, wytracona z równowagi. Bodźce, do jakich była przyzwyczajona tak, że niemal ich nie dostrzegała, bo otaczały ją codziennie jak powietrze, przestały istnieć. Nie manipulowała przecież rzeczywistością, niczego nie wypierała.

Dojazd do słynnej galerii handlowej okazał się dziecinnie prosty. Stacja Chaussée d'Antin znajdowała się na tej samej, różowej linii metra co Ibis i w dodatku oznaczono ją dopiskiem Lafayette. Stała przy drzwiach zatłoczonego metra, ocierając się o Arabkę z wózkim. Ludzie w większości milczący, ze wzrokiem wbitym we własne odbicie w czarnej szybie lub w telefon, wyglądali tak, jakby wszyscy jechali w jedno miejsce. Roberta uznała, że jeśli metro ujmowało w jakiś sposób ducha miasta, to Paryż jest mieszkanką nie tylko ras i kultur, ale też tego, co stare, tradycyjne i nowoczesne.

Przez chwilę poczuła się klaustrofobicznie, jakby brakowało jej powietrza. Pomyślała ze smutkiem o swoim zielonym rowerze, który z pewnością już zniknął z miejsca, gdzie go zostawiła. Jak chętnie wskoczyłaby teraz na siodło i po prostu ruszyła przed siebie. Zakręciło jej się w głowie i zaczęła oddychać głęboko i rytmicznie jak rodząca Juliette w samochodzie. Arabka prześlizgnęła się po niej grzecznym, zdystansowanym spojrzeniem. Roberta stwierdziła, że tak można umrzeć w wielkim mieście,

w tłumie ludzi. Pomyślała, że nadchodzi kolejny atak paniki. Próbowwała uspokoić oddech, nie myśleć o Muzeum Rodina ani o godzinie dwunastej. Działać jak do tej pory, skupić się na najbliższym zadaniu.

Budynek olśnił ją przepychem w starym stylu. Balkony i sklepienia przywodziły na myśl raczej wnętrze opery niż domu handlowego. Początkowo zamiast zaglądać do sklepów, zadzierała głowę. Po kilku przymiarkach wybrała sukienkę, której cena wydałaby jej się niedorzeczna, gdyby nie to, że pokochała ją od pierwszego wejrzenia. Uszyta z nieprześwitującej dżersejowej tkaniny układała się zwiewnie. Miała dekolt w łódkę i długie rękawy miłe w dotyku. Najpiękniejsze miała jednak kolory, malinowa czerwień przechodziła ku dołowi w pomarańcz, barwy pozornie gryzące się ze sobą, podobnie jak kolory jej chustki. Zdawała sobie sprawę, że w tej sukience i apasce nie tylko nie będzie niewidoczna, ale będzie się rzucała w oczy. Dobrała do tego cieliste rajstopy, koronkową bieliznę i jasne czółenka na płaskim obcasie. W drogerii kupiła podkład, puder i tusz niedrogiej marki, ale po szminkę poszła do stoiska Chanel. Korzystając z pomocy ekspedientki, dobrała odcień czerwieni, który podobno idealnie pasował do jej włosów i karnacji. Wydatki trochę ją przeraziły i pomyślała o matce kiwającej z dezaprobatą głową, ale tylko odetchnęła, jakby rozwiewała chmurkę z tym obrazem nad swoją głową.

W toalecie oderwała metki i przebrała się w zamkniętej kabinie, a rowerowe ubrania schowała do plecaka. Czowała się trochę głupio, malując się przed lustrem w tłumie kobiet, które myły ręce i poprawiały fryzury. Po chwili jednak, kiedy obrzuciła je wszystkie wzrokiem, zauważyła, że żadna z nich nie zwraca na nią uwagi. Wszystkie robiły w gruncie rzeczy coś podobnego: poprawiały rysunek ust, pudrowały czoła i nosy.

Spojrzała w lustro. Poczwała się trochę dziwnie, jakby udawała kogoś innego. Niechętnym spojrzeniem obrzuciła plecak. Zakupy nie zajęły jej dużo czasu, postanowiła więc wrócić jeszcze po lakierowaną torbę w kolorze pomarańczy, którą zauważyła wcześniej. Usiadła na ławce i sprawnie przełożyła do torebki zawartość plecaka, który wyrzuciła do kosza. Zdjęła gumkę i palcami roztrzepała włosy, przeglądając się w oknie wystawowym.

Jeszcze nie wiedziała, czy się sobie podoba. Wyglądała po prostu inaczej. W pośpiechu ruszyła do metra. Czas mijał, a nie miała pojęcia, jak daleko jest od stacji Varenne do Muzeum Rodina.

Innego dnia tę odległość z pewnością oceniłaby inaczej, ale tym razem droga zdawała się nie mieć końca. Zdenerwowana, niemal biegła, mijając liczne ambasady i budynki rządowe. Wreszcie hotel Biron i mieszczące się w nim muzeum. Kolejny raz spojrzała na zegarek. Wpół do dwunastej. Kupiła bilet, wzięła kilka broszur i zatrzymała się na chwilę przy wielkim oknie z widokiem na piękny park i setki kwitnących róż. Postanowiła, że pójdzie tam później. Później. Znowu uspokoiła oddech. Zaczęła iść wąskim korytarzem pełnym białych rzeźb Rodina, na które niemal nie zwracała uwagi, bo za bardzo była podekscytowana, w kierunku kilku nielicznych rzeźb Claudel, podobno znajdujących się na piętrze. Dobrze, że nadal tu były. W swojej naiwności nie brała nawet pod uwagę, że Wiek dojrzały mógł zostać przeniesiony lub wypożyczony na jakąś wystawę.

W muzeum nie było zbyt wielu osób. Przypuszczała, że większość turystów czeka o tej porze w kolejce do Luwru czy na wjazd na wieżę Eiffla. Rodin był niezwykle płodnym artystą – po drodze mijała niezliczone głowy, torsy i całe monumentalne sylwetki, ale nie potrafiła skupić uwagi na żadnej z nich. Zdolność patrzenia wróciła dopiero wtedy, gdy doszła do sali, gdzie znajdowało się kilka rzeźb jego kochanki. Na środku od razu zauważyła Wiek dojrzały. Jakże podobna i jakże inna wydała jej się rzeźba

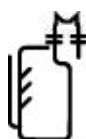
w porównaniu ze zdjęciem z pocztówki. Zaskoczyła ją wielkość, doskonała zmysłowa miękkość i twardość ciał, których chciała dotknąć, podskórny dramatyzm całego dzieła. Postać mężczyzny, bezwolnego, poddającego się bez słowa protestu skrzydlatej postaci, która teraz w oczach Roberty z pewnością nie przedstawiała innej kobiety, ale śmierć, natchnęła ją nie bezsilną złością, lecz smutkiem. Najbardziej jednak chciała zapłakać nad nagą młodą kobietą z węzłem włosów zwiniętych nisko nad karkiem. Była w niej rozpacz porzuconej osoby, której kochanek odchodzi na zawsze. Czy umierał naprawdę, czy umierał dla niej, nie było żadnej różnicy. Roberta widziała rozkosz w jej falującym brzuchu, jakby jeszcze przed chwilą byli złączeni w akcie miłosnym. Wyzbycie się ostatnich strzępów dumy i własnego ego, gdy kobieta klęczała naga z błaganiami, ślepa na otaczających ją wgapionych turystów, ze wzrokiem wbitym w jego głowę. Roberta na chwilę odwróciła wzrok. Poczuli się tak, jakby była świadkiem czyjejś prywatnej tragedii.

Ich dłonie były rozłączone, ale Roberta miała pewność, znacznie większą niż wcześniej, gdy patrzyła na kilkucentymetrową rzeźbę na pocztówce, że palce stykały się jeszcze przed chwilą. Jeszcze przed chwilą w napięciu mięśni była nadzieja. Teraz rozstanie było nieodwołalne. Mężczyzna oślepnie i ogłuchnie pod wpływem pocałunku skrzydlatej postaci. Młoda kobieta będzie żyła jak zaklęta w kamieniu.

Godzina 12.00

Kiedy wybija dwunasta, Roberta ma łzy w oczach. Próbuje je ukryć, uśmiechając się nieśmiało do pary starszych Japończyków. Mijają minuty, ale nikt się nie pojawia poza zatrzymującymi się na moment turystami z zamglonymi spojrzeniami, którzy za chwilę idą dalej. Nie widzi żadnej kobiety ani mężczyzny, którzy stanęliby przy rzeźbie i rozglądali się wokół nerwowo, być może spoglądając na zegarek. Roberta odchodzi od rzeźby i patrzy na inną, zamkniętą w gablocie ze szkła. Przez chwilę w słońcu wpadającym ukośnie przez okno widzi odbicie innej postaci. Kobieta wygląda jak Francuzka. Ma na sobie sukienkę w ciepłych kolorach i apaszkę, a na ustach malinową szminkę. W zgięciu prawej ręki, jak na wieszaku, kołysze się elegancka torebka. Widzi wyraźnie tę drugą Robertę, niemal taką, jak sobie wyobrażała od momentu znalezienia pocztówki.

Po pół godzinie daje za wygraną. Nie jest rozczarowana. W zasadzie czuje ulgę, jakby od samego początku wiedziała, że nikt się tu nie pojawi. Już ma zamiar udać się w kierunku schodów, gdy dostrzega mężczyznę, który się do niej uśmiecha. Wydaje jej się znajomy, choć początkowo nie wie dlaczego. Nie kojarzy go z żadnym miejscem. Kto jeszcze mógł wiedzieć, że 5 maja o godzinie dwunastej Roberta będzie właśnie tu? Wreszcie w jej głowie pojawia się kilka obrazów: ławka, wróble i czerwone rękawiczki bez palców.



BLACK PUBLISHING

Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Redakcja: [redakcja@blackpublishing.pl](mailto:redakcja@blackpublishing.pl)

Sekretariat: ul. Kołtąja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

[sekretariat@blackpublishing.pl](mailto:sekretariat@blackpublishing.pl)

Promocja: [magdalena@blackpublishing.pl](mailto:magdalena@blackpublishing.pl)

Marketing: [honorata@czarne.com.pl](mailto:honorata@czarne.com.pl)

Dział sprzedaży: [sprzedaz@blackpublishing.pl](mailto:sprzedaz@blackpublishing.pl)

Skład: D2D.PL

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52

e-mail: [info@d2d.pl](mailto:info@d2d.pl)

Wołowiec 2015

Wydanie I